

I 1.468.138

RADA SPRAWIEDLIWYCH

No 462

METRYKI

BIBLIOTEKA-WYPOZYCZALNIA
"HUMANITE"
W 8 JĘZYKACH
- WARSZAWA,
Centrala Leszno 14, Telef. 505-19
Filja (Praga) Targowa 46, Tel. 893-22

NAKLĄDEM WYDAWNICTWA

„R Ó J”

Ukazały się tegoż autora:

16518	POGROMCA HIEN LUDZKICH	zł. 5
16265	STRASZLIWY HOTEL	„ 5
16467	ROMANS Z WŁAMYWACZEM	„ 5
17498	MAŁA Z TYKWA ,	„ 5
17411	ŁOWCA GŁÓW	„ 6
17538	POETYCZNY POLICJANT	„ 5
17576	NIEBIESKA RĘKA	„ 5
17704	CZŁOWIEK O STU OBLICZACH	„ 5
17643	STRAŻNICY KRÓLEWSKIEGO POKOJU	„ 5
17645	TAJEMNICA ZAGINIONEGO MŁJONA	„ 5
17739	BANES W LONDYNIE	„ 5
17746	ZAGADKOWA HRABINA	„ 5

No 462

EDGAR WALLACE

METRYKI

17768

RADA
SPRAWIEDLIWYCH

Inwentarz.....

(The council of justice)

H. Jancho

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA

JANINA KRASUCKA

"HUMANITÉ"⁶⁶

W JEZYKACH

— WARSZAWA —

Centrala Leżno 14, Telef. 505-19

(Biuro) Targowa 48, Tel. 333-22

WARSZAWA — 1930

Tow. Wydawnicze „RÓJ“



I 1.468.138



Druk. „Stoleczna“, G. Kryzel, Warszawa, Wolska 16, tel. 88-67.

1991 ▸ 303/59

BIBLIOTEKA WYPOZYCZALNIA
„HUMANITÉ”
— W 3 JĘZYKACH —
— WARSZAWA, —
Centrala Leszno 14, Telef. 505-19
Filia (Praga) Targowa 46, Tel. 322-32

ROZDZIAŁ I.

STU CZERWONYCH.

Nastał jeden z uroczystych dni Stu Czerwonych. Wielki międzynarodowy kongres miał się zebrać w Londynie, a był on pierwszym kongresem legalnej partji anarchistów. Nie było ani jednej ulicy, na której nie zbierałyby się gromadki przechodniów, rozmawiających z niezwykłym ożywieniem, lecz, niestety, wstęp na salę obrad nie dla każdego był dostępny, bowiem u wejścia trzej policjanci sprawdzali, czy każdy wchodzący na salę, posiada bilet wstępu. Na kongresie urzędować miał również stenograf, znający dokładnie, oprócz języka angielskiego, również język francuski i żydowski: zadaniem jego było stenografowanie każdej, najdrobniejszej nawet przemowy.

Zapowiedzinay kongres wywołał zaciekawienie w całym mieście, aczkolwiek znaleźli się i tacy, którzy patrzyli się na owe obrady z uśmiechem pełnym sceptyzmu. Jednym z nich był Niloff z Witebska, który twierdził, że tego rodzaju obrady zalegalizowane, są poprostu niemożliwością. Jedynie mały

Piotr (prawdziwe jego nazwisko brzmiało Konoplanikow, był on jednocześnie reporterem gazety „Russkoje Znamia“), twierdził, że zebranie Stu Czerwonych w Londynie mogło osiągnąć cel, do którego od tylu lat dążono; on to sam wynajmował salę i zajmował się całą organizacją kongresu. Dla małego Piotra dzień ten był dniem niezwyklej wagi.

Największą radością delegatów partji „Stu Czerwonych“, których liczba członków dochodziła do 53.478, było to, że obradować mieli tu pod nosem angielskiej policji, która prawdopodobnie nie zważała sobie sprawy z samego celu owego kongresu.

Okręty linji kopenhaskiej, jak również wszystkie ekspresy nadchodzące do Londynu, przywiozły całe mnóstwo delegatów z różnych stron świata na kongres Stu Czerwonych.

„Policję zawsze można omamić“, mówił mały Piotr z entuzjazmem; „prostu mówi się, że zebranie nasze zwołane zostało w celach filantropijnych“.

Główny detektyw Falmouth pisał do pomocnika komendanta policji:

„Pismo Sz. Pana otrzymałem. Kongres Stu Czerwonych ma się zebrać dzisiejszej nocy w Phoenix Hall, na ulicy Middlesex, dzięki funduszom rosyjskiego Klubu Marynarzy. Należy nie wpuszczać do wnętrza osób niepowołanych. Załączam przy niniejszem listę osób, przybyłych na ów kongres do Londynu i oczekuję z niecierpliwością przesłania mi fotografij niżej wspomnianych osób“.

Tu następowały nazwiska trzech delegatów z Badenji: pan Schmidt z Freiburga, pan Bleau-

meau z Karlsruhe i pan von Dunop z Manheimu. Wszyscy oni nie byli ważnemi osobistościami nawet w oczach anarchistów całego świata. Nie zasługiwali na specjalną uwagę i dlatego też dziwny przypadek, jaki wydarzył im się owej nocy zadziwił opinię londyńską.

Pan Schmidt opuścił pokój swój w pensjonacie na Bloomsbury udając się śpiesznie w kierunku dzielnicy wschodniej. Było to późną jesienią, wieczorem, podczas rzęskiego deszczu i pan Schmidt myślał właśnie o tem, czy powinien pójść bezpośrednio na umówione spotkanie z dwoma swymi kompanami, czy też należało wziąć pierwszą lepszą taksówkę i udać się odrazu do sali obrad. Nagle jakaś silna dłoń chwyciła go za ramię.

Odwrócił śpiesznie głowę w kierunku napastnika, chwytając się jednocześnie automatycznie za kieszeń, w której spoczywał portfel. Tuż za nim stał jakiś mężczyzna, a na całym placu nie było ani jednego przechodnia. Zanim pan Schmidt zdążył wyciągnąć z futerału browning, druga jego ręka została również uwięziona przez innego mężczyznę, wyższego o głowę od pierwszego napastnika.

„Czy pan jest Augustem Schmidtem?“ — zapytał wysoki drab.

„Tak się nazywam istotnie“.

„Czy jest pan anarchistą?“

„Przypuszczam, że to moja osobista sprawa“.

„Obecnie znajduje się pan w drodze na kongres Stu Czerwonych, nieprawdaż?“

Pan Schmidt otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

„Skąd pan wie o tem“? — zapytał.

„Jestem detektywem Simpsonem ze Scotland Yardu i mam polecenie aresztowania pana“, brzmiała spokojna odpowiedź.

„Na podstawie jakich danych?“ — oburzył się Niemiec.

„Wyjaśnię to panu potem“.

Delegat z Badenji wzruszył pogardliwie ramiionami.

„Nie miałem pojęcia, że w Anglii wolno obrażać spokojnych cudzoziemców“.

Na placu ukazał się zamknięty automobil. Niższy z napastników gwizdnął głośno i szofer zatrzymał maszynę tuż przy chodniku.

Anarchista zwrócił się do napastnika, który usiłował go zaaresztować.

„Ostrzegam pana, że odpowiesz pan za to wszystko“, rzekł gniewnie.

„Mam dzisiaj ważne sprawy do załatwienia, a przez pańską głupotę...“

„Proszę wejść“, przerwał wysoki drab krótko.

Schmidt wsiadł posłusznie do auta i drzwiczki się za nim zatrzasnęły.

Pozostał sam wśród ciemności. Gdy auto ruszyło z miejsca, Schmidt skonstatował, że nie było w niem żadnego okna. Zrodziło się w umyśle jego pragnienie ucieczki. Spróbował drzwi — niestety, były zamknięte od zewnątrz. Zapukał nieśmiało i zauważył w tej chwili, że całe auto obite było cienkim stalowym pancerzem.

„Więzienie na kołach“, mruknął, tracąc resztkę nadziei; bezsilnie opadł na poduszki samochodu.

Nie znał zupełnie Londynu, to też nie miał najmniejszego pojęcia, dokąd go wieziono. W ciągu dziesięciu minut automobil nie przystawał ani na chwilę. Niepokój Schmidta wzrastał. Jedyne szczęście, że tajemniczy policjanci zostawili mu rewolwer, a mogli wszakże zażądać, aby oddał im wszystkie dokumenty, jakie miał przy sobie. Wówczas skompromitowałby się zupełnie. Ileż to bibuły przewoził we wszystkich kieszeniach ubrania.

Na litość Boską. Należałoby wszystko to zniszczyć. Zanurzył dłoń w wewnętrzną kieszeń swego płaszcza. Była pusta. Mała teczka skórzana zniknęła dziwnym jakiś sposobem. Twarz pana Schmidta poszarzała, bowiem partja Stu Czerwonych posiadała sprawy tajemnicze, o których policja londyńska dowiedzieć się w żadnym wypadku nie powinna. Palce nieszczęśliwego więźnia poczęły błądzić wśród ciemności po wszystkich kieszeniach ubrania. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że papiery podstępnie zostały wykradzione.

Podczas gorączkowych jego poszukiwań, auto zatrzymało się nagle. Schmidt wyciągnął z kieszeni rewolwer. Postawił już wszystko na jedną kartę, aczkolwiek nie był człowiekiem umiejącym ryzykować wiele.

Przypomniał sobie w tej chwili los jednego z członków partji Stu Czerwonych, który sprzedał jakieś plany policji śledczej. Członek ów zmuszony był uciekać z Rosji. W całą tę sprawę zamieszana była również kobieta, a historia ta była tak straszna, że opowiadano ją ze zgrozą. Uciekło ich wówczas dwoje — kobieta i mężczyzna: przybyli do Ba-

denji, a Schmidt poznał ich odrazu z fotografii, które otrzymał od głównego zarządu, owej pamiętnej nocy... Angielskie gazety opisałyby to w rubryce straszliwych morderstw, bowiem szczegóły zbrodni były naprawdę przerażające. W kronice kryminalnej, ku wielkiej radości Schmidta, zapisano, że morderca nie został wykryty.

Cała ta historia stała się teraz jasno w pamięci anarchisty, właśnie w chwili, gdy samochód się zatrzymał — może policja dowiedziała się czegośkolwiek? Z zewnątrz, z ulicy dobiegł go przerażony męski głos: „Dajcie spokój! O Boże! Dajcie spokój“. Czoło Schmidta pokryło się kroplistym potem...

Drzwi samochodu otworzyły się nagle i w blasku latarni ulicznej zaświeciła lufa rewoweru w głębi samochodu.

„Radzę nie strzelać“, rzekł spokojny głos na ulicy, „tu są pańscy przyjaciele“.

Schmidt opuścił nadół rewolwer, bowiem znajomy jakiś kaszel dobiegł jego uszu.

„Von Dunop!“ — zawołał ze zdziwieniem.

„Jest także i pan Bleaumeau“, powtórzył głos z zewnątrz. „Proszę wejść prędko“.

Dwaj mężczyźni wsiedli do auta i bezsilnie padli na poduszki.

„Czekajcie łotry“, irytował się Bleaumeau, „czekajcie! Odpowiedzcie mi za to...“

Drzwi się zatrzasnęły i samochód ruszył z miejsca.

Dwaj mężczyźni, pozostali na ulicy, długo jeszcze obserwowali oddalający się wehikuł z nieszczę-

śliwymi pasażerami i dopiero, gdy samochód zniknął na zakręcie pierwszej przecznicy, poczęły iść wolno przed siebie.

„Oryginalni ludzie“, zauważył wyższy.

„A najbardziej“, odparł drugi, „von Dunop, nieprawdaż?“

„Jest on tym, który rzucił bombę na szwajcarskiego prezydenta“.

Niższy zaśmiał się złośliwie.

„Doczekał się swojej kreski“, rzekł.

Szli dalej w milczeniu, a gdy zegar wieżowy wybił ósmą, byli już na Oxford-street.

Wyższy mężczyzna machnął laską i przejeżdżająca taksówka zatrzymała się tuż przed nimi.

„Na Oldgate“, dwaj mężczyźni zajęli miejsca w samochodzie.

Przez dłuższy czas jechali w milczeniu i dopiero, gdy przejeżdżali przez Newgate-street, niższy z mężczyzn zapytał:

„Czy myślisz teraz o tej kobiecie?“

Tamten skinął głową w odpowiedzi, a towarzysząc jego począł mówić dalej:

„Jest ona niezwykle trudnym problemem, a jednocześnie osobą najbardziej niebezpieczną. Żeby choć nie była tak piękna i młoda. Przecież wszyscy jesteśmy tylko mężczyznami, George, a natura przeważnie mało ma wspólnego z logiką. Według planów natury, zawsze prawie mężczyzna samiec wybiera kobietę samicę na matkę swych dzieci“.

„Venenum in auro bibitur“, dodał towarzysz, wyglądający na zawodowego detektywa. „Wszystkie sprawy, w których biorę udział, zazwyczaj mają

coś wspólnego, albo z piękną kobietą, albo z jakimś obrzydliwym murzynem“.

Na Oldgate wysiedli z auta i udali się w kierunku Middlesex-street.

Miejscem zebrania wielkiego kongresu była sala, wybudowana przez Związek chrześcijańskich gentlemanów, hołdujących Kościołowi prezbiterjańskiemu. Mieli oni na celu nawracanie wyznawców religii mojżeszowej i działali w tym kierunku z niezwykłym entuzjazmem. Po dwunastu miesiącach uciążliwej pracy, gentlemani chrześcijańscy, po wielu przygodach doszli wreszcie do wniosku, że żydów bogatych, na których im najbardziej zależało, trudno jest nawrócić; sala więc przechodziła z rąk do rąk. Urządzano w niej niejednokrotnie koncerty muzyczne i dancingi, aż wreszcie przeszła w posiadanie misji religijnej, która urządzała w niej odczyty i koncerty dla swych zwolenników. Okna i ściany zawieszono były obrazkami i rysunkami wykonanymi przez uczniów różnych szkół misji i sala sprawiała wrażenie zbioru chaotycznych barw. Dzisiejsze zebranie stanowiło kontrast z samym wyglądem wnętrza sali. Mały Piotr zadać sobie musiał wiele trudu, aby móc w jakim takim porządku zorganizować nadzwyczajną sesję kongresu. Dopomagali mu w tym trzej policjanci, którzy sprawdzali bilety wejścia i pilnowali porządku u bramy. Przy drzwiach, prowadzących do sali stał wysoki, szczupły drab z długą, poczochraną brodą. Oczy miał zaczerwienione, prawdopodobnie skutkiem nadmiernego używania alkoholu, i przy każdej sposobności kręcił z rezygnacją głową, jak człowiek,

skazany na zajęcie, nie dające mu absolutnie żadnego zadowolenia.

„Czy macie karty wstępu, towarzysze?“ — zapytał po niemiecku.

Wyższy z dwóch przybyszów rzucił na odźwiernego zadziwione spojrzenie i odparł po włosku:

„Nie mamy.“

Twarz draba spłonęła rumieńcem radości, gdy usłyszał ojczystrą mowę.

„Wejdz, bracie, wielką przyjemność mi sprawiło usłyszenie rodzinnego języka.“

Duszne powietrze, panujące na sali, zatamowało na chwilę oddech dwom przybyszom. Cała sala wypełniona była po brzegi, a okna szczelnie zamknięte i zasłonięte żaluzjami. Nawet wentylatory zasłonił mały Piotr ciężkimi portjerami, które zdjął uprzednio z drzwi.

W głębi ustawione było wzniesienie, pośrodku którego stał stół, przykryty czerwonym suknem.

Dwaj przybysze poczęli torować sobie drogę między tłumem, zebrany u wejścia, wreszcie zajęli miejsca wpobliżu estrady. Właśnie przemawiał jeden z towarzyszów, który nie był zbyt dobrym oratorem. Mówił po niemiecku, tonem niezwykle patetycznym. W przemowie swej co pewien czas powtarzał znaną już oddawna formułkę, że teraz właśnie nadeszła odpowiedna pora ogólnego strajku. Słowa jego przyjmowało audytorjum z niezwykłym entuzjazmem, co nie przeszkadzało jednak, że siedzący nieco dalej od estrady mężczyźni i kobiety, rozmawiali z ozywieniem.

„Śmierć tyranom! Śmierć kapitalistom! Śmierć,

śmierć!“ huczało z estrady. Audytorjum poczęło szemrać niecierpliwie. Pocziwy Benthvitch stanowczo mówił za długo, a przecież tylu było jeszcze mówców, którzy pragnęli głos zabrać tego dnia. Zaniepokojenie rosło, że Dama z Gratzu przemówić będzie mogła dopiero koło godziny dziesiątej. Największe zamieszanie panowało w jednym z oddalonych kątów sali, gdzie mały Piotr z błyszczącym wzrokiem i zmarszczonymi brwiami, przemawiał do gromadki zebranych wkłół sobie towarzyszków.

„To jest niemożliwe, to jest absurd, to jest głupota!“ Cienki, kobiecy prawie głos przechodził chwilami w wielki krzyk rozpaczony i obijał się między ścianami, niby głos polarnego niedźwiedzia uwięzionego w klatce. Zebrani wokół małego Piotra poczęli gestykulować z ożywieniem i przerywać sobie nawzajem, lecz głos Piotra zazwyczaj pokonywał ich.

„Powinniśmy wszyscy śmiać się z tego i ja się śmiać powinienem, tylko jedna Dama z Gratzu ujęła całą sprawę serjo i dlatego się boi.“

„Boi się!“

„Niedorzeczność!“

„Głupstwa pleciesz, Piotrze!“

Każdy z zebranych uważał za stosowne wypowiedzieć w tej kwestji swoje zdanie. Piotr poczuł się zwyciężonym, bo przecież nikt z pośród obecnych nie mógł uwierzyć, by Dama z Gratzu obawiała się mogła czegośkolwiek. Oczy wszystkich zwróciły się w stronę estrady, jakgdyby w poszukiwaniu tej, o której była mowa. Jednakże Dama z Gratzu na estradzie jeszcze nie było.

„Opowiedz nam o tem szczegółowo, Piotrze,“
proszono zewsząd, lecz mały człowieczek ze łzami
w oczach odwrócił się tylko niechętnie od swego au-
dytorjum.

Dowiedzieli się zatem tylko tyle, że Dama z Gra-
tzu uczuła nagle dziwny lęk przed czemś. Zasadni-
czo było to dość wielką sensacją, bo kobieta ta, a
właściwie dziewczę młode, umiała wymową swą
elektryzować świat. Podczas zebrania w jednym z
małych miasteczek węgierskich, gdy wszyscy mów-
cy skończyli już swoje oracje, powstała ona i silnym
wzrokiem zahipnotyzowała z trybuny całe audyto-
rjum. Była wówczas nieledwie małą dziewczynką w
krótkiej sukience i z dwoma grubemi warkoczami,
spływającemi z ramion. Mała, szczupła dziewczynka
o energicznie zakrojonym podbródku. Byli na-
wet tacy, którzy poczęli śmiać się w kułak, patrząc
na dziwną tę mówczynię. Lecz potem, gdy przema-
wiać zaczęła, a przemówienie jej trwało ze dwie go-
dziny, żaden ze słuchaczy nie odważył się poru-
szyć na swem miejscu. Ta mała, energiczna dziew-
czynka bluznęła na słuchaczy potokiem silnych
słów, które otworzyły im nowe całkiem horyzonty.
Zasadniczo wszystkie te doktryny były może bardzo
stare, spleśniałe, ale ona przedstawiła je w nowej
zupełnie szacie. Nawoływała do czynu. Nawoływała
do pozbycia się dotychczasowego lenistwa, a słowa
jej sączyły się kropla po kropli i zapadały w dusze
tych, którzy dotychczas nie byli uświadomieni. Od
tego pamiętnego wieczoru mała dziewczynka
o dwóch grubych warkoczach, przezwana została

Damą z Gratzu i wszyscy poczęli ją otaczać niezwykłym szacunkiem.

Na każde niemal ważniejsze posiedzenie przyjeżdżała i ona, a przemówienia tłumaczone były przez zwolenników jej na wszystkie języki świata. Z każdym rokiem stawała się piękniejszą i dojrzałą. Utrzymywano ogólnie, że o piękności swej nie myślała nigdy, albo też może nie zdawała sobie z niej sprawy. Przypuszczam jednakże, że było to nieprawdą. Inne kobiety, zajmujące jakie takie stanowiska w partji Stu Czerwonych, otaczały również Damę z Gratzu mimowolnym szacunkiem i uważały ją za najpiękniejszą ze wszystkich towarzyszek.

Sława jej zajaśniała dopiero prawdziwie, po śmierci jej ojca, gdy Dama z Gratzu przybyła do Rosji. Wraz z przybyciem tej kobiety, nastąpił w Rosji cały szereg tajemniczych zamachów, a więc:

1. zamach na generała Mallowa, który został zastrzelony przez nieznaną kobietę w prywatnym swoim gabinecie, przy komendzie policji w Moskwie.
2. ksiązę Hazallarkow, zastrzelony również przez nieznaną kobietę na ulicy w Petrogradzie;
3. pułkownik Kawerdaskow, zabity bombą, którą podrzuciła jakaś kobieta, nikomu nieznaną.

Sława Damy z Gratzu rosła. Aresztowana była już kilkakrotnie i nawet skazana na śmierć. Któż jednak mógł zwyciężyć taką kobietę, jak ona? Kobieta, która poszczycić się mogła tak niezwykłą urodą.

Naprawdę, z trudnością przysłoby każdemu opisać urodę tej kobiety-demona. Spojrzenie szarych

jej oczu zanurzało się, niby zimna stal w duszę każdego patrzącego na nią mężczyzny. Bywały chwile, kiedy wzrok jej tracił ten nieodstępny chłód i stawał się gorącym, jak płomień.... W takich to właśnie momentach Dama z Gratzu przeprowadzała najważniejsze kwestje i łamała opór najzaciętszych swych przeciwników.

I teraz wreszcie ukazała się na estradzie, przez którą przeszła lekkim, swobodnym krokiem i zatrzymała się dopiero przy stole, pokrytym czerwonym sukniem. A gdy podniosła w górę rękę — martwa cisza zaległa salę. Cisza ta była tak przerażająca, że pierwsze słowa mówcy dziwnie jakoś zadźwięczały i odbiły się głośnie echem po pustych korytarzach. Przez cały czas przemówienia nie gestykulowała zupełnie, a ręce trzymała skrzyżowane na piersiach. Słuchaczów emocjonował tylko jej głos, który zdawał się być jakimś nieziemskim śpiewem. A gdy mówić przestała, zerwał się na sali huragan okłasków. Dama z Gratzu widocznie nie skończyła swego przemówienia, bowiem po przeczekaniu głośniego entuzjazmu audytorjum, poczęła mówić znowu. Widocznie przedmiot, o którym mówiła najbardziej był bliski w tej chwili jej sercu, bo policzki, blade zazwyczaj, splonęły krwawym rumieńcem, a oczy zalśniły niesamowitym blaskiem.

„...i teraz właśnie, gdy organizacja nasza stała się światową potęgą, gdy świat cały liczyć się z nami zaczął, przyszedł ktoś, kto wstrzymywać usiłuje wszelkie nasze poczynania. Czyż wolno terroryzować nas, nas, którzy nie liczymy się nawet z władcami największych mocarstw?”

Znowu w sali zaległa cisza, lecz cisza ta tchnęła dziwną boleścią. Dwaj obcy mężczyźni poruszyli się niespokojnie, jakgdyby coś w przemówieniu Damy z Gratzu przykre na nich wywarło wrażenie. Tymczasem ona ciągnęła dalej:

„Słyszeliśmy wszyscy i wiemy wszyscy o ludziach tych, którzy pisali do nas. Powiadają oni, że powinniśmy zaniechać naszych planów, że musimy zmienić metody nasze, a jeżeli nie uczynimy tego — ukarzą nas oni, ukarzą nas tak, jak my innych karzemy, będą zabijać tak, jak my zabijamy...”

Szmer głośny przeszedł po sali i zebrani poczęli spoglądać po sobie ze dziwieniem. Siła teroru widniała na bladej twarzy mówczyni i w połyskliwych jej oczach.

„Lecz my zwyciężymy...”

Podniesione głosy w korytarzu przerwały dalsze jej słowa. Wśród audytorjum padł, niby strzał rewolwerowy, okrzyk rozpaczny, który poruszył z miejsca wszystkich zebranych.

„Policja!”

Setki rąk sięgnęły automatycznie do kieszeni, lecz w tej samej chwili wysoka jakaś postać zjawiła się z podniesioną w górę dłonią.

„Panowie! Nie lękajcie się. Niema powodu do alarmu; jestem detektywem Falmothem ze Scotland Yordu i nie mam nic przeciwko partji Stu czerwonych.”

Mały Piotr przybliżył się do detektywa.

„Kogo pan tu szuka? Czego pan chce?” pytał bezładnie.

Stojąc odwrócony plecami do drzwi, detektyw odparł spokojnie:

„Szukam dwóch ludzi, którzy podobno weszli do tej sali — dwóch członków organizacji, nie mającej nic wspólnego z partją Stu Czerwonych. Oni to...”

„Co takiego?” stojąca na estradzie kobieta pochyliła się naprzód, a w oczach jej zabłyśły dziwne iskry.

„Wiem, wiem!” zawołała z zapartym oddechem; „są to ludzie o których mówiłam przed chwilą, którzy tamują wszystkie moje ruchy i wszystkie ruchy naszej partji. Mam na myśli Czterech Sprawiedliwych”.

ROZDZIAŁ II.

CZTERECH SPRAWIEDLIWYCH.

Podczas przemówienia detektywa, wyższy z intruzów trzymał ustawicznie rękę w kieszeni.

Wchodząc na salę, rozejrzał się dokładnie wokoło i teraz orjentował się w niej zupełnie szczegółowo. Nie uszło jego uwagi, że elektryczny żyrandol, wiszący w jednym z rogów sali, umieszczony był niezbyt wysoko, tak, że z łatwością można doń było dosięgnąć ręką.

Właśnie teraz, gdy na sali powstało zamieszanie, nieznamy przybysz strącił nieznacznym ruchem klosz lampy i żarówkę. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i w tej samej chwili w sali zapanowały ciemności. Stało się to tak prędko, że ani detek-

tyw, ani towarzyszący mu policjanci nie zdołali dostrzec kto był sprawcą tego. Zamieszanie wzmogło się jeszcze bardziej. Zebrani na sali poczuli się cisnąć ku drzwiom w panicznym przerażeniu. Rozpaczliwe okrzyki niewiast i trzask łamanych krzeseł mieszały się z uspokajającym głosem detektywa.

„Odrobinę spokoju!“ wrzeszczał Falmoth; „spokoju, na litość Boską! Brown, Curtis! Gdzie są wasze latarki?“

Kilka latarek ręcznych rozjaśniło mroki sali. Po chwili dopiero jeden z wyższych policjantów przypomniał sobie, że oprócz lamp elektrycznych widział w sali gazowy żyrandol. Świecąc sobie latarką, przesunął się w tę stronę, gdzie istotnie wisiał żyrandol i w kilka minut potem sala rozbliły się znowu dobroczynnym światłem. Zebrani uspokoili się natychmiast. Falmoth nie tracił ani sekundy czasu.

„Pilnować wejść!“ zawołał stanowczo; „należy uniemożliwić ucieczkę tym, których szukamy.“ Sprężystym krokiem przeszedł przez salę i w towarzystwie dwóch swych adjutantów wstąpił na estradę, zwracając się do audytorjum. Tuż obok stała Dama z Gratzu z pobladłą twarzą i rękami skrzyżowanymi na piersiach. Falmoth wznosił w górę rękę nakazując niemym ruchem spokój.

„Nigdy nie miałem nic przeciwko partji Stu Czerwonych,“ rzekł. „Według praw naszego kraju, wszelkie propagandy tego rodzaju są rzeczą zupełnie legalną. Przybyłem tu w celu aresztowania dwóch ludzi, którzy chcą przełamać prawa naszej ojczyzny. Ci dwaj ludzie są członkami organizacji, mianującej się „Klubem Czterech Sprawiedliwych.“

Przez cały czas Falthoth obserwował twarze swych słuchaczy. Orientował się doskonale, że połowa audytorjum nie rozumie go zupełnie i, że należałoby dla wszystkich niemal przemówienie to przetłumaczyć na różne języki świata.

Twarze, których szukał były dlań zasadniczo nieznanne. Wierzył jedynie w swoją wyjątkowo rozwiniętą intuicję i spostrzegawczość, która miała mu wskazać tego, którego szukał w tej chwili.

Policja londyńska nigdy nie widziała owych poszukiwanych już przez wszystkie policje świata ludzi, którzy się tytułowali Czterema Sprawiedliwymi. Oczywiście, ta nieświadomość policji utrudniała jeszcze akcję Falthotha.

Dwaj, czy trzech przywódcy partji Stu Czerwonych przybliżyli się do estrady, gdzie poczęli szeptać między sobą, gestykując z ożywieniem. Jeden z nich zwrócił się wreszcie do Falthotha.

„Nie mamy nic wspólnego z tymi, których pan szuka,“ rzekł łamaną angielszczyzną. „Ludzie ci i nas usiłują terroryzować. Będziemy wam pomagać w odnalezieniu ich.“

„Doskonale!“ zawołał dedektyw, uderzony nagłym pomysłem, który mu przyszedł do głowy.

Przecież ci dwaj tajemniczy ludzie nie mogli umknąć z sali, bowiem wszystkie wejścia były strzeżone przez policję.

„Muszę sprawdzić tożsamość wszystkich osób, znajdujących się na sali w ten sposób, że każdy powie mi swoje nazwisko, a któryś z towarzyszków jego musi zaświadczyć, że istotnie osobnik ten tak się nazywa.“

Po chwili z estrady przywódcy partji Stu Czerwonych powtórzyli postanowienie Falthotha po francusku, niemiecku i żydowsku. Policja utworzyła kordon przepuszczając pojedynczo każdego z zebranych do stopni estrady.

„Simon Czech z Budapesztu“.

„Kto go zna?“

„Ja,“ brzmiała odpowiedź kilkunastu zgodnych głosów.

„Na miejsce.“

„Michał Ranekow z Odesy.“

„Kto go zna?“

„Ja“, rzekł gruby jegomość po niemiecku.

„A pan?“

Przed estradą stał mały człowieczek, który pochichu wymienił swoje nazwisko. Ktoś, stojący za nim, przedstawił się za jego ziomka i tem samem mały człowieczek również odesłany został na miejsce.

„Prostsza ceremonja, niż mi się zdawało“, odezwał się wysoki jegomość z długą, siwą brodą, mówiący ni to po niemiecku, ni po żydowsku. Z wielkiem zainteresowaniem obserwował on wszystkich egzaminowanych.

„Czy przypuszczasz, że ktoś z obecnych pozna w tobie tego, który zbił lampę?“ zapytał go niższy towarzysz, stojący tuż obok.

Wysoki mężczyzna potrząsnął przecząco głową.

„Wzrok wszystkich zwrócony był na policję, a zresztą uczyniłem to tak szybko, że nikt nie mógł tego zauważyć.“

„A Dama z Gratzu?“ zapytał znowu tamten.

„Tak, tak, masz rację. Tylko ona to mogła to dostrzec,” rzekł pośepnie George Manfred.

Obydwaj stali tuż przy kordonie, utworzonym przez policjantów.

„Obawiam się,” rzekł Manfred, „że będziemy zmuszeni do ordynarnej ucieczki, której nie imaliśmy się nigdy.”

Obydwaj mówili gardłowym szeptem i nikt jakoś z obecnych nie zwracał na nich uwagi. Tłum popychał ich coraz bardziej w kierunku estrady. Tuż przed nimi stał jakiś młodzieniec, który co chwila rozglądał się po sali, jakgdyby w poszukiwaniu jakiegoś przyjaciela, który miał znajdować się za nim. Twarz młodzieńca zwróciła uwagę dwóch nieznanomych. Sprawiała wrażenie twarzy ascepty o delikatnych, wydłużonych rysach, i niezwykle świecących oczach, obramowanych gęstą brwią. W pewnej chwili znalazł się tuż przed estradą, a Manfred posunął się o krok za nim.

„Henryk Rossenburg z Ratzu”, wyrzekł nieśmiało.

„Kto zna tego człowieka?” zapytał Falthoth monotennie.

Manfred wstrzymał oddech.

„Ja,” odparł po chwili.

Dziękczynne oczy młodzieńca spoczęły na twarzy wybawcy.

„Na miejsce”.

Z niezwykłym spokojem Manfred stanął u stopni estrady.

„Rolf Woolfund,” usłyszał spokojny głos Poiccarta, stojącego przed nim.

„Kto go zna?”

Nastąpiła chwila niecierpliwego oczekiwania.

„Ja,” zabrzmiał tuż za nim głos młodzieńca o ascetycznej twarzy.

Wszyscy trzej odeszli od estrady i zetknęli się, jakgdyby mimowoli w odleglejszym kącie sali.

„Jeżeli panowie chcecie spotkać się ze mną, to proszę przyjść do Reggiori na King Cross. Będę tam za godzinę,” rzekł szeptem nieznamy młodzieniec po arabsku.

Przedarli się przez tłum zebranych u drzwi sali, bowiem pogłoska o poszukiwaniu dwóch nieznamych rozeszła się już po całej dzielnicy Oldgate.

„Najciekawsze jest to,” rzekł w pewnej chwili Manfred do swego towarzysza, że miałem zawsze wrażenie, iż język arabski jest najniebezpieczniejszym językiem na świecie, a teraz dopiero doświadczenie mnie nauczyło, że nigdy nie można być pewnym,” dodał filozoficznie.

Poiccart oglądał z niezwykłą uwagą manicurowane swe paznokcie.

„Na świecie nie można być niczego pewnym,” rzekł jakoby do siebie.

„Dziwnie lękam się tego jegomościa,” rzekł znowu po chwili Manfred; „musimy poczekać, co nam przyniesie następna godzina.”

W godzinę potem zbliżał się do nich nieznamy młodzieniec ze swobodnym uśmiechem na bladej, szczupłej twarzy.

„Uderzyłem się strasznie, wyskakując z omnibusu,” rzekł, pocierając prawe kolano.

„Zranił się pan? zapytał Manfred.

„Ach, nic tragicznego,“ odrzekł tamten.

Siedzieli przy małym stoliku i pragnęli jak najprędzej pozbyć się pochylonego nad nimi kelnera. Po odejściu tegoż, chwilę jeszcze panowało milczenie, które przerwał wreszcie świeżo przybyły młodzieniec.

„Nazywam się właściwie Bernard Courlander,“ rzekł z prostotą, „a panowie jesteście ową organizacją Czterech Sprawiedliwych.“

Słowa jego pominęli milczeniem.

„Widziałem, jak pan tłukł lampę,“ mówił dalej młodzieniec, niezażenowany panującą dookoła ciszą, „obserwowałem panów od pierwszej chwili, gdyście weszli na salę, a i potem, gdy policja postanowiła spytać wszystkich o nazwiska. Postawiłem wszystko na jedną kartę, aby odpowiedzieć za was.“

„Błędnie pan rozumuje,“ zauważył chłodno Poiccart. „Zaryzykował pan poprostu to tylko, że mogliśmy pana zabić.“

„Istotnie,“ przytaknął młodzieniec, „lecz nie liczyłem na taką niewdzięczność, aczkolwiek niejednokrotnie zaznaczyliście w swych czynach, że życie ludzkie nie ma dla was żadnej wartości. Zresztą, do celów waszych potrzebne jest i to, a ja gotów byłbym poświęcić swoje życie.“

„Czyżby?“ zdziwił się Manfred.

„Interesowałem się waszemi poczynaniami,“ rzekł po chwili młodzieniec, „a zresztą — któż się nimi nie interesował?“

Dobyl z kieszeni małą, skórzaną teczkę, z której wyciągnął wycinki z gazet. Żaden z siedzących męż-

czynn nie okazał specjalnego zainteresowania owemi wycmkami, bowiem oczy ich zawisły na twarzy nieznajomego.

„Oto jest lista tych, którzy zginęli za sprawiedliwość,“ rzekł Courlander, wygladzając kawałki gazety, „lista ludzi, których prawo ominęło, ludzi którzy byli grabieżcami publicznych funduszów i tych, którzy kupowali sprawiedliwość tak, jak my chleb kupujemy“. Schował papiery zpowrotem do teczki.

„Prosiłem Boga, abym mógł kiedyś poznać panów“.

„Czyżby?“ powtórzył Manfred.

„Pragnąłem być razem z wami, pragnąłem być jednym z was, być narzędziem w rękach waszych i jednocześnie...“ zawahał się przez chwilę, poczem dodał z namaszczeniem: „dzielić z wami życie i śmierć, która na was czyha.“

Manfred pokiwał potakująco głową, poczem zwrócił się do jednego ze swych dwóch towarzyszków:

„I cóż ty na to, Gonsalez?“ zapytał.

Leon Gonsalez uchodził za wyśmienitego psychologa, i przez cały czas patetycznej przemowy nieznajomego młodzieńca, obserwował go dokładnie.

„Entuzjasta i marzyciel,“ odparł spokojnie; „z jednej strony jest to zaletą a z drugiej—wadą, lecz...“

„Co lecz?“ zapytał Courlander niespokojnie.

„Ten entuzjizm pański jest niedobry,“ brzmiała odpowiedź.

„To wszystko kwestja przyzwyczajenia i wykszolenia,“ odparł tamten nieśmiało. „Przebywałem

dotychczas wśród ludzi, przed którymi nie ukrywałem swych uczuć.“

„Czy należy pan do partji Stu Czerwonych?“ zapytał Manfred.

„Tak,“ odparł nowicjusz, „ale tylko dlatego, że partja ta pociągnęła mię za sobą w kierunku, o którym marzyłem.“

„Jakiż to kierunek?“

„Któż go zna dokładnie?“ szepnął Courlander; „niema tam określonych dróg, a przypuszczam, że i panowie nie możecie dokładnie określić, w jakim kierunku pójdą wasze przekonania.“

„Nie powiedziałem panu jeszcze ile ryzykujesz,“ rzekł Manfred, „i jakie obowiązki ciążyć na tobie będą. Czy jesteś pan człowiekiem zamożnym?“

„Owszem,“ odparł Courlander, „wystarczy mi do końca życia. Jestem właścicielem dużej posiadłości na Węgrzech.“

„Pytanie moje nie było bezcelowe, aczkolwiek nie sprawia nam wielkiej różnicy, czy jesteś pan biedny, czy bogaty,“ rzekł Manfred. „Czy jesteś pan przygotowany na sprzedanie swego majątku?“

„Posiadłość mą sprzedam bez wahania“, odparł młodzieniec z uśmiechem.

„A czy pieniądze odda pan do mojej dyspozycji?“

„Tak,“ brzmiała stanowcza odpowiedź.

„Bez zastrzeżeń?“

„Zupełnie bez zastrzeżeń.“

„A jeżeli,“ ciągnął dalej wolno Manfred, „jeżeli pieniądze te okażą się potrzebne dla naszych celów, czy nie będzie pan miał do nas pretensji?“

„Absolutnie,“ odparł Courlander spokojnie.
„A jako dowód?“ zapytał Poiccard, pochylając się nad stołem.

„Możemy spisać rejentalną umowę.“

„Zbyteczne,“ rzekł Manfred, „nie chcemy pańskich pieniędzy, ale uważamy, że pieniądze są najznakomitszą próbą.“ Umilkł na chwilę, poczem rzekł znowu przyciszonym głosem: „Ta Dama z Gratzu jest najbardziej niebezpieczna i musi być zabita.“

„Szkoda jej,“ rzekł Courlander z mimowolnym smutkiem.

„Umowę naszą musimy przypieczętować odpowiednim toastem,“ zaproponował Manfred, wołając kelnera.

Wino zostało odkorkowane i napełniono niem szklanki. Manfred wstał z miejsca.

„Czterej, którzy byli Trzema, piją do Czwartego, który umarł i do Czwartego, który się narodził.“

Na Middlesex-street, w opróżnionej prawie sali stał Falthoth, otoczony przez oddziały reporterów.

„Czy znalazł pan tu Czterech Sprawiedliwych, panie Falthoth?“

„Czy widział ich pan?“

„Czy wie pan o nich coś nowego?“

Każdy z reporterów miał dla inspektora jakieś bardzo ważne pytanie, nie dowiedziawszy się jednak niczego, przedstawiciele prasy poczęli odjeżdżać w złych humorach z sali obrad.

Ostatnie zabójstwo przy pomocy telefonu, było jeszcze sensacją zbyt świeżą, ażeby mieszkańcy Londynu zapomnieć mieli o istnieniu Czterech Sprawie-

dliwych. Zainteresowanie było wielkie. Między przywódcami partji Stu Czerwonych, pozostałymi jeszcze na sali, przewijali się dziennikarze, pragnąc usłyszeć cośkolwiek, co możnaby było podać jako najnowszą sensację w jutrzejszem wydaniu kurjerów.

Tyne z redakcji Megaphona i młody jego pomocnik Maynard, przedostali się przez tłum i podszli do oczekującej na nich taksówki.

Tyne rzucił szoferowi polecenie i rozsiadł się wygodnie na poduszkach samochodu.

„Czy słyszałeś, jak mówili o ochronie policyjnej?“ zapytał; „skandal, żeby anarchiści bezkarnie mogli obradować w naszym kraju. A gdy mówisz z nimi — masz wrażenie, że to najprzypoitoisi ludzie. Oryginalna jest ta nasza cywilizacja“.

„Jakiś jegomość“, rzekł Maynard, „zapytał mnie łamaną francuzczyzną, czy istotnie wierzę w istnienie Czterech Sprawiedliwych“.

W tym samym mniejwięcej czasie, dwaj przywódcy partji Stu Czerwonych, Francois i Rudolf Stark odprowadzali Damę z Gratzu do mieszkania jej na Bloomsbury, omawiając ciągle jeszcze wypadki ostatnich kilku godzin. Ona tylko przez całą drogę milczała, odpowiadając monosylabami na zadawane pytania. Gdy znaleźli się wreszcie u wejścia do pensjonatu, Francois pożegnał grzecznie dziewczynę i oddalił się nieco, pozostawiając ją sam na sam ze Starkiem, który uważany był za jedyne go jej przyjaciela. Stark ujął obydwie dłonie dziewczyny w swe ręce i spojrział jej w oczy głęboko.

Ktoś kiedyś powiedział, że Wschód rozpoczyna

się w Bukareszcie, a jednakże i Węgrzy mają widocznie w swych żyłach odrobinę domieszki krwi synów Wschodu.

„Dobrej nocy, mała Mary,“ rzekł Stark przyciszonym głosem. „Może przyjdzie wreszcie dzień, kiedy będziesz łaskawa dla mnie i nie pożegnasz się ze mną u drzwi“.

Patrzała nań z niezwykłą stanowczością.

„Nigdy to nie nastąpi,“ odparła ze spokojem.

ROZDZIAŁ III.

RADA KRÓLÓW.

Czternastego stycznia tegoż samego roku, zwołane zostało inne znowu zgromadzenie w Londynie. Zgromadzenie to, nie miało nic wspólnego z niedawnym kongresem Stu Czerwonych.

Gdy wieczorowy numer Megaphonu wyszedł już zupełnie gotowy z pod prasy, do kantoru drukarni przyniesiona została notatka z dopiskiem naczelnego redaktora: „bardzo pilne“. Główny zecer odciągać się począł z umieszczeniem owej notatki, która dlań zasadniczo nie wydawała się być materialem tak wielkiej wagi, było to bowiem ogłoszenie o międzynarodowym kongresie inżynierów hydraulicznych, zapowiedzianym na dzień następujący w salach hotelu Cannon.

Faktem jest, że przeważnie redaktorzy nie zastanawiają się nad tem, ile biedny zecer ponieść musi trudu przy rozbieraniu całych szpalt, aby móc

umieścić jedną jeszcze, choćby najmniejszą wzmiankę...

W tym samym czasie, do gabinetu naczelnego redaktora Megaphonu wezwany został jeden z najsprytniejszych reporterów, Mr. Charles Garrett.

„Hallo, Charles“, zawołał naczelnny redaktor, przyglądając się wchodzącemu, „mam dla pana ciekawą robotę“.

„O,“ mruknął Charles bez cienia entuzjazmu.

„Zapowiedziany został na jutro kongres inżynierów hydraulicznych w hotelu Cannon,“ rzekł redaktor.

„Woda,“ rzekł Charles z uśmiechem, „jest żywiołem najtrudniejszym do zbadania“.

„Żarty na bok,“ spoważniał nagle redaktor. „Pragnąłbym, abyś dokładnie zaobserwował owe zebranie“.

„Kto ma bilety?“ zapytał niezadowolony dziennikarz.

„Biletów niema, bowiem prasa i tak niema być zaproszona. Żądam od pana tylko tego, abyś zaobserwował przybycie owych członków kongresu i odjazd ich z posiedzenia.“

„A co mam napisać?“ zapytał Charles.

„Może pan wogóle nie pisać,“ odparł redaktor ku wielkiemu zdziwieniu Charlesa.

Nazajutrz, podczas partji bridgea w klubie dziennikarskim, Garrett przypomniał sobie o swem posłannictwie, przerwał więc natychmiast grę i wstał pośpiesznie od stolika.

Auto podwiozło go pod sam hotel, a spojrzawszy na zegarek Garrett doszedł do wniosku, że przy-

jechał o 5 minut wcześniej, przed oznaczoną godziną zebrania. Portjer hotelowy poinformował go, że żaden z inżynierów jeszcze nie nadjechał.

„Podczas ostatniego posiedzenia,“ tłumaczy portjer, „wszyscy członkowie przybyli razem z wybieciem oznaczonej godziny.“

Uwaga portjera zastanowiła Garretta, znał o bowiem dokładnie wszystkie niemal warstwy społeczeństwa i dziwił się, że ludzie pracy mogą przyjechać tak punktualnie na zebranie. Zdziwienie jego wzrosło jeszcze bardziej, gdy po chwili u podjazdu hotelowego zatrzymał się elegancki powóz wiozący prawdopodobnie jednego z „inżynierów hydraulicznych“. Przybywał on o minutę przed zapowiedzianą godziną. W wysiadającym z powozu jeźdźcy poznał Garrett barona von Hedlitz, zafanego szambelana Jego Wysokości, Księcia Hamburga-Altony. Spostrzeżenie to nie zdziwiło już jakoś Charlesa. Po chwili nadjechał samochód, z nim drugi powóz i taksówka. Wsiadać z nich począł Mr. Palowitch, hrabia Mallintani, tajny kurjer króla Sabaudji, markiz de Santo-Strato, prywatny sekretarz księcia Eskurialu. Garrett zauważył również małego jakiegoś człowieczka, który wydał mu się dziwnie znajomym. Podobno znany on był z pośrednictwa między Grecją i sułtanem tureckim i niejednokrotnie już skazany był przez dworzana sułtana na śmierć. Człowieczek ów nazywał się sir Graham Lennoxlove. W pewnej chwili dostrzegł o Charlesa, przerwał więc pogawędkę z jednym przybyłych i podszedł do młodego dziennikarza.

„Hallo, Mr. Garrett,“ zawołał na powitanie, „cóż słyhać w redakcji Megaphonu?“

Charles obserwował teraz dziwny jego wzrok i dostrzegł, jak tamten odetchnął z ulgą, gdy się dowiedział, że Charles całkiem przygodnie znalazł się na miejscu kongresu.

„Inżynierowie hydraulicy, sir Graham,“ rzekł Charles ze śmiechem. „Och, co za złośliwe zestawienie.“

Sir Graham spoglądał nań z powagą.

„Posłuchajcie, Garrett,“ zaczął, biorąc pod rękę dziennikarza i prowadząc go do hotelowego westibulu, „tragedją byłoby to dla nas, gdyby zaczęły o tem pisać gazety.“

„Bądź pan spokojny,“ uśmiechnął się Charles, „rozumiem, że specjalnie pragnęliście zachować ostrożność. Pragnąłbym jednak wiedzieć dla siebie samego, co ma znaczyć ta cała komedja.“

„Widzicie,“ rzekł mały człowieczek, pochylając się w zaufaniu nad dziennikarzem, „mamy tu do omówienia drobne kwestje, dotyczące się taryfy towarowej przy przewozie towarów okrętami.“

„O,“ zawołał dziennikarz z mimowolną ulgą, „wyjaśnienie to zupełnie mi wystarczy. Nie będę panu zabierał czasu.“

Lekkim krokiem zbiegł po schodach hotelowych i po chwili wyszedł z hotelu na ulicę.

Charles Garrett znał doskonale życie gospodarcze Europy, a wszystkie skandale i plotki dworów panujących nie były dlań nowością. Naprzykład, dlaczego Maura zrzekł się proponowanego mu stanowiska ministra telegrafów; jaką rolę odegrała

królowa matka w sprawie Cassarandy i, dlaczego przemysł cukrowniczy groził strajkiem. Wogóle Garrett był doskonale wtajemniczony w całą maszynę ustrojów rządowych i doskonale orjentował się, czego mocarstwa mogły żądać od siebie wzajemnie.

Nie czekając już na ukończenie owego zebrania, Garrett wrócił do redakcji. Redaktora zastał w prywatnym jego gabinecie.

„I cóż?“ zapytał tamten, gdy Charles zjawił się na progu.

„Inżynierowie hydraulicy,“ mruknął Garrett.

„I cóż?“

„Prostu jest to rada królów,“ rzekł dziennikarz, „jeżeli to radą królów nazwać można, bowiem sami oni nie przybyli i korony królewskie nie zdołają ich czoua. Zebrali się konfederaci, którzy spiskują już od czasu, gdy Filip Burgundzki...“

„Zupełnie mi to wystarczy,“ przerwał redaktor; „należało starać się, aby zebranie królów odbyło się bez żadnych przeszkód.“

Idąc szerokim, redakcyjnym korytarzem, Charles gwizdał beztrosko popularną piosenkę, skomponowaną przez któregoś z pracowników redakcji Megaphonu:

By kind permission of the Megaphon
By kind permission of the Megaphon.
Summer comes when spring has gone,
And the world goes spinning on,
By permission of the Daily Megaphon.

W wielkim salonie hotelowym, rada królów

przystąpiła do ważnej konferencji. Dokoła dużego, okrągłego stołu zasiedli wszyscy z markizem Santo-Strato na czele. Poza salonem, w małej poczekalni umieszczono młodego sekretarza na straży.

„Wasze Ekscelencje“, zaczął markiz przemowę swą w języku francuskim, „zbytecznem chyba byłoby nadmieniać, w jakim celu zwołana została dzisiejsza konferencja. Nie możemy się zgodzić z metodami, któremi rządzą się mocarze europejscy. A ponieważ nie wolno nam zbyt otwarcie na ten temat swojego zdania wypowiadać, przeto wygodniej będzie, jeżeli po dzisiejszej naszej konferencji nie pozostanie żaden spisany na papierze protokół.“

Szmer zgody zakończył przemowę markiza. Santo-Strato poruszył się na fotelu i skierował wzrok w kierunku młodzieńca, siedzącego po drugiej stronie stołu.

„Na samym wstępie należy podziękować Waszym Ekscelencjom za zaszczyt wybrania mnie przewodniczącym rady,“ ciągnął dalej po chwili, „stało się to dzięki Waszej Wysokości,“ skłonił się młodzieńcowi, siedzącemu naprzeciw.

Blady młodzieniec oddał markizowi głęboki ukłon.

Zafatwiwszy się z wszelkimi ceremonjami, które go obowiązywały, przewodniczący przeszedł do tematu, dzięki któremu zwołane było dzisiejsze zgromadzenie.

„Zebraliśmy się tutaj,“ zaczął z wielką powagą, „ażeby omówić metody, któremi rządzą się jednostki, stojące na czele naszego państwa.“

Zamilkł na chwilę, jakgdyby oczekując oklasku ze strony swych słuchaczy.

„Wiemy doskonale, ile odpowiedzialności ciąży na osobie naszego monarchy, który jest jednocześnie dowódcą wielkiej i niezwyciężonej armji naszej. Głos jego jest pierwszym głosem w kwestjach, poruszanych przez naród. W każdy jego ruch wpatrują się poddani i jest on jakby uosobieniem całego naszego wielkiego narodu, a jednak, mimo wszystko, kraj nasz posiada wielu wrogów, bo w królestwie naszym znajdują się ludzie, mający na celu wyłącznie interesy prywatne. Ludzie ci, posiadają władzę nieograniczoną i kierują losami ojczyzny. W kraju naszym panuje wielka niesprawiedliwość.“
Przez cały czas przemowy, przewodniczący spoglądał na twarze swych słuchaczy. W pewnej chwili Palowitch porwał się z miejsca.

„Na litość Boską, Wasze Ekscelencje“, zawołał, uderzając pięścią w stół. „Nie przyszedłem tu, aby mówić o etyce i filozofji. Żądam kary dla tych, którzy są niesprawiedliwi, kary dla barbarzyńców. Czyż mamy siedzieć spokojnie i filozofować, gdy tymczasem anarchiści rządzą we wszystkich krajach Europy.“

Markiz Santo-Strato podniósł w górę rękę.

„Ekscelencjo,“ rzekł przyciszonym głosem, „wszystko, co pan mówi, utwierdza nas bardziej jeszcze w mniemaniu, jakie trudności pokonać musimy. Nie wolno nam staczać się zpowrotem w ciemności.“

Palowitch zbladł nagle i znowu powstał z miejsca.

„Należy zmienić rząd! należy wprowadzić teror. Czyż może być inne wyjście z sytuacji?”

„Tak.”

Wszyscy członkowie rady odwrócili się w tę stronę, skąd pochodził ów dziwny, przyciszony głos.

„Kto to powiedział?” zapytał przewodniczący z przerażeniem.

„Ja.”

Ujrzeni obcą jakąś postać, stojącą między oknem i krzesłem przewodniczącego. Postać okryta była długim płaszczem, który spadał aż ku ziemi. Głowę okrywał czarny kapelusz o szerokim rondzie, a twarz nieznanego od czoła, aż do podbródka przykryta była czarną maską. Stał bez ruchu, jakby czekając na coś.

W rękach, na które naciągnięte były również czarne rękawiczki, zebrani nie dostrzegli żadnej broni.

„Kim pan jesteś?” zapytał twardo przewodniczący. „Jaki pan tu masz interes?”

„Wasza Ekscelencjo,” rzekł zamaskowany z głębokim ukłonem, „kim jestem — wy powinniście wiedzieć. Przed pięciu laty miałem zaszczyt uratować Waszą Ekscelencję od niechybnej śmierci.”

„Ach.”

„Przypomina pan sobie? Wasza Ekscelencja musi również pamiętać późniejsze nasze spotkanie.”

Przewodniczący wsparł się bezsilnie o poręcz fotelu.

„Więc pan jesteś jednym z Czterech Sprawiedliwych,” wyjąkał. „Czegóż pan chcesz?”

„Niczego.”

„Pocóżeś pan przyszedł?”

„Przyszedłem, aby pomóc,” rzekł zamaskowany mężczyzna chłodno. „Przypuszczam, że przydam się. Przyszedłem oddać swe usługi radzie.”

Wszyscy oniemieli na chwilę, tylko przewodniczący nie stracił panowania nad sobą.

„Pańskie usługi!” zawołał.

„Usługi moje i moich trzech przyjaciół”.

„Lecz pan...”

„Pragnę rozgromić anarchję — i to jest wszystko. Należy zapomnieć na chwilę, że występuję przeciw prawu. Życie moje winienem wielu krajom, bowiem na rękach moich są plamy krwi wielu ludzi.”

Mówił to wszystko tak szybko i z taką prostotą, że nikt z obecnych nie śmiał mu przerwać.

„Zabijałem w imieniu sprawiedliwości. Wszystkich tych, których prawo omijało, karałem ja. Żaden z panów tu obecnych nie twierdzi prawdopodobnie, że Jack Ellerman, madame Despard lub Trelovitch byli ludźmi uczciwymi”.

Spojrzenia wszystkich utkwione były w twarzy Palowitcha, gdy ten odrzekł:

„Trelovitch był królobójcą. Zwalniam pana z tego grzechu, monsieur.”

Nieznamy skłonił się znowu.

„Zabijałem dla sprawiedliwości,” powtórzył, „bez jakiegokolwiek nienawiści, czy pasji, a mówię teraz również w imieniu tych, którzy są ze mną”.

„A obecnie?”

„Obecnie,” odparł zamaskowany, „zrodziła się w nas wielka, demoniczna siła, posiadająca znacznie moc niż kiedykolwiek. Postanowiliśmy wal-

czyć z terorem, odpowiadać zamachem na zamach. Lęk, którzy tamci dostrzegają w duszach naszych i my postaramy się wszczepić w ich dusze. I to jest wszystko.“

Palowitch porwał się z miejsca i stanął już przed zamaskowanym mężczyzną wsparłszy się pod boki.

„I pan to uczyni?“ zapytał.

„Uczynimy to wszyscy,“ odparł tamten spokojnie.

„A zatem i ja jestem z wami...“

W tej samej chwili na dziedzińcu hotelowym pokazały się jakieś światła i brzęk tłuczonego szkła dobiegł do wnętrza pokoju, wstrząsając wszystkimi sprzętami. Siłą eksplozji zamaskowany nieznanomy odrzucony został w przeciwny kąt sali.

Z zewnątrz dochodziły jakieś jęki i wrzask zebranego tłumu. Santo-Strato stał blady, nie śmiejąc podejść do okna.

„Co to znaczy?“ zawołał chrapliwym głosem. Zamaskowany podszedł szybko do zasłoniętego żaluzją okna.

„Zaczynają już,“ szepnął obojętnie; „tajemnica waszego zebrania nie była zachowana dokładnie, Ekscelencjo.“

„Skąd pan wie, że nie była?“

„Najlepszym dowodem jest moje tu przybycie.“

Otworzyły się drzwi nagle i do sali wpadł blady sekretarz.

„Wasze Ekscelencje“, wymamrotał, „bomba! Zamach na Wasze Ekscelencje!“ Załamał z rozpaczą dłoń.

Poprzez otwarte drzwi można było widzieć biegnącą w panicznym przestachu służbę.

„Pozwólcie mi, panowie, zamknąć drzwi,“ odezwał się zamaskowany nieznajomy i, podchodząc do progu, dotknął ręką swej twarzy, jakgdyby uwalniając ją od przykrywającej maski. Nim ktośkolwiek z obecnych zdołał się zorientować nieznajomego w sali już nie było. Przewodniczący porwał się z miejsca.

„Zatrzymać tego człowieka!“ zawołał. Lecz w tej samej chwili dłoń młodego księcia spoczęła na jego ramieniu.

„Wasza Ekscelencjo! Proszę pozwolić zorientować się w całej tej sytuacji. Trudno posądzać tego człowieka o udział w zamachu. Pójdźmy i zobaczmy lepiej, co się tam dzieje.“

Pierwszy wybiegł na dziedziniec, gdzie policja uprzętała już miejsce zamachu.

Poznawszy angielskiego członka rady, inspektor policji grzecznie go powitał:

„Straszna eksplozja, sir,“ rzekł; „dwaj niewinni zabici i część hotelu zniszczona zupełnie.“

„Czy sprawca ujęty?“

Nim jeszcze inspektor zdołał odpowiedzieć, podbiegł jeden z młodszych oficerów policji i począł mówić z zapartym oddechem:

„Mam wrażenie, że to jest ten człowiek, który dokonał zamachu, lecz nie mogę pojąć, dlaczego leży zabity. Znalaziono przy nim worek z drugą bombą. Worek ten leżał tuż obok niego.“

Złożono ciało na noszach.

„Hiszpan, albo Włoch,“ mruknął książę, „jakże mógł umrzeć, kiedy żadnych śladów nie ma?“

Oficer policji pochylił się nad trupem i odchylił szeroko płaszcz na piersiach.

W lewym boku martwego tkwił mały sztylecik, przy nim wisiała kartka z następującym napisem:

„Ten człowiek rzucił bombę i dlatego został przez nas zabity“. Podpis brzmiał: „Czterej Sprawiedliwi.“

ROZDZIAŁ IV.

JESSEN-LONG, CZŁOWIEK O PODWÓJNEM NAZWISKU.

Prasa Wielkiej Brytanji coraz bardziej interesowała się tajemniczą historją Czterech Sprawiedliwych. Redakcja Megaphonu codzień prawie starała się o nowe rewelacyjne wiadomości w tej kwestji, aby zadziwić niemi masy żądnych sensacji czytelników.

„Duzobym dał za to, aby móc zetknąć się bezpośrednio z tymi ludźmi,“ mówił naczelny redaktor Megaphonu, zacierając dłonie z radością na samą myśl o możliwem zwycięstwie swego dziennika.

Charles Garrett zsunął kapelusz z czoła i patrzył bezmyślnie w twarz swego zwierzchnika.

Redaktor utkwiał w nim magnetyczne spojrzenie.

„Gdyby tak któryś z naszych pracowników mógł..“

Charles nie dał odpowiedzi.

„Prawda, że dałoby się to przeprowadzić? Pa-

mięta pan, jak się cudownie złożyło z owym wywiadem u Jego Wysokości?"

„Tak,” odparł Garret, jak zwykle, bez cienia entuzjazmu.

„Wówczas, gdy prawie połowa detektywów paryskich i londyńskich czyniła poszukiwania, pan wykopał tego człowieka w Ealing.“

„W Balham,” sprostował Charles.

„Tak, słusznie, w Balham,” zgodził się redaktor. „A teraz mamy...”

Charles wznosił poważny wzrok ku sufitowi.

„To jest całkiem coś innego,” rzekł krótko. „Poszukiwanie niemieckiego księcia, który ożenił się z chórzystką, nie może się równać poszukiwaniu ludzi, którzy umieją zabijać bez żadnych skrupułów.“

„Gdybym pana nie znał,” mruknął porozumiewawczo redaktor, „posadziłbym pana o lęk“.

„Lękam się,” odparł Charles bez zawstydzenia.

„Nie chciałbym powierzyć tej pracy któremuś z młodszych reporterów,” rzekł ze smutkiem redaktor, „zresztą, jak pan wyglądałby w takim wypadku; obawiam się jednak, że będę musiał to uczynić.“

„Proszę nie mieć żadnych skrupułów,” odezwał się Charles obojętnie. „Chętnie dopłacę do tego interesu.“

Reporter opuszczał biuro redakcji z cynicznym półuśmiechem i z dziwną jakąś tajemnicą na twarzy. Postanowił, wbrew przewidywaniom swego szefa, wysledzić wszystko na swoją rękę, aby tem samem udaremnić pracę młodszego reportera, któremu sprawa ta miała być powierzona. Czyżby redaktor znał lepiej Garretta, niż on sam przypuszczał?

Bowiem, po wyjściu reportera z gabinetu, na ustach szefa zaigrał ten sam półuśmiech, który można było zauważyć na twarzy Charlesa.

Po kilku minutach znalazł się Charles na Fleetstreet, gdzie zatrzymał się przez chwilę, poczem skinął na przejeżdżającego szofera.

„Dokąd mam jechać, sir?“

„Stanmarino,“ odparł, lecz zanim jeszcze samochód zatrzymał się przed elegancką restauracją, Garret zmienił swój plan i rzucił szoferowi głośny rozkaz przez okno:

„Presleystreet!“

Gdy mijali most Waterloo, przyszło Garrettowi na myśl, że samochód mógł zwrócić w tej dzielnicy czyjaś uwagę, to też zatrzymał automobil na rogu pierwszej przecznicy i pieszo już udał się w dalszą drogę.

Cała Presleystreet sprawiała wrażenie jednego wielkiego ogrodu, bowiem wszystkie jej domy udekorowane były kwitnącemi kwiatami, które w słońcu południowem tchnęły duszącą wonią. Charles zapukał do bramy, opatrzonej numerem 37. Po krótkiej chwili oczekiwania, usłyszał za bramą zbliżające się kroki i furtka uchyliła się nieco. W bramie pannaował mrok i Charles zaledwie mógł dostrzec otyłą postać mężczyzny, który w uchylonych drzwiach czekał na jakieśkolwiek pytanie.

„Czy to Mr. Long?“ zapytał Charles.

„Tak,“ odparł mężczyzna.

Charles zaśmiał się głośno i widocznie po tym śmiechu poznał go otyły gospodarz, bowiem otworzył szerzej drzwi.

„Czyżby to był Mr. Garrett?“ zawołał ze zdziwieniem.

„We własnej osobie“, rzekł Charles, wchodząc do wnętrza.

Gospodarz zajął się zamykaniem bramy na cały szereg zamków i łańcuchów. Potem przez długi korytarz wprowadził gościa do rzęście oświetlonego pokoju. Pokój ten był zupełnie inny, niż wszystkie w mieszkaniach, położonych na Presleystreet: ściany obite jasnosrebrną tapetą i przystrojone malowidłami; na pięknym, marmurowym kominku było zupełnie pusto, tak samo i na małych stolikach, stojących w czterech rogach pokoju. Jedyną ozdobą był wielki zegar, bardzo zresztą nieforemny, ustawiony na wysokiej konsoli. Miękkie futro niedźwiedzie służyło za dywan i przykrywało całą niemal podłogę. Gospodarz usadowił Charlesa w jednym z głębokich foteli, pokrytych ordynarną skórą, pamiętających prawdopodobnie bardzo zamierzchłe czasy, sam zaś usiadł przy stole, na którym leżała rozłożona jakaś książka, czytana pewnie w chwili, gdy gość zapukał do bramy.

Obojętnym ruchem głowy wskazał Garrett ową książkę.

„Strawa duchowa?“ zapytał.

„Zwykła rozrywka,“ odparł gospodarz i odwrócił książkę tytułową kartą ku gościowi.

„Haji Baba, Huma,“ przeczytał Charles.

„Tak, Haji Baba,“ powtórzył tamten.

Gospodarz był bez marynarki, a strój przypominał ubranie zwykłego robotnika; kołnierzyka nie nosił zupełnie, był zato ogolony i uczesany sta-

rannie. Twarz jego sprawiała wrażenie twarzy cudzoziemca, a w uśmiechu było coś niezwykle miłego i pociągającego.

„Przyszedłem do pana po radę,” rzekł Charles.

Ktoś inny byłby prawdopodobnie dumny z tego, że tak znakomity dziennikarz, jak Garrett, przyszedł doń po radę, lecz Mr. Long, który miał dopiero lat trzydzieści pięć, aczkolwiek wyglądał o wiele poważniej, nie wyraził w tej chwili ani cienia zachwyty.

„Potrzebna mi pańska rada również,” rzekł gospodarz w odpowiedzi.

Mówił głosem monotonnym, jakgdyby cały ten temat był mu zasadniczo zupełnie obojętny.

„Mówił mi pan kiedyś o Miltonie,” ciągnął dalej, „lecz doszedłem do wniosku, że nie mogę go czytać. Jedyłą poezją, jaka mi odpowiada, jest biblja, a prawdopodobnie dlatego, że materjalizm i mistycyzm są w niej połączone idealnie“.

Zauważył widocznie cień niezadowolenia na twarzy dziennikarza, bowiem umilkł natychmiast.

„Zresztą, o książkach możemy pomówić innym razem,” dodał po chwili.

Charles skorzystał z chwilowej przerwy.

„Pan zna wszystkich,” rzekł, „wszystkie największe ryby obecnej doby i wszystkie ryby znają doskonale pana.“

Gospodarz skinął głową potakująco.

„Gdy potrzeba mi bliższych jakichś informacji,” mówił dalej dziennikarz, „przychodzę zawsze do pana, Jessen“.

Czytelnik prawdopodobnie zauważył, że urzę-

dowe nazwisko Long, wypowiedziane u bramy domu, zmieniło się teraz na bardziej intymne Jessen.

„Więcej winien jestem panu, niż pan mnie,“ rzekł gospodarz poważnie. „Naprowadził mnie pan na ślad. Przypomina pan sobie ów ranek? Jeżeli pan zapomniał, to ja pamiętam doskonale“.

„I ja pamiętam, Jessen,“ rzekł reporter spokojnie, „i właśnie ten fakt utwierdza mnie w mniemaniu, że jest pan niezwykle porządnym człowiekiem.“

Tamten zbył komplement milczeniem.

„A teraz,“ zaczął znowu Charles „pragnę panu powiedzieć, poco tu przyszedłem. Otóż, mam zamiar wysledzić tajemnicę Czterech Sprawiedliwych, o których, zdaje się, wie pan wszystko. Za wszelką cenę chciałbym się z nimi zetknąć bezpośrednio. Proszę nie myśleć, że posądzam pana, abyś miał z nimi coś wspólnego, albo też, aby mieli z nimi coś wspólnego ludzie, których pan zna.“

„Istotnie, nic nie mają,“ rzekł Jessen. „Czy chciałby pan jednak pójść do Bractwa?“

Charles zamyślił się przez chwilę.

„Tak“, odparł wolno, „to jest niezła myśl; a kiedy możnaby?“

„Nawet i dzisiaj wieczorem, jeżeli pan sobie życzy.“

„Niechaj będzie dzisiaj wieczorem,“ rzekł Charles.

Gospodarz wstał z miejsca i wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił zupełnie już ubrany; nosił na sobie ciemny płaszcz, a szyję owinął czarnym szalem, co uwydatniało jeszcze bardziej ostre jego rysy.

„Zaczekaj pan chwilę,“ rzekł, otwierając stojącą w kącie szafę i wyciągając z niej rewolwer.

Opatrywał przez chwilę troskliwie magazyn, co wywołało uśmiech na ustach Charlesa.

„Czy to będzie potrzebne?“ zapytał.

Jessen potrząsnął przecząco głową.

„Nie“, odparł w mimowolnem zmieszaniu, „lecz zawsze wolę być zabezpieczony“.

„Obawa jakiegoś nowego odkrycia?“

Jessen skinął głową potakująco.

„Możliwe. Należy być zawsze w pełnym rynsztunku.“

Przeprowadził gościa zpowrotem przez wąski korytarz, w którym uprzednio zapalono lampę.

Garrett musiał dość długo czekać na mrocznej ulicy, zanim Jessen zarygłował bramę na wszystkie zamki. Wreszcie znaleźli się na Wolworth Road. Szli w milczeniu, kierując się w stronę ulicy Wschodniej. Obydwaj zdawali się znać dokładnie kierunek, bowiem szli dość prędko i pewnie, aż wreszcie zatrzymali się u bramy budynku jakiejś opuszczonej fabryki. Szczupły chłopak, pełniący funkcję odźwierzego, poznał ich widocznie odrazu, gdyż wpuścił ich do wnętrza bez słowa. Po krętych schodach dostali się na górę, do jakichś wielkich drzwi, które Jessen pchnął silną dłonią i wprowadził przyjaciela do obszernego hallu. Tutaj dziennikarz ujrzał dziwną scenę. Znając doskonale ze słyszenia owe Bractwo, nigdy nie był wewnątrz lokalu, w którym się członkowie jego zbierali. W jednym kącie hallu stał wielki stół bilardowy, naprzeciw drugi stół, na którym leżały rozrzucone jakieś książki i pisma, a w całym

hallu unosiła się woń palonej kawy. Wszystkie sprzęty pokryte były grubą warstwą kurzu, a tuż przy kominku na którym płonął ogień, ustwione były półkolem krzesła, zajęte przez mężczyzn różnego wieku. Wszyscy oni pili. Wysoki jegomość o nabrzmiałej twarzy, którego głos rozbrzmiewał donośnie aż na schodach, trzymał w podniesionej dłoni szklanekę whisky i dowodził czegoś z zapalem. Tuż przy nim, sąsiad jego siwowłosa, wsłuchiwał się w słowa mówcy z pochyloną na piersi głową, wpatrzony w szklanekę napełnioną do połowy jakimś bezbarwnym płynem.

Nikt nie powstał na powitanie przybyłych.

Otyły jegomość skinął Jessenowi dobroliwie głową, a ktoś inny podsunął mu wolne krzesło.

„Mówiłem właśnie przed chwilą...“ odezwał się otyły mówca i spojrzał pytająco na Charlesa.

„Wszystko w porządku,“ rzekł porozumiewawczo Jessen.

„Mówiłem właśnie przed chwilą tym chłopcom,“ ciągnął dalej otyły, „że mieszanie rozmaitych pojęć jest rzeczą niedozwoloną.“

Jessen nie odpowiedział ani słowa. Zkolei zabrał głos inny członek Bractwa, na którego palcach połyskiwały piękne pierścienie.

„Każdy człowiek powinien iść prostą drogą, nie zważając na żadne przeszkody.“

Szmer przeszedł po audytorjum.

„Spójrzcie na mnie!“ zawołał ktoś z obecnych. „nigdy nie usiłowałem iść prosto i nawet niedawno znalazłem się w takiej opresji, że okrzykiło mnie“

sześciu policjantów, z przemocy których jakoś się wyostałem.“

Jessen spoglądał na mówiącego z pogardliwym zaciekawieniem.

„Jest to najlepszym dowodem, że owi policjanci byli strasznymi niedołęgami“.

„Absolutnie“! Oburzony mówca podniósł się z miejsca.

Z całej rozmowy Charles wywnioskował, że miał do czynienia z najgorszymi mętami społeczeństwa.

„Wątpię, czy pokona mnie nawet dziesięciu policjantów,“ wtrącił znów, dumny ze swej siły, członek Bractwa.

Jessen zręcznym ruchem ujął dłoń tamtego.

„No, spróbujmy,“ zawołał.

Członek Bractwa, po kilku zręcznych chwytach, uwolnił się z kleszczowego uścisku Jessena, lecz ten uwięził już drugą jego rękę.

„No, spróbujmy,“ powtórzył, lecz przeciwnik był bezsilny i wreszcie po chwili Jessen wypuścił go ze swoich objęć.

„No, i jakże było?“ zapytał drwiąco.

Wesoły śmiech zebranych nie zmieszał absolutnie śmiałka.

„To zupełnie coś innego,“ zaczął objaśniać bez rumieńca na twarzy; „takich zręcznych chwytów nie zna nasza policja.“

Jessen przysunął swe krzesło bliżej komina. Zapadła chwilowa cisza, w ciągu której wszystkie oczy skierowały się w stronę Jessena, co, oczywiście, nie uszło uwagi Charlesa. Jessen począł mówić wolno

i zdawało się, że słowa, wychodzące z ust jego, sączyły się kropla po kropli w dusze słuchających.

„To wszystko, co Falk wam przed chwilą powiedział,“ rzekł Jessen, wskazując jegomością w pierścieniach, „jest prawdą w całej rozciągłości. Policja dlatego poprostu prześladowuje złoczyńców, że są oni przeważnie ludźmi upartymi i niepoprawnymi. Zazwyczaj wracają oni do tego samego trybu życia, jaki pędzili przed zamknięciem ich w więzieniu. Czynią oni to dlatego, że nie znają źródła, z któregooby można było czerpać pieniądze z równą łatwością. Naprzykład Wally“, zwrócił się do młodzieńca, siedzącego opodal, „doświadczył, zdaje się, tego wszystkiego na sobie. Materjały, które dostały się do jego rąk, posiadały wartość zaledwie trzydziestu funtów i za trzydzieści funtów dostał dwanaście miesięcy ciężkich robót! Czyli mniejwięcej wypada dziesięć szylingów i sześć pensów za jeden taki tydzień, nie licząc już tego, co musiał zapłacić adwokatowi. Mniej więcej tę samą historję miał Garth, tu wskazał siwowłosego mężczyznę z wystającą szczęką, „ten gorzej jeszcze wyszedł na tym interesie, wypadło mu bowiem około szylinga za tydzień ciężkich robót.“

W tej chwili Jessen uchwycił niecierpliwy gest Falka.

„Wiem co Falk odpowie mi na to,“ ciągnął dalej spokojnie, „że wszystko, co mówię, zupełnie inaczej wygląda nazewnątrz i, że wówczas, gdy organizowałem Bractwo, zaznaczyłem we wstępnem przemówieniu, że musimy się zgóry wyrzec wszelkich filozoficznych rozpatrywań. Każdy z nas bowiem rozu-

mie, że nie należy analizować tego, co się robi z przyzwyczajenia. Tamte twierdzenia moje zmierzały w takim kierunku, abyście, bracia, mogli czerpać największe zyski ze swej profesji. Istnieje podobno człowiek, literat, który pisze wyłącznie o żołnierzach i dla żołnierzy. Celem tego człowieka jest, aby czytając jego nowele, żołnierze znienawidzili swój zawód; to samo jest moim celem. Naprzykład Ike był znany w Londynie, jako jeden z najbogatszych kupców; potem stracił majątek i za jakieś głupie przewinienie dostał trzy lata więzienia. Gdy wyszedł stamtąd, postanowiłem dać mu uczciwe zajęcie w pracowni orderów i, rzeczywiście, Ike przyzwyczał się do nowego zawodu i jest mi teraz ogromnie wdzięczny.“

„Nie wszyscy jednak jesteście bogatymi kupcami“, wycharkotał Falk z niezadowolaniem.

„Nie ma to nic do rzeczy.“ zauważył Jessen, „tylko wy, chłopcy, nie zdajecie sobie z tego sprawy.“

Nie będziemy tu powtarzali całej przemowy Jessena, który starał się dogmatami swemi przekonać zebranych.

Przemowa jego uczyniła największe wrażenie na Garrettcie, który wpatrywał się w Jessena, pragnąc pojąć, jaką rolę odgrywa w Bractwie ten człowiek. Audytorjum zwiększało się z każdą chwilą; do pokoju wchodzili mężczyźni po dwóch i trzech i w milczeniu zajmowali miejsca przy płonącym kominku. Wszyscy przybysze żywili widocznie specjalny szacunek dla Mr. Longa, bowiem wpatrywali się weń z dziwnem uwielbieniem. Aczkolwiek.

Garreta najbardziej interesowała kwestja Czterech Sprawiedliwych, to jednak zdawał sobie doskonale sprawę, że Jessen nie mógł tematu tego poruszyć wśród członków Bractwa bez uprzednich przygotowań. Dopiero teraz, gdy skończył mówić, że wszystkich stron posypały się pytania, na które zmuszony był odpowiadać, bowiem słuchacze łaknęli widocznie jego zdania.

„Jaką profesję przypisuje pan Czterem Sprawiedliwym?“ zapytał w pewnej chwili Falk, a pytanie jego spotkało się z ogólnym wybuchem śmiechu.

Wzrok dziennikarza porozumiewał się przez chwilę z spojrzeniem Jessena. W zmysłach obydwóch ludzi powstała podświadomie jedna i ta sama odpowiedź. Wargi Jessena wydęły się nieco, a ruchliwe jego palce stały się bardziej jeszcze ruchliwymi w tej chwili.

„Gdyby ktośkolwiek umiał mi określić wytyczną linię postępowania Czterech Sprawiedliwych“, wycedził wolno, „wówczas mógłbym na pytanie to odpowiedzieć.“

Siwowłosy jegomość, popijający dotychczas w milczeniu swój gin, po raz pierwszy zabrał głos w tej chwili.

„Czy przypominacie sobie panowie Billy'ego Marksa“ zapytał.

Głos jego był dziwnie ostry, jak głos człowieka, który rzadko zwykł wypowiadać swe zdanie.

„Billy Marks nie żyje,“ ciągnął dalej. „On jeden znał Czterech Sprawiedliwych, a nawet raz jednemu z nich ściągnął zegarek, a drugiemu notes.“

Wypowiedziawszy tych kilka słów, siwowłosy począł spoglądać w ogień w zamysleniu.

„Billy był moim uczniem i często pomagał mi w najrozmaitszych sytuacjach. Pewnego ranka zjawił się u mnie niezwykle podniecony. Opowiedział mi zaraz na wstępie, że jest na tropie Czterech Sprawiedliwych i będzie otrzymywał suwerena dziennie od Scotland Yardu za śledzenie ich. „Gotów jestem dać ci parę groszy, Billy,“ rzekłem uroczyście, „abyś tylko pozostawił ich w spokoju.“ „Co takiego!“ zawołał Billy, „chcecie, abym zrezygnował z tysiąca funtów nagrody!“ „Jak sam chcesz,“ rzekłem, „pozostawiam to własnemu twemu zdaniu; wołałbym raczej podjąć się zamachu na Bank Angielski, aniżeli zdecydować się na taką robotę“. Billy zaśmiał się głośno: „Gdy się zobaczymy znowu,“ powiedział, „przekonacie się, że nie jestem takim niedołągą!“ Niestety już go więcej nie widziałem, a dopiero po kilku tygodniach doszła mnie pogłoska, że ciało Billy'ego leży w kostnicy Pimlico“.

Jeden z nowoprzybyłych mężczyzn, siedzący obok Falka, przyglądał się Garretтови z niezwykłym zaciekawieniem. Gdy siwowłosy członek Bractwa skończył swe opowiadanie, przybysz podsunął się do Jessena, mówiąc półgłosem:

„Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że mamy coś wspólnego z Czterema Sprawiedliwymi.“

Mówiący był to wysokim, przeraźliwie chudym mężczyzną, a ubranie wisiało na nim, jak na kołku.

„Czterej Sprawiedliwi na pewno nie chcieliby współpracować z nami,“ dodał kierując wzrok w stronę nieznanego mu dziennikarza. „A właściwie,

Mr. Long, mogliby oni prędzej zwrócić się o pomoc do pana, niż do nas. Czyż to niemożliwe?“

I znowu Jessen i Charles zamienili z sobą porozumiewawcze spojrzenia; w oczach dziennikarza zabłyśły tajemnicze światelka.

Może istotnie zwróca się oni do Jessena! Jakżeby to było cudownie! Przecież wiadomo wszystkim, że przed jakimś wielkim zamachem w Południowej Ameryce, przyszli oni do człowieka takiego, jak Jessen. Zagłębiając się w swych myślach, Charles nie zwracał uwagi na mówiącego jeszcze Jessena, który, stojąc już u drzwi, naciągał na siebie płaszcz. W czynności tej pomagało mu kilku członków Bractwa.

Gdy obadwaj z Garrettem opuścili salę i znaleźli się już na dole, dziennikarz zwrócił się do swego towarzysza:

„Czy to możliwe, żeby oni przyszli do pana?...“

Jessen potrząsnął przecząco głową.

„Prawie, że niemożliwe“, odparł; „rzadko kiedy korzystają z jakiegokolwiek zewnętrznej pomocy“.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. U drzwi domu Jessena, Charles wyciągnął dłoń na pożegnanie.

„Jeżeli jednak się zjawią...“ rzekł.

Jessen zaśmiał się głośno.

„Wówczas dam panu znać“, szepnął ironicznie.

Wszedł do wnętrza domu i Charles przez chwilę jeszcze słyszał zgrzyt zamykanych zamków i łańcuchów.

W dwadzieścia cztery godziny potem, we

wszystkich dziennikach londyńskich, pojawiła się rewelacyjna wiadomość o tajemniczym zniknięciu Mr. J. Longa z Presleystreet. Zniknięcie to wzbudziło tem większe zainteresowanie, że na stole, w pokoju Mr. Longa, znaleziono kartkę z następującym napisem:

„Mr. Long potrzebny nam jest do przeprowadzenia pewnych przedsięwzięć naszych i dlatego zabieramy go z sobą.

Czterej Sprawiedliwi“.

ROZDZIAŁ V.

CZERWONE ZIARNKO GROCHU.

Naczelny Komitet rozesał zaproszenia do wszystkich członków zarządu partji Stu Czerwonych.

Na zebranie przybyli: Stark, Francois, Holom, Włoch, Paweł Mirtisky, George Grabe, Amerykanin i Lauder Bartholomew, były kapitan kawalerji. Bartholomew ubrany był z największą elegancją ze wszystkich mężczyzn, którzy zebrali się dokoła zielonego stolika na Greegstreet. Najdziwniejsze było to, że wszyscy, którzy spotykali Bartholomewa, na wspomnienie jego imienia marszczyli brwi z dziwną pogardą. Każdy niemal londyńczyk był pewien, że kiedyś coś słyszał o tym człowieku, lecz w żaden sposób nikt sobie przypomnieć nie mógł, co to właściwie było. Bartholomew był podobno na wojnie w południowej Afryce, nie brał jednak udziału w walkach, lecz zajmował się do-

starczaniem wojsku prowiantów. Potem przybył do Anglii i począł zapelniać łamy niemal wszystkich londyńskich dzienników artykułami swemi na temat niesprawiedliwości angielskiego Ministerstwa Wojny. Po pewnym czasie przerzucił się w dziedzinę teatru i począł ukazywać się w małych salach rewjowych, jako kapitan Lauder Bartholomew, bohater Dopfonteina. Pojawienie się jego, jako osobistości dość popularnej, w Naczelnym Komitecie partji Stu Czerwonych, było o tyle objawem normalnym, że Bartholomew uważany był za człowieka wszelakich możliwości, a będąc w pewnego rodzaju konflikcie z władzami rządowemi, postanowił czynnym swym udziałem w partji dać upust niespożytej swej energii. Będąc jeszcze zwykłym członkiem partji Stu Czerwonych, jakimś nadszwyyczajnym zbiegiem okoliczności przegłosowany został do Naczelnego Komitetu. Cóż dziwnego zresztą? Czyż nie był angielskim oficerem i arystokratą? Czyż nie był członkiem Londyńskiego Towarzystwa? Było to wszak głównym argumentem dla partji Stu Czerwonych. Poza tem, za Bartholomewem przemawiało to, że posiadał on rozległe stosunki między angielskimi dyplomatami, co dla Komitetu było niezwykle korzystną rzeczą.

Bartholomew więc znalazł się, wraz z siedmiu członkami Naczelnego Komitetu, w wielkim salonie jednego z elegantszych pensjonatów na Greegstreet. Sześciu towarzyszy, którzy byli już obecni na zebraniu, powitało go z niezwykłą uprzejmością. Jedyne wyjątek stanowił Stark, który zjawił się później nieco i zaraz zajął miejsce przewodniczą-

cego. Jeden z członków podniósł się z krzesła i zamknął drzwi na klucz, poczem sprawdził, czy wszystkie okna są zasłonięte. Wreszcie, wyjąwszy z kieszeni dwie talje kart, rozrzucił je na stole przed zebranymi. Każdy z mężczyzn dobył z kieszeni garść srebrnych monet.

Stark był człowiekiem przewidującym, bowiem wielu rzeczy nauczył się w Rosji. Zazwyczaj najmniejszą uwagę zwracali ludzie, zbierający się w zamkniętym na klucz pokoju pod pozorem grania w karty.

Po chwili głuchego milczenia, Stark przystąpił do kwestji nader ważnej, dla omówienia której zebrali się tu wszyscy.

„Dzisiejsze nasze zebranie jest już czwartem posiedzeniem w ciągu ostatnich dwóch miesięcy“ rzekł poważnie. „Ostatnim razem pragnęliśmy zasięgnąć informacji od pana, panie Bartholomew“.

Bartholomew wzruszył obojętnie ramionami.

„Jeżeli macie panowie jakieś wątpliwości co do wydatków, które wam podałem“, zawołał, „to pragnę wam zaznaczyć, że nie jestem zwykłym policjantem, pobierającym łapówki“.

„Nie idzie tu o kwestję pieniędzy“, rzekł Stark spokojnie, „a o same rezultaty. Pieniądzy mamy dość, lecz najważniejszą sprawą dla nas jest wynik demonstracji, od której zależą wszystkie nasze dalsze poczynania“.

Nad kwestją tą przeszli zebrani szybko do porządku dziennego, poczem Stark pochylił się nieco naprzód i począł mówić przyciszonym głosem:

„Mam tu kilka spraw, zasługujących na spe-

cjalną uwagę“. Dobył z kieszeni arkusz papieru i rozłożył go przed sobą na stole. „Dość długo już okazywaliśmy naszą bezczynność względem tyranów, dla których samo imię Stu Czerwonych jest symbolem teroru. Obecnie znajdujemy się w przededniu największego zwycięstwa. W przededniu chwili, w której najzaciętsi przeciwnicy naszej partji powinni być pokonani. Przeżywamy okres, w którym dawno już zapomniane zostały zwycięstwa Cezara i Aleksandra Wielkiego, bowiem czyny ich przykryte są obecnie grubą warstwą pyłu całych stuleci. Dzień wielkiego zwycięstwa naszego nie nadszedł jeszcze, przedtem bowiem musimy pokonać tych wszystkich, którzy na drodze naszej piętrzą barykady; na pierwszy plan niechaj idą słudzy, — a potem panowie“.

Wskazującym palcem prawej ręki począł wodzić po leżącym przed nim arkuszu papieru.

„Fritz von Hedlitz“, czytał, „kanclerz księcia Hamburg-Altony“.

Spojrzał po zebranych z uśmiechem.

„Człowiek o niezwykłej inicjatywie, donoszący swemu panu o każdym niemal ruchu naszym. Czy słowa moje, „skażmy go na śmierć“ nie będą wyrazem waszych pragnień, towarzysze?“

„Śmierć“! ponury pomruk przeszedł po zebranych.

Bartholomew powtórzył ten wyrok mechanicznie. Właściwie nie zależało mu absolutnie na tem, aby ten odważny człowiek umierał dlatego tylko, że służył wiernie swemu panu.

„Santo - Strato“, czytał dalej Stark, „on rów-

niez odegrał wybitną rolę w ciemieniu nas“.

„Śmierć“! zawołano znowu chórem.

Stark odczytywał nazwisko po nazwisku z obojętnym prawie spokojem.

„A tu jest Henryk Houssmann“, rzekł po chwili, „członek berlińskiej tajnej policji, jeden z najbardziej niebezpiecznych wrogów naszych. On to zamknął w więzieniu jednego z naszych towarzyszy.“

„Śmierć“! powtórzyli zebrani mechanicznie.

Odczytywanie listy zajęło prawie pół godziny.

„Jeszcze jedną ważną sprawę mam dzisiaj do przedłożenia“, zabrał znowu głos Stark.

Zebrani poruszyli się niespokojnie na swych krzesłach, bowiem w umyśle każdego ważna ta sprawa tkwiła od początku zebrania.

„Najprawdopodobniej zostaliśmy zdradzeni“, ciągnął dalej przewodniczący, bardziej jeszcze przyciszonym głosem; „istnieje w Londynie organizacja reakcyjna, która postanowiła zgnieść nas. Organizacja ta odkryła nasze cele“. Zamilkł na chwilę, poczem mówił dalej:

„Dzisiaj rano otrzymałem list, zaadresowany do mnie, jako do prezesa Naczelnego Komitetu. Całą treścią listu tego są pogróżki. Podpisany był: Cztery Sprawiedliwi“.

Oświadczenie Starka przyjęto w milczeniu. Chwilę trwała cisza, której Stark nie umiał sobie jakoś wytłumaczyć.

„I ja również taki list otrzymałem“, rzekł Francois spokojnie.

„I ja“.

„Ja też“.

„I ja“.

Tylko Bartholomew nie odezwał się i patrzył ze zdziwieniem po zebranych.

„A ja nie otrzymałem listu“, rzekł po chwili z swobodnym uśmiechem, „otrzymałem zato to...“ z kieszonki kamizelki wyjął dwa ziarnka grochu. Jedno ziarnko było czarne, zaś drugie ognisto czerwone.

„Cóż to ma znaczyć?“ zapytał Stark ze zdziwieniem.

„Nie mam absolutnie pojęcia“, odparł Bartholomew, uśmiechając się znowu. „Otrzymałem to w małym pudełeczku od biżuterji. W załączeniu nie było żadnego listu, ani kartki, któraby wyświeciła tę całą historję. Ta oryginalna przesyłka nie wzbudziła we mnie ani odrobiny lęku“.

Lecz cóż to ma znaczyć?“ powtórzył Stark. Głowy wszystkich pochyliły się w stronę leżących na stole ziarenek grochu. „Ziarnka te muszą mieć jednak jakieś znaczenie“.

Bartholomew ziewnął głośno.

„Przypuszczam, że nic to nie oznacza“, rzekł obojętnie; „ani czarny, ani czerwony groch nie odegrał żadnej roli w mem życiu, o ile.....“

Zamilkł nagle, a zebrani dostrzegli błądy rumieniec na jego twarzy, który znikł zaraz, ustępując miejsca śmiertelnej bledości.

„Czyżby?“ zauważył Stark; w głosie jego drżała lekka ironja.

„Pozwólcie, niech sobie przypomnę“, zmarsz-

czył brwi Bartholomew, ujmując w drżące palce czerwone ziarnko grochu. Obracał je długo, jak-gdyby pragnąc odwlec chwilę wyjaśnienia. Czyż wyjaśnienia były możliwe w obecności sześciu par oczu, utkwionych ciekawie w jego twarzy? Z drugiej znów strony — wahanie mogło przemówić na jego niekorzyść. Należało więc zmienić tę historję.

„Przed wielu laty“, zaczął, starając się powstrzymać drżenie głosu, „byłem członkiem takiej, jak nasza organizacji... i znalazł się między nami zdrajca“. Historja ta wydawała mu się w tej chwili tak naturalną, że wszelki lęk go opuścił. „Zdrajca ów został zdemaskowany i głosowaliśmy za jego usunięciem. Okazało się, że jednakowa ilość głosów padła na życie i jednakowa na śmierć. Przewodniczący podał wniosek. Położono na stole dwa ziarnka grochu: czerwone ziarnko oznaczało życie, czarne zaś śmierć.... Wyobraźcie sobie, panowie, że ja wyciągnąłem czarne ziarnko, skazując tem samem na śmierć tego człowieka“.

Przez chwilę Bartholomew spoglądał po zebranych, jakgdyby pragnąc dostrzec, czy historja jego uczyniła na kimś jakieśkolwiek wrażenie. Stark siedział w milczeniu, oglądając uważnie czerwone ziarnko grochu.

„Z tego wszystkiego sędzę, że po owym fakcie mam mnóstwo wrogów, którzy prawdopodobnie w pragnieniu zemsty, przysłali mi ten upominek“. Odetchnął swobodniej, nie zwracając już uwagi na zachmurzone oblicza siedzących przed nim członków Naczelnego Komitetu.

„A tysiąc funtów“? zapytał Stark spokojnie.

Nikt z obecnych nie widział, jak Bartholomew zagryzł wargi, bowiem w tej samej chwili przyglądał białą, wypiełgnowaną dłonią, jedwabiste swe wąsy. Wszyscy natomiast zauważyli niezwykle zdziwienie w oczach zapytanego.

„Tysiąc funtów“? zawołał i zaśmiał się głośno. „O, widzę, że słyszał pan całą historję. Właśnie ów zdrajca za zdradę swą otrzymał taką sumę. Pieniądze te skonfiskowaliśmy na korzyść naszej organizacji“.

Szmer aprobaty przeszedł po zebranych, co oczywiście dodało Bartholomewowi znowu otuchy. Nawet Stark uśmiechał się w tej chwili.

„Nie znam tej historji“, rzekł, „lecz zauważyłem na czerwonym ziarnku napis „tysiąc funtów“. Przypuszczam, że pomoże nam to do odkrycia tajemnicy, kto zdradził nas Czterem Sprawiedliwym“.

W tej samej chwili rozległo się ciche pukanie u drzwi. Francois, który siedział po prawej stronie przewodniczącego, podniósł się bezszelestnie z krzesła i na palcach podszedł do drzwi.

„Kto tam?“ zapytał przyciszonym głosem.

Ktoś odpowiedział po niemiecku i wszyscy już wiedzieli, kto pragnął dostać się do wnętrza pokoju.

„Dama z Gratzu“, rzekł Bartholomew, podnosząc się nerwowo z miejsca. Oddawna już między Starkiem i byłym kapitanem kawalerji rozgrywała się niema walka. Obydwaj mężczyźni zapłonęli teraz gniewem, gdy Dama z Gratzu ukazała się na progu.

Stark ociężyły zazwyczaj, podbiegli teraz szybko na powitanie.

„Madonna“, szepnął, całując ją w rękę.

Ubrana była wytwornie, w długi płaszcz, który uwydatniał doskonale zręczne jej kształty i w mały futrzany toczek na pięknej główce. Dłoń, obciążoną w skórkową rękawiczkę, wyciągnęła do Bartholomewa. Umiejący się doskonale znaleźć w towarzystwie kobiet, Bartholomew przez dłuższy czas trzymał jej rączkę w swej dłoni, spoglądając wymownie w jej oczy, co jeszcze bardziej zniecierpliwiło Starka.

„Towarzysze“, rzekł po chwili Bartholomew, „omówimy tę sprawę z naszą Mary. Przecież tu idzie o Czterech Sprawiedliwych...“.

Dostrzegł, że zadrżała.

„Czterech Sprawiedliwych?“ powtórzyła.

„Więc oni i do was również pisali?“

Stark uderzył silnie pięścią w stół.

„To znaczy, że i ty, Mary, otrzymałaś list z pogroźkami“.

„Tak“, odparła, a głos jej stał się dziwnie charczący w tej chwili; „grożą mi“.

Odpięła futro u szyi, jakgdyby nagle zabrakło jej oddechu. Potok słów, cisnący się na usta Starka, pohamowało jedno jej spojrzenie.

„Nie śmierci się boję“, wyszeptwała wolno, „bo przecież nie wiem właściwie, co to jest lęk“.

Bartholomew, przejęty tragicznym jej głosem, umilkł również. Po chwili dopiero zdobył się na uśmiech.

„Z takimi ludźmi, jak my, nawet Czterej Spra-

wiedliwi nie dadzą sobie rady“, zaśmiał się głośno; w tej samej chwili przyszedł mu na myśl dwa ziarnka grochu, zbladł więc i odwrócił głowę do okna.

Zaległa cisza. Oczy wszystkich wpatrzono były w Damę z Gratzu. Wśród martwego milczenia rozlegało się tylko głośne cykanie zegara.

Mimowolnym ruchem sięgnął Bartholomew do kieszeni i, dobywszy srebrny swój zegarek, począł szukać wzrokiem zegara, który tak głośno cykał w pokoju. W tej samej chwili cisza przerwana została i wszyscy zebrani poczęli mówić naraz. Stark ujął drżące ręce dziewczyny w swe dłonie.

„Mary, Mary“, szeptał łagodnie, „to jest niedorzeczność. Dama z Gratzu, która pokonała niemal całą Rosję...“

Wszyscy zwrócili się nagle w stronę Bartholomewa. Siedział błądzący przy stole z zegarkiem w ręku i przerażonym wzrokiem błędził po twarzach zebranych.

„Na litość Boską“, zawołał Stark, chwytając go za ramię. „Człowieku, powiedz pan, co panu jest“?

„Zegar“, wyjąkał Bartholomew złamanym głosem, „gdzie... gdzie jest zegar“?

Przerażony jego wzrok błędził bezradnie po pokoju.

„Posłuchajcie“, szepnął znowu po chwili, a wszyscy wstrzymali oddech.

Istotnie słyhać było wyraźne cykanie zegara.

„Musi być pod stołem“, wymamrotał Francois.

Stark uniósł wgórę zielone sukno, pokrywające stół. Na podłodze dostrzegł czarną skrzynkę.

w której najwidoczniej pracował mechanizm zegara.

„Wszyscy za mną“: zawołał i podskoczył do drzwi.

Niestety — drzwi były zamknięte z zewnątrz. Stark począł się mocować z niemi, aż wreszcie, podparłszy je silnem ramieniem, wyłamał z zawias. Z całego towarzystwa tylko Dama z Gratzu zachowała spokój. Stojąc przy stole dotykała niemal stopami piekielnej maszyny, a każdym fibrem ciała odczuwała działanie mechanizmu. Stark porwał ją w ramiona i wyniósł prawie na rękach przez długie, wąskie korytarze; wreszcie znaleźli się na ulicy. Reszta zebranych też już się tam znajdowała.

„Co to było? Co to było“? wyszeptał Francois, lecz Stark odsunął go niechętnym ruchem ręki.

Bez słowa usadowił Mary w pierwszej przejeżdżającej taksówce i, podawszy adres szoferowi padł bezsilnie na poduszki samochodu. Gdy taksówka oddaliła się, pozostali członkowie rady poczęli spoglądać po sobie ze zdziwieniem. Wszakże w sali obrad pozostawili na stole najważniejsze dokumenty partyjne, a drzwi były narozcież otwarte!

„Cóż będziemy stać tutaj“? zawołał Bartholomew, dysząc z przerażenia.

„Ale papiery — regulaminy“, zawołał ktoś inny, załamując dłonie.

Myśl jakaś błysnęła Bartholomewowi. Regulaminy mogły zupełnie zdyskwalifikować partję. Aczkolwiek nie był człowiekiem specjalnie odważnym, postanowił za wszelką cenę wejść do pokoju, w którym umieszczona była piekielna maszyna.

„Gdzie są te papiery“? zawołał.

„Na stole“, odpowiedziano mu szeptem prawie.

Nie namyślając się dłużej, wbiegł Bartholomew w kilku susach na schody. Po chwili znalazł się w sali obrad, gdzie słychać było dalej wyraźne cykanie mechanicznego zegara. Rzucił szybkie spojrzenie na stół, potem na podłogę i po chwili był już znowu na ulicy.

Czekał nań tylko Francois, tamci już odeszli.

„Papiery, papiery“, zawołał Francuz.

„Zniknęły“, wycedził Bartholomew przez zęby.

W tym samym budynku, gdzie odbywało się zebranie Naczelnego Komitetu o piętro wyżej toczyła się następująca rozmowa:

„Manfred“, rzekł Poiccart, „czy przyjaciel nasz będzie nam potrzebny“?

„Masz na myśli Mr. Jessena?“ uśmiechnął się Manfred.

Poiccart skinął potakująco głową.

„Mam wrażenie, że tak“, rzekł Manfred ze spokojem, „nie jestem bowiem pewny, czy ten djabelski zegar będzie wystarczającym postrachem dla zebranych. Ale otoż i Leon“.

Do pokoju wszedł Gonsalez, zdejmując leniwie płaszcz.

Zauważyli, że rękaw u płaszcza Gonsaleza był podarty. Prawą rękę miał owiniętą skórkową rękawiczką.

„Szkło“, wyjaśnił Gonsalez lakonicznie, „nie mogłem się z niem uporać“.

„I cóż“? zapytał Manfred.

„Wszystko w porządku“, odparł Leon; „uciekali, jak stado owiec, a ja poprostu wszedłem swobodnie i bez żadnych wysiłków zabrałem dokumenty“.

„Cóż Bartholomew?“

Na twarzy Gonsaleza ukazał się rozradowany uśmiech.

„Najmniej był przerażony, a nawet wrócił potem po papiery“.

„Czyżby?“

„Wyobraźcie sobie, że uciekając zgubił czarne ziarnko grochu, możemy się więc spodziewać, że ujrzymy niedługo czerwone“.

„A zatem kwestja prawie rozwiązana“, rzekł Manfred z triumfem.

ROZDZIAŁ VI.

RADA SPRAWIEDLIWYCH.

Lauder Bartholomew miał znajomego, który był właścicielem farmy w Ugandzie. Nic dziwnego, że Bartholomew przypomniał sobie nagle o istnieniu tego człowieka i o tem, że zaprosił go on do siebie przed trzema laty na przepędzenie zimy w Afryce. W Londynie zazwyczaj przesiadywał Bartholomew najchętniej w klubie, noszącym szumne godło Klub Społeczno - literacko - dramatyczny. Londyńczycy dla których klub ten był lokalem dość znanym, nazywali go poprostu Klubem Nocnym. Bartholomew postanowił opuścić Londyn na jutro, przepłynąć przez Brindisi i Suez, a stam-

ład niemieckim statkiem dostać się do Ugandy. Podróż ta trwać miała około dwóch tygodni. Po długich rozmyślaniach doszedł Bartholomew do wniosku, że wyjazd z Londynu będzie najrzęczniejszym jego posunięciem po tych wszystkich perypetjach, które miały miejsce podczas ostatniego zebra-
nia Komitetu Naczelnego.

Prawdę powiedziawszy, partja Stu Czerwonych może zbyt poważnie przyjęła całą tę aferę. Nie ulegało wątpliwości, że zarząd podejrzewał go, a i fundusze wyczerpywały się z każdym dniem coraz bardziej. Od chwili, gdy zorjentował się w przykrej dlań sytuacji, począł szybko układać plan. Był przygotowany na to, że, prędzej czy później, Czterej Sprawiedliwi zjawią się a wówczas zdrada stanie się rzeczą zupełnie realną. Pozostało mu jeszcze w majątku siedemset funtów, które zaledwie mogły wystarczyć na podróż i załatwienie ostatnich niezbędnych wydatków. Siedemset funtów i czerwone ziarnko grochu...

„Jeżeli mają na myśli interes“, mówił sam do siebie Bartholomew, „mogę liczyć na jakieś trzy tysiące funtów“.

Najtrudniejsze było skomunikowanie się z Czterema Sprawiedliwymi. Trudno przecież ogłosić w gazecie: „Jeżeli Czterej Sprawiedliwi chcą skomunikować się z L... B..., mogą się dowiedzieć ciekawych wiadomości“.

Wówczas cała sprawa stałaby się zupełnie jasną, a Naczelny Komitet nie miałby już żadnych wątpliwości. W duszy przeklinał teraz Czterech Sprawiedliwych za ich nieumiejętność wzięcia się

do interesu. Żeby chociaż nieznacznie wspomnieli coś o jakimśkolwiek spotkaniu, podczas którego możnaby było całą sprawę załatwić.

Siedząc teraz w czytelni Nocnego Klubu, Bartholomew przeglądał w roztargnieniu ostatnie pisma. Jakiś jegomość w wieczorowym stroju podszedł doń, pytając, czy przejrzał już jeden z londyńskich tygodników, na co oczywiście Bartholomew odparł obojętnie, że nie ma zamiaru czytać więcej, poczem zawołał kelnera klubowego, polecając przynieść sobie whisky i syfon sodowej wody dla otrzeźwienia.

Jegomość w wieczorowym stroju wrócił po chwili, odkładając na miejsce ów londyński tygodnik; zwrócił się przytem grzecznie do Bartholomewa:

„Bardzo mi przykro, że przerwałem panu czytanie, ale wiadomość w tygodniku tym była dla mnie nader ważna“.

Bartholomew przyjrzał się jegomościowi uważnie i doszedł do wniosku, że twarz jego była mu dziwnie znajoma.

„Czy nie spotkałem już pana kiedyś“? zapytał.

Nieznajomy wzruszył ramionami.

„Przeważnie zapomina się twarze, które się raz w życiu widziało“, uśmiechnął się. „I ja mam wrażenie, że znam pana, lecz nie mogę sobie przypomnieć, gdzie pana widziałem“.

Właściwie nietylko twarz, ale i głos przypominał Bartholomewowi jakiś epilog z przeszłości.

„Nie jest Anglikiem“, myślał Bartholomew.

zastanawiając się nad dziwnem spotkaniem, „musi być Francuzem, albo Słowianinem. Kimże, u djabła, może być“?

Rozpoczęli banalną jakąś rozmowę, a gdy zegar wybił północ, nieznajomy młodzieniec podniósł się z krzesła z przeraźliwym ziewaniem.

„W którą stronę pan idzie“? zapytał uprzejmie.

Nie mając żadnych określonych planów, Bartholomew chętnie przystał na propozycję młodzieńca odbycia krótkiego spaceru i w dziesięć minut potem opuścili obydwaj klubową salę. Rozmawiając przyjaźnie, skierowali się w stronę Piccadilly. Gdy znaleźli się na placu Berkeley, nieznajomy młodzieniec przystanął.

„Przykro mi, że zaciągnąłem pana w zupełnie odwrotnym kierunku“, rzekł.

„Ależ, absolutnie“, odpowiedział Bartholomew z niezwykłą u niego uprzejmością.

Rozstali się i kapitan wolnym krokiem począł wracać temi samymi ulicami. Na rogu Half Moonstreet dostrzegł stojący tuż przy chodniku samochód. Gdy podszedł do tego miejsca, jakiś wysoki mężczyzna, którego w pierwszej chwili wziął za szofera, zbliżył się doń.

„Czy kapitan Bartholomew“? zapytał z szacunkiem.

„Tak się nazywam“, odparł tamten ze zdziwieniem.

„Mój pan pragnie wiedzieć, jaka jest pańska decyzja“.

„Jaka decyzja“...?

„Jeżeli zdecydował pan czerwone“, ciągnął tajemniczy nieznajomy, „to zechce pan wsiąść łaskawie do tego samochodu“.

„A jeżeli zdecydowałem czarne“? zapytał Bartholomew z wahaniem.

„Sądząc z wszelkich danych“, rzekł nieznajomy z zupełnym spokojem, „mój pan jest zdania, że dla własnego bezpieczeństwa będzie musiał pana unieszkodliwić“.

W głosie nieznajomego nie było ani odrobiny podniecenia, a z słów jego wiało niezwykłym chłodem. Bartholomew dostrzegł w jego ręku przedmiot jakiś, który połyskiwał w świetle ulicznej latarni.

„A zatem decyduję się na czerwone“, wyrzekł chrapliwym głosem.

Nieznajomy skłonił się głęboko i otworzył drzwiczki samochodu.

Bartholomew odzyskał dawną pewność siebie, gdy stanął w obliczu tych ludzi. Wolał to, aniżeli wymówki Naczelnego Komitetu. Czterej mężczyźni zebrani w pokoju, byli w strojach wieczorowych, a twarze ich ukrywały czarne maski. Bartholomew miał wrażenie, że jeden z nich nosił długą brodę, ale i tego nie był zupełnie pewny. Ten właśnie mówił najwięcej ze wszystkich.

„Rozumiem“, rzekł łagodnie, „dlaczego pan wybrał czerwone“.

„Zdaje się, że panowie wogóle dokładnie są wtajemniczeni w moje prywatne sprawy“, odparł Bartholomew.

„Poprostu wybrał pan czerwone znowu“, rzekł tamten.

„Co znaczy znowu“? zapytał zmieszany Bartholomew.

Oczy zamaskowanego gościa zaświeciły niesamowicie.

„Przed laty“, rzekł ze spokojem, „był sobie oficer, który zdradził ojczyznę swą i swych towarzyszy“.

„To jest bezczelne kłamstwo“.

„Pełnił on służbę przy składach, gdzie zebrane były prowianty i amunicja“, ciągnął dalej zamaskowany. „Aż pewnego razu zjawił się komendant wrogich wojsk, któremu składy te były niezbędnie potrzebne, a nie miał dość wojska, aby je mógł zdobyć“.

„Bezczelne kłamstwo“, powtórzył Bartholomew posępnie.

„Komendantowi przyszło na myśl zaofiarowanie łapówki, aczkolwiek było to rzeczą nadzwyczaj ryzykowną. Znał on jednak dokładnie słabostki ludzi“.

„Może pan nie kończyć“, wtrącił Bartholomew.

„Prawie żadne słowo nie padło“, ciągnął dalej Manfred; „nasz oficer był sprytny i zgodził się odrazu“.

Manfred ukazał Bartholomewowi trzymane w dłoni dwa ziarnka grochu. Jedno było czerwone, drugie czarne.

„Czarne ziarnko oznaczało odmowę, czerwone — zgodę. Warunki podane były na czerwonym ziarnku grochu, a suma wynosiła tysiąc funtów“.

Bartholomew milczał.

„Właśnie taką samą sumę ofiarujemy panu za pewne informacje, dotyczące ruchów partji Stu Czerwonych“.

„A jeżeli odmówię“?

„Nie odmówi pan“, odparł zamaskowany chłodno; „pieniądze są panu potrzebne, szczególnie teraz, gdy ma pan zamiar zerwać ze swymi przyjaciółmi“.

„Zbyt dobrze jest pan poinformowany...“ zaczął Bartholomew z dziwnym jakimś lękiem.

„Wiem bardzo dużo. Naprzykład, wiem, że zamierza pan uciec z Londynu i, że Lucus Woerhmann znajduje się obecnie w dokach w Neapolu ze względu na drobne jakieś uszkodzenie“.

Zdziwienie Bartholomewa nie miało granic, bo-wiem nikt, oprócz niego samego, nie wiedział, że Lucus Woerhmann był owym statkiem, którym miał nadzieję przedostać się przez Suez.

Dostrzegłszy jego zdziwienie, Manfred uśmiechnął się.

„Nie pytam o pańskie fundusze“, rzekł; „po prostu łatwo je odgadnąć. Musi pan jednak porzucić myśl o podróży. Obecność pańska w Londynie jest niezbędna dla naszego zwycięstwa“.

Bartholomew zagryzł wargi. Projekt ten nie zgadzał się z jego planami.

Przyszła mu do głowy zbawienna myśl.

„Doskonale; jeżeli muszę, to muszę“, rzekł serdecznie, „lecz zanim dojdzie do zgody, czy wolno mi zapytać, z kim mam przyjemność. A poza tem,

zanim jeszcze zostanę zaufanym agentem panów, czy mogę ujrzeć twarze moich chlebobawców“?

Dosłyszał lekceważenie w śmiechu Manfreda.

„Wstęp ten był zupełnie niepotrzebny“, rzekł chłodno Manfred. „Powinien pan zrozumieć, że nie mamy zamiaru wtajemniczać pana w nasze sprawy. Interes nasz polega na wtajemniczeniu naszym w sprawy pańskie“.

„Lecz cokolwiek muszę przecież wiedzieć“, rzekł Bartholomew uparcie. „Co mam właściwie czynić, jakie będą moje obowiązki i ile mi panowie za to zapłacą“?

„Zapłatę dostanie pan wówczas, gdy wypełni pan nasze polecenie“.

Manfred sięgnął do stolika, który stał tuż obok i nagle pokój pogrążył się w ciemnościach. Bartholomew zachwiał się nagle i ogarnął go lęk, którego sam sobie nie umiał wytłumaczyć.

„Proszę się nie obawiać“, rzekł doń ktoś wśród ciemności“.

„Co to ma znaczyć“? zawołał Bartholomew i postąpił krok naprzód.

Uczuł że podłoga się pod nim załamuje. Chciał cofnąć się wtył, lecz stracił już równowagę i począł spadać coraz niżej i niżej...

„Obudź się pan“.

Ktoś szarpał go silnie za ramię, a on, zbudziwszy się, uczuł w kościach przejmujące zimno i chłodny wiatr na twarzy.

Drżąc na całym ciele, otworzył oczy.

Dostrzegł przed sobą żelazną balustradę i chod-

nik uliczny, biegnący, gdzieś wdał. Siedział na zwykłej, ogrodowej ławce; przed nim wznosiła się wysoka, kamienna barjera. Poprosto znajdował się nad brzegiem Tamizy, a przed nim stał policjant, usiłując go zbudzić.

„Proszę wstać, sir — przecież pan wie, że tu spać nie wolno“.

Zerwał się na równe nogi i spostrzegł, że był ubrany w nieswoje futro.

„Skąd ja się tu wziąłem“? zapytał ogłupiałym głosem.

Policjant zaśmiał się wesoło.

„I ja sam nie wiem. Mogę jednak przysiąc, że przed dziesięciu minutami nie było tu pana“.

Bartholomew sięgnął ręką do kieszeni, w której znalazł trochę pieniędzy.

„Proszę mi zawołać taksówkę“, rzekł spokojnie już.

Po kilku minutach taksówka zajechała na bulwar.

Rozstał się z policjantem, zupełnie zadowolonym z rezultatu porannej pracy i pojechał do swego mieszkania.

W jakież to oryginalny sposób znalazł się na bulwarach?

Pamiętał dokładnie Czterech Sprawiedliwych, pamiętał nagle ciemności w pokoju i to, jak począł zapadać się gdzieś wdół... Prawdopodobnie stracił przytomność i nie zdawał sobie z niczego sprawy. Jak przez mgłę widział kogoś, pochylonego nad sobą, który kazał mu głęboko oddychać i wlewał w usta jakiś słodki płyn... To było wszystko...

I futro było jakieś obce, a gdy poczył przesu-
kiwać kieszenie, znalazł list. List ten zawierał tak
specjalną treść, że nie ulegało wątpliwości, iż na-
pisali go Czterej Sprawiedliwi. Był on lakoniczny
i brzmiał następująco:

„Za wierne usługi zostanie pan nagrodzony; za
zdradę zginie pan marnie“.

Bartholomew zadrżał. Czuł się bezsilnym
i wiedział, że niema dlań żadnego ratunku. Zasadni-
czo nie wiedział nawet, gdzie odbywał ową konfe-
rencję z Czterema Sprawiedliwymi, samochód bo-
wiem był tak zasłonięty, że zupełnie nie orjentował
się w kierunku, w którym go wieziono. Głowił się
teraz nad problematem, w jaki to sposób Czterej
Sprawiedliwi pragną wyzyskać jego wiadomości,
aczkolwiek był zadowolony, że znaleźli tak bezpo-
średnią do niego drogę.

Z nieznośnym szumem w uszach dotarł wresz-
cie do swego mieszkania i w ubraniu rzucił się na
łóżko. Spał do południa, a obudził się niezwykle
zdenerwowany. Dopiero kąpiel otrzeźwiła go nie-
co. Wyszedł na miasto. Po drodze przypomniał so-
bie, że o piątej naznaczone było posiedzenie Naczel-
nego Komitetu. Gdzie się Komitet miał zebrać —
nie miał pojęcia; spodziewał się na Leicester Square
zastać Francois, zwrócił się więc w tym kierunku.

Francois, jak zwykle, powitał go z uśmiechem.

„Komitet Naczelny zebrał się o drugiej“, rzekł.
„polecono mi powiedzieć panu, że zaakceptowano
dwa projekty“. Obejrzał się za siebie dla pewności,
czy nikt ich nie podsłuchuje.

„Na Gravesend rozegrała się walka, która wła-

sciwie nie doprowadziła do niczego. Owym gentlemanem jest kapitan Svardo, który, jak panu wiadomo, jest człowiekiem dosyć dla nas niebezpiecznym“.

„A drugi projekt“? zapytał Bartholomew.

Francois znowu obejrzał się niespokojnie.

„Poprostu idzie tu o bank“, zawołał z triumfem.

Bartholomew wyraził zdziwienie.

„Bank — Bank Angielski. Czyście zwarzowali — czyście zmysły postradali“.

Francois wzruszył tolerancyjnie ramionami.

„Taki jest rozkaz“, rzekł krótko.

„Ale w Angli — w Londynie“?

Tamten nic nie odpowiedział.

„Taki jest rozkaz“, rzekł znów Francois po chwili. „Au revoir“, dodał i z głębokim ukłonem oddalił się.

Nagła potrzeba zerwania z partją Stu Czerwonych wzmogła się teraz jeszcze bardziej. Bartholomew wiedział, że dłuższe przebywanie z tymi ludźmi może go zgubić.

Spojrzzał na zegarek i począł iść ku miejscu swego przeznaczenia.

Miejscem tem, jak sądził, była sala Malinowa w hotelu Larbounne.

Kelner był niezwykle rozmowny tego dnia. Stał przy stoliku, przy którym siedział Bartholomew i gawędził z nim po przyjacielsku. Inni kelnerzy dziwili się, co mogło łączyć kelnera z gościem, bo- wiem obydwaj zajęci byli obecnie ożywioną pogawędką.

Kelner mówił:

„... nie wierzę w tę całą historję z Grondovitchem, lecz ambasada i komenda powinny o tem wiedzieć. Kiedy ma pan zamiar wyjechać“?

„Jak tylko będę mógł“, odparł Bartholomew.

Kelner strzepywał ze stolika popiół, który spadł z cygara Bartholomewa.

„A Dama z Gratzu“? zapytał.

Bartholomew uczynił gest wątpliwości.

„Dlaczego nie“, rzekł kelner, spoglądając w zamysleniu przez okno; „dlaczego nie miałyby pan jej wziąć z sobą“?

Właściwie myśl ta oddawna już kiełkowała w głowie Bartholomewa, nigdy jednak, nawet przed sobą samym, nie wypowiedział jej głośno.

„Ona jest bardzo piękna i zdaje mi się, że jest wyjątkowo pańskim typem. Mówiąc szczerze, byliśmy bardzo zadowoleni, gdyby wyjechała stąd, albo też gdybyśmy mogli ją ujrzeć martwą“.

Dla orjentacji czytelników muszę na tem miejscu dodać, że owym kelnerem był Menszikof, niegdyś prawa ręka komendanta tajnej policji, obecnie zacięty wróg partji Stu Czerwonych.

Bartholomew zapłacił szybko i wstał ostentacyjnie z miejsca. Przyszło mu w tej chwili na myśl, że Menszikof był uważany za milionera.

„Chciałem panu wydać reszty z tego, co mi pan kazał zmienić“, rzekł Menszikof ze spokojem, wręczając Bartholomewowi kilka srebrnych monet i dodając do tego kilka stu funtowych banknotów. Bartholomew wsunął pieniądze do kieszeni.

„Do widzenia“, zawołał głośno.

„Au revoir, monsieur, et bon voyage“, skłonił się nisko kelner.

ROZDZIAŁ VII. *Rozdział 7.*

KSIĘŻNICZKA EWOLUCJI NA LITWIE

Aczkolwiek Dama z Gratzu była kobietą pełną temperamentu, dla Bartholomewa była ona zawsze chłodną i obojętną. I teraz, siedząc w głębokim fotelu, w apartamencie swym na Bloomsbury, słuchała słów jego z zupełnym spokojem, z spojrzeniem utkwionem w pobladłej jego twarzy. Było to naza- jutrz po rozmowie Bartholomewa z Menszikofem. Chłód Damy z Gratzu podniecał coraz bardziej Bartholomewa, starającego się przemową swą przekonać piękną kobietę.

„Lecz dlaczego“? Było to wszystko, o co go za- pytała w tej chwili.

Kilkakrotnie już przerywał swą przemowę, jakgdyby spodziewając się od niej chociaż słowa, któreby dało mu cień nadziei. I znowu po krótkiej przerwie mówić począł z zapałem: lęk przed Czterema Sprawiedliwymi z jednej strony, z drugiej zaś — przed Naczelnym Komitetem partji Stu Czerwonych, działał mu na nerwy. Jedyne ratunek widział w ucieczce, przed którą jednakże miał jeszcze bardzo wiele przeszkód do pokonania. Podróż w towarzystwie tej kobiety wydałaby mu się rajem i nawet chłód, z jakim go dzisiaj powitała, był niczem w porównaniu z myślą o przyszłej swobodzie i wspólnem z Damą z Gratzu pożyciu.

„Mary, czy pani sama się nie orientuje? Przecież ta cała praca dotychczasowa jest absolutnie dla pani nieodpowiednia. Jest pani stworzona dla miłości i dla mnie“. Ujął małą rączkę, której mu nie bronila, lecz pytający jej wzrok nie ustępował z jego twarzy.

„Ale dlaczego“? zapytała znowu, „i jak? Ja przecież pana nie kocham i prawdopodobnie nigdy nie pokocham żadnego mężczyzny. Zresztą, i mnie i pana czeka praca; czy wolno nam tyle ważnych spraw pozostawić tutaj. A towarzysze pańscy...“.

Zadrżał na całym ciele i wypuścił dłoń jej z uścisku. Przez chwilę stał nad nią, patrząc uporczywie w piękne jej oczy.

„Praca — towarzysze! zawołał ze śmiechem ironicznym. „Czy przypuszcza pani, że zamierzam i nadal nadstawiać karku?“

Nie słyszał jak drzwi się cicho otworzyły i dwaj mężczyźni weszli do pokoju.

„Czy pani zupełnie oszalała“? zapytał brutalnie. „Czy nie widzi pani, że nasza misja jest już skończona? że Czwerej Sprawiedliwi z każdym dniem są pewniejsi zwycięstwa nad nami? Zgniotą nas jednym ruchem ręki. Wiedzą o nas wszystko, a nawet wie o nas wszystko książę Eskurialu. Tak, przeraża to panią, a jednak, to jest prawda: o każdym słowie które mówię w tej chwili do pani, oni wiedzą“.

„Jeżeli to ma być prawda“, szepnęła, „to musi być między nami jakiś zdrajca“.

Machnął obojętnie ręką na znak zupełnej nieświadomości.

„Zdraycy są zawsze, gdy zdrada ich jest dobrze opłacana“, rzekł swobodnie; „czy jest jednak zdrayca, czy go niema, uważam, że Londyn stał się zbyt ciasny dla nas.

„Dla pana“, sprostowała dziewczyna.

„Dla pani również“, rzekł łagodnie, ujmując znowu jej dłoń. „Posłannictwem pani, piękna czarodziejko, jest wspólne życie ze mną“:

Przyciągnął ją do siebie, lecz w tej samej chwili czyjaś silna dłoń schwyciła go za ramię. Gdy odwrócił głowę, spotkał się z groźnym wzrokiem Starka. Stark nie był przygotowany na silne uderzenie ze strony przeciwnika, pod wpływem którego potoczył się pod przeciwległą ścianę.

Odzyskał jednak szybko równowagę i skinął na Francois, który zamknął drzwi na klucz.

„Proszę nie podchodzić do drzwi“!

„Stać“!

Stark wycierał dłonią zbroczoną krwią twarz.

„Zaczekaj pan“, rzekł poważnie; „zanim jeszcze pan się tu zjawił, mieliśmy pewne porachunki z sobą“.

„Chętnie służę satysfakcją“, rzekł spokojnie Bartholomew.

„Nie chodzi tu o czynne znieważenie mnie“, odetchnął głęboko Stark, „ważniejszą mam kwestję na myśli, a mianowicie — sprawę zdraycy Naczelnego Komitetu“:

Podbródek zadrgał mu, gdy wypowiadał ostatnie słowa.

Bartholomew miał bardzo mało czasu, aby się namyślać nad odpowiedzią. Był osaczony ze

wszystkich stron, instynktownie jednak przeczuwał, że do pojedynku nie dojdzie, a przynajmniej nie dojdzie do strzałów rewolwerowych. Najbardziej obawiał się sztyletu, owego sławetnego śmiercionośnego narzędzia partji Stu Czerwonych, który niejednego już zdrajcę usunął ze świata. Kurczowym ruchem chwycił poręcz stojącego tuż przy nim krzesła. Ach, gdyby mógł nieznacznie podsunąć się do drzwi i umknąć stąd, bowiem o pokonaniu Starka nie było mowy.

„Zradziłeś nas pan przed Czterema Sprawiedliwymi. Nie mielibyśmy o tem pojęcia, gdyby nie to, że jednocześnie wydałeś pan nas ambasadzie. Przesłaliśmy panu wiadomość o zamierzonym zamachu na Bank Angielski i okazało się, że Bank był strzeżony przez Czterech Sprawiedliwych. Również i zamach na ambasadę nie udał się; widocznie i ambasada i Czterej Sprawiedliwi zostali zawiadomieni przez pana“.

Bartholomew zacisnął mocniej palce na poręczy krzesła. Zdawał sobie dokładnie sprawę, że stanął oko w oko z śmiercią i ogarnął go paniczny lęk.

„Wezoraj w nocy“, ciągnął dalej Stark ze spokojem, „odbyło się potajemne zebranie Naczelnego Komitetu, na którym odczytane zostało z listy pańskie nazwisko“.

Wargi Bartholomewa posiniały.

„Rada orzekła jednogłośnie...“ Stark zamilkł, spoglądając na Damę z Gratzu. Stała nieruchomo z wzrokiem, utkwionym gdzieś w daleką przestrzeń. Jednocześnie wzrok Bartholomewa zatrzymał się

również na jej twarzy, lecz nie dostrzegł na niej ani odrobiny dla siebie litości.

„...ogłoszono wyrok śmierci“, zakończył Stark przyciszonym głosem. „a misję tę mnie powierzono“.

Zręcznym ruchem rzucił Stark zatruty sztylet.

„Przeklinam was...“ jęknął Bartholomew i runął u kolan Francois.

Stark spojrział na Damę z Gratzu.

„Oto jest prawo“, wyszeptał, lecz ona milczała, a tylko oczy jej zawisły na zwiniętej w kłębek u nóg jej postaci zdrajcy.

„Musimy pójść stąd“, wyszeptał Stark.

Drżał teraz z dziwnego podniecenia, bowiem zabijanie ludzi było dlań rzeczą zupełnie nową.

„Kto mieszka w sąsiednim lokalu“?

„Jakiś student chemji“, odparła obojętnie.

Głos jej zimny zwrócił uwagę Starka, który przerwał prowadzoną szeptem rozmowę z Francois.

„Spokoju, spokoju“, szepnął błagalnym głosem.

Podsunał się do leżących zwłok, wyjął tkwiący w piersi zabitego sztylet i ukrył ciało za zwisającą u drzwi kotarą. Następnie zbliżył się do drzwi, trzymając rękę na klamce, skinął na tamtych. Zdawało mu się przez chwilę, że ktoś z zewnątrz przytrzymuje drzwi i istotnie po chwili na progu ukazał się wysoki mężczyzna.

Dzięki zasuniętym roletom w pokoju panował półmrok, przybysz więc stojący w uchylonych drzwiach, mógł widzieć zaledwie nikłe syl-

wetki obecnych w pokoju. Tuż za nim wtargnęło do pokoju trzech innych mężczyzn, którzy rozmawiali ze sobą dziwnym jakimś językiem, zupełnie niezrozumiałym dla Starka. Jeden z mężczyzn otworzył drzwi do mieszkania studenta, z którego wyniósł po chwili jakiś przedmiot i podał go stojącemu na progu.

Nieznajomy wszedł, pozostawiając tamtych w sieni. Uważnie zamknął drzwi za sobą i spojrział groźnie na Starka. Stark odzyskał już równowagę.

„Czego pan chce“? zapytał.

„Chcę widzieć Bartholomewa, który wszedł do tego pokoju przed pół godziną“, odparł przybysz.

„Wszedł już stąd“, rzekł Stark i uczuł nagle na podłodze pod nogami leżący sztylet, którym, przed niespełną kwadransem, zamordował swą ofiarę.

„To kłamstwo“, zawołał nieznajomy: „ani on, ani pan, Rudolf Stark, ani też Dama z Gratzu i kompan pański, Francois, nie wychodziliście stąd“.

„Szanowny pan wie stanowczo za wiele“, rzekł z ironją Stark i pochylił się nieznacznie, aby podnieść sztylet.

„Miej się pan na baczności“, ostrzegł nieznajomy i w tej samej chwili Stark i Francois odskoczyli wtył o parę kroków i padli bez przytomności na ziemię. W jednej chwili ciała ich porażone zostały przeraźliwie silnym prądem.

„Głupcy jesteście“, rzekł znowu nieznajomy,

„a panią proszę również nie ruszać się z miejsca. Proszę powiedzieć mi, co się stało z Bartholome-
wem“?

Zaległa chwilowa cisza.

„Bartholomew nie żyje“, odparła cicho Dama z Gratzu. „Był on zdrajcą i dlatego został zabity. I cóż pan uczynił, pan, który jest sędzią-samozwańcem“?

Pozostawił ją bez odpowiedzi; usłyszała tylko szmer przesuwanych po tapecie palców jego, błędzących w poszukiwaniu kontaktu.

„Szuka pan światła, tak jak wszyscy szukamy go przez całe życie“, rzekła i, nie ruszając się z miejsca przekreśliła elektryczny kontakt.

Nieznajomy ujrzał ją, stojącą tuż obok leżących na podłodze zwłok. Ona zaś spotkała się ze spojrzeniem głębokich oczu trzydziestoletniego mężczyzny o wysokim czole i długiej, jedwabistej brodzie. Pod wpływem przejmującego jego wzroku dziewczyna przymknęła powieki.

„Oto jest światło, którego pan żądał“, ciągnęła dalej. „Dla nas, członków partji Stu Czerwonych, nie trudno jest wprowadzić światło do mroków życia ludzkiego...“.

„Całkiem zbyteczna jest ta pani przemowa“, rzekł Manfred, „niesłusznie nazywają panią „księżniczką rewolucji“; ja raczej mianowałbym panią „księżniczką piękności“. Mówił przez cały czas po niemiecku, wiedząc, że język ten był dla niej najbardziej zrozumiałym. Słowami swemi usiłował ranić jej duszę, a pewien był, że dokazał tego.

Dostrzegł, jak zadrżała nagle, a na zaciśniętych jej wargach ukazała się kropla krwi.

„Jestem pewna, że ujrzę pana kiedyś znowu“, odezwała się drżącym głosem. „Będę szukać pana specjalnie, aż znajdę, a wówczas będzie pan w mocy księżniczki ewolucji, lub też księżniczki piękności, jeżeli pan woli“.

Manfred złożył głęboki ukłon.

„Poddaję się losowi“, rzekł chłodno, „obecnie jednak jest pani bezsilna, a jeżeli zechcę, będzie pani bezsilna na zawsze. Pragnieniem mojem jest, aby się pani teraz oddaliła“.

Wymownym ruchem otworzył drzwi. Magnetyczny jego wzrok zdawał się wyganiać ją z pokoju.

„Oto jest pani droga“, rzekł, widząc jej wahanie. Była bezsilna.

„Przyjaciele moi...“ zaczęła, przystając znowuż na progu.

„Przyjaciół pani spotka taki sam los, jaki czeka panią“, przerwał jej chłodno.

Kredowo bladą twarz zwróciła ku niemu.

„Pan grozi mi. Wyjątkowy z pana mężczyzna, który potrafi grozić bezbronnej kobiecie“.

„Oto jest pani droga“, powtórzył znowu, składając jej głęboki ukłon.

Była od niego oddalona zaledwie o krok jeden; patrzyła mu prosto w oczy, wzrokiem straszliwej nienawiści.

„Przyjdzie dzień“, wyszeptala, „gdy zapłacę panu za wszystko“:

Odwróciła się szybko i zniknęła za drzwiami.

Manfred wsłuchiwał się w odgłos oddalających się jej kroków, poczem podszedł do zwłok Starka.

ROZDZIAŁ VIII.

MR. JESSEN I WŁADZE.

W związku z wypadkami, które nastąpiły prawie natychmiast po tajemniczym zamachu na Canonstreet, ograniczyć się muszę do skromnych wiadomości, które zdołałem zdobyć o rezultacie propagandy partji Stu Czerwonych przeciwko organizacji Czterech Sprawiedliwych. Wiadomości te wprawdzie w powiększonym formacie podał niezadługo potem Megaphon, któremu przypisać należy niezwykle bujną imaginację.

Najciekawszą bodajże historję opisał Harold Ashton na łamach Morning Leader pod tytułem „Czterdzieści dni w szponach teroru“. W historji tej autor nie omieszkiał uzewnętrznić całej swej nienawiści do tajemniczej organizacji nieznanym nikomu ludzi, podkreślając jednocześnie sympatję swą dla partji Stu Czerwonych. Przy końcu artykułu Mr. Harold Ashton zamieszcza nieznaczną wzmiankę o oryginalnym powrocie Mr. Jessena do mieszkania jego przy Presleystreet Nr. 37. Zasadniczo będzie to niedyskrecją z mej strony, gdy żechcę uprzedzać wypadki, lecz tak jestem przejęty niesprawiedliwością „Czterdziestu dni w szponach teroru“, że wszelka etyka choć na chwilę w duszy mojej musi zaniknąć.

Historja opiewa, że pewnego pięknego poranku Mr. Jessen wyszedł z domu swego przy Presley-street i podszedł do zdziwionego codziennego swego dostawcy mleka z pretensją, dlaczego tego ranka nie przyniósł mu mleka, jak to bywało zawsze. Zdziwienie mleczarza było zupełnie naturalne, choćby z tego względu, że wiedział on o tajemniczym zniknięciu przed kilku dniami, popularnego wielce na tej ulicy Mr. Longa, bowiem zniknięcie to wywołało w całym niemal mieście wielką sensację. Wszystkie prawie gazety podawały fotografie wnętrza mieszkania Mr. Longa, a dom przy Presleystreet Nr. 37, stał się istnym miejscem pielgrzymek zainteresowanej gawiedzi.

Faktem jest, że Mr. Long po powrocie do domu, udał się natychmiast do komendy policji i opowiedział swą historję tamtejszemu sekretarzowi. Zawezwano oczywiście szefa departamentu Scotland Yardu, który przybył w towarzystwie inspektora Faltho. Wszystkie te fakty podał w artykule swym Mr. Ashton.

„Najoryginalniejszym zdarzeniem jest to“, utrzymuje autor, „że Long Jessen, zdaje się posiadać ważne dokumenty, któreby zadowolnić mogły w zupełności dyrekcję policji i rzucić nowe światło na tajemniczą szajkę nieznanych ludzi. Dokumenty te jakoby miał Jessen wręczyć Mr. Ridgewayowi, prosząc jednocześnie o absolutną dyskrecję“.

Jakim sposobem dokumenty te dostały się do rąk Jessena, Mr. Ashton milczy. W papierach tych są wzmianki o prezydencie Francji, jakoteż o carze

Mikołaju i podobno wiele z tych dokumentów pochodzi z archiwów Francji i Rosji. Niezadługo po wizycie Mr. Jessena w komendzie policji, odkryte zostało morderstwo trzech ludzi w mieszkaniu rosyjskiej księżniczki. Nie pozostaje mi nic innego, jak podać na tem miejscu notatki Timesa, który, pozazdrościwszy niezwykle bujnej wyobraźni Megaphonu, nie szczędził miejsca na umieszczenie wiadomości o tym fakcie.

Oto, co podaje Times:

„Okolo godziny pierwszej w dniu wczorajszym inspektor Falthoth w towarzystwie kilku detektywów udał się pod numer 69 Carlby Mansion, gdzie znajdowało się mieszkanie, zajmowane przez młodą Rosjankę, księżniczkę Slenwicz, położone na pierwszym piętrze. W pierwszym pokoju, na podłodze znaleziono zwłoki trzech mężczyzn. Byli to: Lauder Bartholomew, lat 33, były kapitan kawalerji; Rudolf Stark, lat 40, podobno porywany austriacki i Henri Francois, lat 36, Francuz, znany propagator partji Stu Czerwonych. Przyczynę śmierci Bartholomewa zdołano ustalić, tamci zaś zmarli z niewiadomych powodów. W pokoju znaleziono list z podpisem Czterech Sprawiedliwych, w którym to liście tajemnicza organizacja przyznaje się do wyrafinowanego morderstwa. Do późnego wieczora nie zdołano wpaść na ślad księżniczki Slenwicz, która już w chwili wkroczenia do mieszkania policji była nieobecna“.

Nie przewidując o czem napisze Times, inspektor Falthoth stał zafrasowany na środku pokoju, w którym popełniona została zbrodnia.

W jednym z rogów pokoju widniał wyrwany w podłodze wielki otwór, spowodowany prawdopodobnie jakimś specjalnie zainicjonowanym wybuchem.

„Najoryginalniejszą rzeczą jest“, zwrócił się inspektor do swego towarzysza, „że pierwszym przedmiotem, który mi się rzucił w oczy po wejściu do mieszkania, był banknot dwudziestofuntowy, przypięty do tapety wraz z kartką, na której napisano ołówkiem, że banknot ten przeznaczony jest jako zapłatę dla właściciela domu za poczynione szkody“.

Zauważyć należy, że inspektor Falmoth, podczas rozmowy ze swym młodym towarzyszem, niejednokrotnie zwracał się doń, mimowoli tytułując go Wasza Wysokość, na co młodzieniec albo nie zwracał uwagi, albo też w pewnych chwilach starał się tytuł ten sprostować.

„Proszę się nie dziwić, inspektorze, że interesuje mnie ta cała afera“, rzekł młodzieniec ze spokojem; „ludzie ci skazali mnie na śmierć...“.

„Cóż złego uczynił pan partji Stu Czerwonych, sir“?

Młodzieniec zaśmiał się głośno.

„Nic absolutnie. Przeciwnie, starałem się im pomóc“.

Detektywowi przyszło na myśl, że ksiązę Eskurialu uchodził za człowieka ekscentrycznego. Na wąskich wargach księcia błakał się jeszcze niewidoczny prawie uśmiech.

„Czy myśli pan teraz o mojej oryginalnej opinji“? zapytał.

„Nie, nie“! zawołał zmieszany Mr. Falmoth.

„Przyznaję, że popełniłem bardzo wiele niedorzeczności“, rzekł tamten, śmiejąc się znowu; „po prostu tkwi to widocznie w naszej krwi; kuzyn mój...“.

„Zapewniam Waszą Wysokość“, przerwał Falmoth z zapałem, „że nie ośmieliłbym się myśleć o takich rzeczach. Mówiono tylko cośnecoś o socjalistycznych poglądach Waszej Wysokości, lecz to, oczywiście...“.

„... jest najzupełniejszą prawdą“, dokończył książę chłodno. Zwrócił się potem do tajemniczego otworu w podłodze. „Co pan myśli o tem? Czy ma pan jakieś podejrzenie“? zapytał.

Detektyw skinął głową potakująco.

„Nietylko podejrzenie, ale pewność. Widzieliśmy się przecież z Jessenem i nici całej tej historii mamy teraz w rękach“.

„Co pan zamierza czynić“?

„Nic“, odparł detektyw ze spokojem. „Należy czekać cierpliwie, dopóki nie położy się Czterech Sprawiedliwych na obydwie łopatki“.

„A sam sposób zabójstwa“?

„I to trzeba trzymać w tajemnicy“, odparł Falmoth z przejęciem.

Rozmowa ta była jakgdyby zaczątkiem dalszego śledztwa, do którego wzięła się policja.

W biurze komendy zebrano się kilku wyższych dygnitarzy policyjnych: mieli postanowić jak należy postępować dalej. Nie brakło tu również dziennikarzy, którzy zapisywali skrupulatnie każde słowo, rzucone przez któregoś z urzędników. Wresz-

cie wyrok sądu zredagowano w ten sposób, że morderstwo popełnione zostało przez osoby nieznanne. Wyrok ten spotęgował jeszcze tajemnicę i zaalarmował i tak już przerażoną opinię publiczną.

Jednym ze sprawozdawców prasowych był Charles Garret, który, po odczytaniu wyroku, postanowił porozmawiać na uboczu z inspektorem Falthothem.

„Co zamierzacie dalej, Mr. Falthoth“, zapytał Garret.

„Czy widział się pan z Jessenem?“ — zagadnął detektyw.

„Oczywiście“, odparł Charles z goryczą: „po tem wszystkim, co uczyniłem dla tego człowieka, spotkała mnie taka niewdzięczność“.

„Czy nic panu nie mówił?“ — zapytał Falthoth naiwnie.

„Milczy, jak grób“, odparł Garret ze smutkiem.

Detektyw przygotowany był na to, że prędzej czy później Garret dowie się o wszystkim, bowiem był on jedynym człowiekiem, dla którego Jessen nie miał dotychczas żadnych tajemnic. Czy nie lepiej byłoby, aby dziennikarzowi powiedzieć o tem teraz?

„Gdybym był na pańskim miejscu“, zaczął Falthoth spokojnie, „nie dręczyłbym Jessena pytaniami. Zdaje pan sobie chyba dokładnie sprawę, jakie znaczenie ma obecnie ten człowiek dla władz. Pójdź pan ze mną“.

W milczeniu udali się do Carlby Mansions i w parę minut potem znaleźli się u drzwi miesz-

kania, w którym przed niespełną tygodniem rozegrała się sensacyjna tragedia.

Falthoth otworzył drzwi dobytym z kieszeni kluczem i po chwili Garret wszedł ostrożnie do pokoju. Pierwszą rzeczą, jaką zauważył był ów tajemniczy otwór w podłodze.

„O tem nie wspomniano nic w dokumentach śledczych“, zauważył zdziwiony; „co to jednak ma wspólnego z Jessenem?“

Przyglądał się spokojnej twarzy detektywa i nagle myśl jakaś przyszła mu do głowy.

„Rozumiem“, zawołał, „lecz co na to władze?“

„Władze“, odparł Falthoth chłodno, obracając w rękach kapelusz, „władze zapatrują się na ten fakt poprostu filozoficznie“.

Tego samego wieczoru zjawił się Mr. Long w lokalu Bractwa i z zupełnym spokojem obwieścił, że pragnąłby dzisiaj powiedzieć słów kilka na temat: „Czy złoczyńcy potrafią być również troskliwymi opiekunami?“

ROZDZIAŁ IX.

ZACIĘTA WALKA.

Jakim sposobem Dama z Gratzu wypłynęła znowu na widownię życia politycznego pozostanie zarówno dla mnie, jak i dla czytelników moich niezbadaną tajemnicą. Dzięki niezwyklemu urokowi, jaki posiadała ta kobieta i dzięki niespożytej energii już zaledwie w kilka dni po owej straszli-

wej tragedji w własnem jej mieszkaniu, poczęła się zajmować na nowo sprawami partyjnemi. Po śmierci Starka, Dama z Gratzu stanęła na czele partji Stu Czerwonych, a z każdego niemal zakątka Europy poczęły wpływać na jej ręce wielkie sumy, które miały dopomóc do rozwoju i potęgi partji.

Ze wszystkich państw europejskich jedynie Anglja wolna była od śmiałych wystąpień anarchistycznych i stanowiła jakby świątynię, w której anarchizm nie czynił żadnych spustoszeń. Dopiero po zabójstwie Starka, Dama z Gratzu, będąc już leaderką partji Stu Czerwonych, ogłosiła walkę na śmierć i życie z rządem angielskim, która to walka przyjęta została przez członków partji z niezwykłym entuzjazmem.

Rozpoczęła się wojna dwóch wielkich żywiołów, z których jeden walczył otwarcie, drugi zaś wspomagany był tajemniczą jakąś siłą. Zdawało się, że dwa złe duchy postanowiły się wzajemnie zwyciężyć. Wobec takiego stanu rzeczy, nawet policja angielska okazała się zupełnie bezsilna. Walkę przeciwko partji Stu Czerwonych podjęła tajna organizacja Czterech Sprawiedliwych, która przemianowała się obecnie na Radę Sprawiedliwych.

Czterej Sprawiedliwi zdobywali się już teraz na taką odwagę, że parokrotnie przed rozpoczęciem walki przysyłali delegatów swych do Scotland Yardu, a sprawy te omawiane potem były w izbie gmin. Przez cały czas jednak tajemniczy ci ludzie walczyli bez niczyjej pomocy.

Któż nie pamięta owych strasznych, przejmujących dreszczem odezów, znaczonych magicznym

trójkątem partji Stu Czerwonych, które ukazały się pewnego ranka na murach Londynu? Odezwy te zapowiadały zupełne zdemolowanie miasta.

„Jutro rano“, brzmiała odezwa, „dzięki kilku naszym samolotom, które krążyć będą nad miastem Londyn stanie się stosem popiołów“.

„Przeliczyła się“, odezwał się Manfred do trzech mężczyzn, którzy wraz z nim mieszkali chwilowo w Levishamie. Apartament, w którym się znajdowali, umeblowany był z komfortem, a dom był własnością Manfreda, który w ciągu ostatnich kilku lat nabył również parę kamienic w Paryżu, Berlinie, Petrogradzie, Madrycie i Wiedniu. Czterej przyjaciele, po uwadze Manfreda siedzieli znowu w milczeniu. Pierwszy przerwał milczenie Courlander.

„Najbardziej mnie niepokoją te samoloty. Co zamierzacie uczynić?“ — zapytał.

Rozmowa toczyła się na kilka godzin przed rozlepieniem odezw, które dostarczył Manfredowi wprost z pod prasy jeden z tajemniczych jego agentów.

Manfred uśmiechnął się.

„Samoloty nie wzbudzają we mnie żadnego lęku“, rzekł, „potrafimy sobie z nimi poradzić dziś jeszcze, a raczej Leon to skutecznie“.

„Będzie to coś w rodzaju przedstawienia teatralnego“, rzekł Leon.

Książka, którą czytał przed chwilą, spoczywała teraz na jego kolanach; binokle trzymał w palcach. Mówił napół poważnie, napół żartem. Szczupła jego, ascetyczna twarz zdawała się być teraz

bledszą jeszcze, niż wówczas, gdy wspólnie z Manfredem, Poiccartem i Therym obmyślali zamach na ministra. W oczach Leona tlił się jeszcze ten dawny płomień — ten błysk umiejętności rozpoznawczej, która w każdym, spotkanym po raz pierwszy człowieku, potrafiła odnaleźć słabostki jego i namiętności, które mogły odegrać w przyszłości mniejszą lub większą rolę.

„Samoloty to głupstwo“, ciągnął dalej Manfred. „Oczywiście mieszkańcy Londynu przerażają się wielce, gdy ujrzą je nad swymi głowami, a gdy przypadkiem któraś z bomb wybuchnie na ulicy, nastąpi w mieście formalny popłoch. Słyszałem nawet, że państwa europejskie śpieszą z posiłkami dla Anglii“.

„Czy pieniężnemi?“

„Nie. Bomby Pausique’a“, odparł Manfred. „Dawno wygasła metoda bombardowania. Nigdy bomby nie były wyrabiane w Anglii. A co do samolotów, to ujrzenie wkrótce nasz cudowny sposób“.

Odźwierny w katedrze św. Pawła był pewien, że dnia tego do galerji nikt się nie zgłosi, bowiem komisarz policji polecił rozlepić na murach odezwy, aby obywatele londyńscy starali się nie opuszczać swych domostw, dopóki niebezpieczeństwo nie minie.

To też odźwierny zaciekawionem spojrzeniem obrzucił ciemną, drewnianą skrzyneczkę, którą Manfred trzymał pod pachą. Po chwili Gonsalez pokazał mu pozwolenie na poczynienie zdjęć z wnętrza galerji. Lody były przełamane. Odź-

wierny był człowiekiem nerwowym, a najbardziej tego dnia lękał się o żonę swą i dzieci, które mieszkały w Balham.

„Czy panowie będą tam długo?“ — zapytał niespokojnie.

„Około dwóch godzin“ — odparł Manfred.

Odźwierny skrzywił się niechętnie.

„Nie potrzebujecie jednak oprowadzać nas, znajdziemy drogę sami“, dodał Manfred po chwili.

Grzecznem skinieniem pożegnali odźwiernego, pozostawiając go u wejścia. Szli lekkim krokiem, zadowoleni, że w przedsięwzięciu nikt im nie przeszkadza. Z galerji katedry św. Pawła, podczas dnia pogodnego rozciągał się piękny widok na cały niemal Londyn. Pogoda dopisywała i teraz miasto zdawało się przybierać nową jakąś szatę w złocistych promieniach wiosennego słońca. Ulice były puste, a tylko tu i ówdzie wałęsali się małemi gromadkami żołnierze.

„Synowie Marksa“ — rzekł Poiccart; „angielskie wojsko da sobie z nimi radę, nieprawdaż?“

Manfred skinął potakująco głową, a Courlander rzekł drżącym głosem:

„Dlaczego nie zajęli stanowiska tutaj naprzykład?“

„Trzysta stóp nie robi różnicy“, tłumaczył Gonzalez. „Przypuszczam, że posiadają wszelkie możliwe aparaty, aby pozycje swe umocnić“.

Wskazał na południe.

Wysoko, na tle błękitnego nieboskłonu ukazały się dwa maleńkie punkciki. Manfred obserwował je przez lunetę.

„Cylindry oczywiście w kształcie cylindrów Zeppelina,“ mruknął „ze zwykłym prostym motorem i propellerami; lecą z wiatrem“.

Wszyscy spojrzeli w tę stronę w milczeniu. Gonsalez wskazał ręką wysoką wieżyczkę, wybudowaną w kształcie latarni, wewnątrz której pojawił się nagle płomień.

„Wojsko dostrzegło już nieprzyjaciela i daje ostrzegawcze sygnały. Czy nie wygląda tak, jak gdyby porozumiewali się telegraficznie?“

Płomienie znikły na chwilę, a potem zabłyśły z wzmożoną potęgą.

Gonsalez spojrział znowu w kierunku zbliżających się punkcików.

„Lecą nad Chislehurstem z szybkością dwudziestu mil na godzinę“, szepnął, gdy tymczasem Manfred zdjął wieko z przyniesionej z sobą drewnianej skrzyneczki i począł szukać czegoś w jej wnętrzu.

„O ile znam Stu Czerwonych“, rzekł Courlander, „stracą oni mnóstwo czasu na zabawę w kota i myszkę“.

Gonsalez uśmiechnął się blado.

„Smutek ich ogarnia“, rzekł z prostotą. Zauważył badawcze spojrzenie Courlandera, skierowane na tajemniczą skrzyneczkę. W spojrzeniu jego tliło powiątpiewanie i ciekawość zarazem.

„Był to pomysł George'a“, rzekł po chwili Gonsalez; „ja stanowczo byłem temu przeciwny. George praktykował te rzeczy przed kilku laty. Uważa, że i tym razem jest zupełna możliwość“.

„W tym wypadku?“ Courlander wskazał ręką

powiększające się z każdą chwilą statki powietrzne, które płynęły po błękitnie niebios.

„O, nie“, odparł Leon, „jedynem nieszczęściem George'a jest wrodzony jego sentyment, którego dotychczas jeszcze wyzbyć się nie potrafił“.

Zadumę Manfreda przerwał Poiccart.

„Jakie były rozkazy?“ — zapytał nagle.

„Przedewszystkiem katedra św. Pawła...“, zaczął Manfred.

„Tutaj?“ zaniepokoił się Courlander.

„Tak, tutaj“, odparł Manfred z uśmiechem, „nie chciałem pana przerażać — a więc najprzód wieża, potem Mennica, następnie Galerja Narodowa i pokolei wszystkie ważniejsze budynki użyteczności publicznej, które zajęły ich wyobraźnię“.

Obserwował znowu z uwagą zbliżające się balony. Były już tak blisko, że gołem okiem można było dojrzeć pilota, a turkot motoru stawał się coraz nieznośniejszy dla ucha.

„Opuszczają się nieco“, zauważył Poiccart.

„Im bardziej, tem lepiej“, rzekł Manfred, naciągając na prawą dłoń skórzaną rękawicę.

„Uwaga“.

Z jednego z samolotów spadł nagle jakiś mały przedmiot i runął między dachy londyńskich kamienic. Nastąpiła chwila głuchej ciszy, poczem rozległ się straszliwy huk, niby odgłos gromu. Magazyny wznoszące się po drugiej stronie rzeki stanęły w płomieniach i poczęły się chwiać, niby domki z kart.

„Zaprzestali“, rzekł Poiccart.

Propellery zdwoiły swą pracę i samoloty gna-

ne silnym podmuchem wichru poczęły wirować wokół.

„Leniwa ciekawość zawiedzie najostrożniejszego nawet spiskowca“, moralizował Manfred, za nużając do wnętrza przyniesionej z sobą skrzynekki urękawiczoną dłoń. Zanurzył rękę dwukrotnie, wyciągając za każdym razem ptaka.

Ptaki takie rzadko się spotyka w naszych czasach, lecz przed wiekami rycerstwo angielskie otaczało je niezwykłą troskliwością, dzięki której gatunek ptaków tych przechował się aż do czasów obecnych.

„Sokolnictwo“, rzekł Manfred, zdejmując z ręki kapturki z zgrabnych sokołich łbów, „sporządzone w zamierzchłych czasach przeszłości. Zobaczycie, że nie tylko jastrzębia można pokonać“.

Wypuścił ptaki z uwięzi.

„Przybliżają się“, szepnął Poiccart.

„Doskonale“, odparł Manfred.

Ptaki przez chwilę szybowały nad głowami obserwujących ich mężczyzn, poczem zoczywszy samoloty, pofrunęły w ich stronę.

„Zdaje się, że są nad rzeką“, zauważył chłodno Manfred. „Czy dostrzeżliście manewr samolotów?..“

Sokoły płynęły teraz tuż nad balonami, a wreszcie spadły na nie z góry niby dwie ciężkie bryły kamienne. Z tak znacznej odległości, w jakiej znajdowali się Czwerej Sprawiedliwi, trudno było usłyszeć syczenie uchodzącego się z balonu gazu. Zauważyli dopiero po chwili, że jeden z balonów zaczął stopniowo maleć, poczem zawirował w po-

wietrze i runął na ziemię. Plusk rzecznych fal towarzyszył temu upadkowi.

„Jeden pokonany“, rzekł ponuro Manfred. „wpadł do rzeki“.

Zwycięzenie drugiego balonu trwało dłużej nieco, bowiem załoga, będąc świadkiem pierwszej katastrofy usiłowała umknąć przed napaścią sokoła. Nagle w pewnej chwili nad balonem ukazał się słup sinego dymu, który poprzedził odgłos straszliwej eksplozji powietrznej...

„Artylerja polowa“, rzekł Manfred. „Widziałem działa na wybrzeżu. Mam nadzieję, że nie zabili mego sokoła“.

Trudno byłoby opisać to wszystko, co się działo w Londynie w ciągu tych dni czterestu. Oczywiście zdarzenie ze statkami powietrznymi było najbardziej frapujące i pozostało najdłużej w pamięci mieszkańców Londynu. Od pamiętnych dni Fensańskich stolica Anglii nie przeżywała nigdy podobnego teroru, jaki zgotowała jej partja Stu Czerwonych.

Codziennie prawie dowiadywano się o nowym jakimś zamachu, który gazety opisywały na kilku kolumnach, za każdym jednak razem zamachy Stu Czerwonych udaremniane były przez tajemniczą organizację Rady Sprawiedliwych, a udaremnione raz nie powtarzały się już więcej. Raz jeden tylko udało się partji Stu Czerwonych doprowadzić zamach do końca.

Było to na trzy dni przed zwołaniem posiedzenia wyższych dygnitarzy policyjnych.

„Dalej tak być nie może“, mówił komendant policji londyńskiej. „Przecież zasadniczo uchodzi-
my za najlepszą policję na świecie, powinniśmy
więc podolać naszemu zadaniu“.

„Robimy wszystko, co jest w naszej mocy,
sir“, odparł główny detektyw; „jeżeli uważa pan,
że dymisja moja może poprawić sytuację...“

„Niechże pan głupstw nie opowiada“, oburzył
się komendant. „Czyż nie widzi pan...“

„Widzę doskonale i cieszę się, że wszystkie te
zamachy nie uczyniły stolicy wielkich szkód. Wed-
ług opinji naszych obywateli zapobiegają wszyst-
kiemu Czterej Sprawiedliwi“.

„Lecz my niczemu nie zapobiegamy. Wszelkie
informacje zbiera pan...“

„Od Rady Sprawiedliwych, to prawda; lecz
cóż za różnica, skąd zbieramy materiał? Proszę
mnie wysłuchać, sir. Należałoby wysłać poza gra-
nice kraju księcia Eskurialu“, dodał po chwili po-
ważnie. „Dowiedziałem się, że Czerwoni czyhają
na niego. Informacje, o których mówię nie pocho-
dzą tym razem od Czterech Sprawiedliwych, a o-
trzymałem je od człowieka, który mi tę wiadomość
sprzedał. Dziś w nocy zobaczę go znowu, jeżeli do
tej pory ktoś mi go nie utraci“.

„Lecz książę jest naszym gościem“.

„I tak bawił tu za długo“, rzekł praktyczny
zawsze detektyw; „pozwólmy mu wrócić do Hisz-
panji, gdzie ma zawrzeć związek małżeński w naj-
bliższych tygodniach. Pozwólmy mu wrócić do oj-
czyzny, aby mógł poczynić zakupy przedślubne“.

„To znaczy, że nie może mu pan zagwarantować zupełnego bezpieczeństwa?”

„Zabezpieczyć można małe sześciolatnie dziecko, lub też statecznego, sześćdziesięcioletniego starca, za czyny jednak młodzieńca, który usiłuje zwieźć Londyn bez przewodnika, który przedsięwzięrze jakieś ekstrawagancyjne przejażdżki automobilem i odmawia udzielenia wszelkich wyjaśnień, jakoteż nie umie nigdy ułożyć programu dnia — jest stanowczo zbyt trudne“.

Komendant policji opuścił na chwilę gabinet.

„Sprawa księcia Eskurialu“, rzekł po chwili, ukazując się znowu na progu, „została już załatwiona. Wyjazd jego ma nastąpić jak najspieszniej. Dzisiejszy wieczór jest ostatnim jego wieczorem, spędzonym w Londynie“.

Główny detektyw odetchnął z ulgą.

„Dzisiaj książę udaje się do sali Audytorjum“, rzekł, wstając z miejsca. „Postaram się o kilku ludzi i o samochód, który czekać będzie u wyjścia, aby go odwieźć wprost na dworzec“.

Punktualnie o ósmej wieczorem Jego Wysokość zjawił się w westybulu music-hallu i swobodnym krokiem wszedł do przeznaczonej dla niego łoży.

W minutę potem do westybulu weszli dwaj eleganccy panowie w wieczorowych strojach. Jednym z nich był Antonio Selleni, drugim zaś Karol Ollmanns. Obydwaj byli młodzi i niezwykle przystojni.

„Ty zajmiesz łożę po stronie przeciwnej, a ja będę usiłował wejść do jego łoży. Jeżeli uda mi się,

sprawa będzie załatwiona. Uważam, że nóż jest bronią najodpowiedniejszą“, w głosie Włocha brzmiała nuta wrodzonej dumy.

„Jeżeli mnie się nie uda, to cały splendor spadnie na ciebie“, odezwał się jego towarzysz.

„Zdarzyło się raz, że przestrelilem jajko, które trzymał mój kolega między dwoma palcami“, chwalił się znowu Włoch.

Do westibulu weszli oddzielnie.

W kantorku kontrolera detektyw Falmoth skracał sobie długie chwile oczekiwania przeglądaniem ogłoszeń w wieczorowych gazetach. W pewnej chwili podszedł ku niemu kontroler z wiadomością, że Jego Wysokość ulokowana została w łóżku A i, że należałoby nie przeszkadzać księciu aż do końca spektaklu.

W międzyczasie Antonio Selleni zaatakował łóżko A. Na korytarzu nie spotkał nikogo, a gdy podszedł do drzwi, nacisnął lekko klamkę i po chwili znalazł się w mrocznym wnętrzu łóżka.

W niespełną pół godziny potem detektyw Falmoth wydawał ostatnie instrukcje pomocnikowi swemu, oczekującemu nań w szatni.

„Kilku ludzi czeka u wyjścia“, zameldował młodszy detektyw.

W drugiej połowie spektaklu rozległ się nagle na widowni strzał, który wywołał wielki popłoch wśród widzów. Z jednej z łóż, naprzeciw tej, w której siedział książę, unosił się przez chwilę siny obłoczek dymu. To Karol Ollmanns, znużony czekaniem, wycelował do mężczyzny, siedzącego bez ruchu w łóżku naprzeciw. Swobodnym krokiem wy-

szedł ze swej łoży i w westybulu wpadł w ramiona oczekujących nań dwóch detektywów.

„Doktora“! zawołał Falmoth, przebiegając przez szatnię. Drzwi łoży A zamknięte były na klucz, lecz Falmoth wyważył je silnem ramieniem.

Na podłodze spoczywały bez ruchu zeszywane zwłoki mężczyzny.

„Któż to taki? Co się stało?“ szeptał niezrozumiale detektyw, dostrzegłszy, że zabity człowiek skrupowane miał ręce i nogi.

Tłum ciekawych zebrał się w drzwiach łoży, a między widzami ukazała się wysoka postać komendanta londyńskiej policji.

„Zabili go, sir“, wyjąkał z goryczą Falmoth.

„Kogo?“ zapytał komendant z przerażeniem.

„Jego Wysokość“.

„Jego Wysokość“? brwi komendanta uniosły się w górę. „Przecież księżę Eskurialu wyjechał z Londynu przed pół godziną“.

Detektyw otworzył usta ze zdziwieniem.

„Któż więc to może być, do licha?“

Służalca postać Menszikofa, który wszedł do łoży wraz z komendantem policji, pochyliła się nad ciałem mężczyzny.

„To Antoni Selleni, anarchista z Milano“, szepnął.

ROZDZIAŁ X.

DON EMANUEL BUDUJE DOM.

Carlos Ferdynand Bourbon, księżę Eskurialu, następcą trzech tronów, zamierza wstąpić w związ-

ki małżeńskie, co niezwykle cieszy ojca jego, Jego Królewską Wysokość.

Jego Królewska Wysokość całej niemal środkowej Europy prowadzi częste pogawędki z kanclerzem swym, a i teraz wydawał mu odpowiednie, przedślubne instrukcje.

„Te Deum, rozumiesz, von Hedlitz? W każdym kościele; oczywiście wszędzie stroje dworskie.

Przypuszczam, że podniesie to nasz splendor w świecie.“

„Będzie to dla nas ogromną ulgą,“ odparł kanclerz, kiwając głową w zamyśleniu.

„Ulgą“ monarcha rozpostarł ręce z oburzeniem, „ten młokos kosztował mnie wiele zdrowia i na pewno ze dwa lata życia przez niego straciłem. Czyś słyszał o londyńskiej historii“?

Kanclerz słyszał, oczywiście słyszał i to już trzy, czy cztery razy, lecz, będąc posłusznym kanclerzem, postanowił wysłuchać i tym razem uważnie.

Monarcha nadewszystko lubił opowiadania i nie znosił żadnych uwag.

„Jeżeli mam wierzyć Jego Wysokości, to siedział on podobno spokojnie w łoży, gdy wszedł Włoch. Książę dostrzegł w ręku jego nóż, uniósł się więc na krześle, aby wyprosić intruza, gdy nagle, niewiadomo skąd, wskoczyli do łoży trzech ludzi, którzy powalili napastnika na ziemię, związali mu ręce i nogi i zakneblowali usta. Czy uważasz, że nasz Carlos Ferdynand nie powinien być krzyczęć? Ale trzeba go znać. Siedział w milczeniu, obserwując jednocześnie scenę, związanego na zie-

mi człowieka i przywódcę tajemniczej bandy swych wybawicieli“.

„Więc byli to Czterej Sprawiedliwi“, wtrącił kanclerz.

„Zdaje się, że byli tylko trzech“, sprostował monarcha. „Jak się okazało, przywódca bandy był człowiekiem logicznie myślącym i wiedział dokładnie, że tego samego wieczoru księżę ma opuścić Londyn. Przytem specjalny samochód oczekiwał na księcia u wejścia, zarezerwowana już była kajuta w Dover i specjalny pociąg w Calais“.

Monarcha potarł kolano, co zwykł był czynić, gdy opowiadał rzecz nie tyle ciekawą dla słuchaczy, ile dla siebie samego.

„Carlos posłuszny był, jak dziecko, co oczywiście zdarza się u niego bardzo rzadko. Pojmany anarchista przywiązany został do krzesła i pozostawiony własnym swym, niewesołym myślom“.

„A potem został zabity“? rzekł kanclerz.

„Zabity nie został“, sprostował monarcha. „Zresztą część całej historii, którą ci opowiedziałem, on sam opowiedział w policji, więc musiał być przy życiu. Przytem dodał, że jego przyjaciel z pewnością nie jest prawdziwym anarchistą, skoro strzela tak niezręcznie“.

Cały Madryt przygotowywał się do uroczystości zaślubin księcia. Na uroczystość tę przybyło wielu wielkich dygnitarzy, zarówno hiszpańskich, jak i zagranicznych, którzy pragnęli złożyć księciu osobiste życzenia.

Całe zastępy robotników zajęte były dekoro-

waniem miasta, a specjalnie ulic, któremi orszak weselny miał przechodzić.

Na trzy dni przed zaślubinami królewskimi, podczas gdy do Madrytu napływały coraz to większe fale ciekawych i zaprzyjazznionych z dworem królewskim, główny komendant policji londyńskiej wezwał do siebie starszego detektywa Falthotha. W kilkanaście minut po otrzymaniu zawiadomienia, Falthoth stawił się w gabinecie szefa.

„Zamknij pan drzwi“, rzekł spokojnie komendant, skinąwszy głową na głęboki ukłon swego podwładnego. „Zagwarantowany mamy tydzień spokoju, w ciągu którego możemy coś przedsięwziąć“.

„Co pan ma na myśli, sir“? zapytał Falthoth.

„Zaślubiny królewskie“, odparł komendant, gniotąc w palcach arkusz papieru; „partja Stu Czerwonych nie może sobie darować figła, który im wypłatano owego pamiętnego wieczora w sali Audytorjum; poprostu uwzięli się na księcia. Uważam, że najlepszą rzeczą będzie, jeżeli pan uda się do Madrytu, bowiem mam wrażenie, że podczas uroczystości zaślubin grozić może księciu niebezpieczeństwo“.

„Chętnie pojedę“, odezwał się Falthoth po chwili namysłu.

„Doskonale“, zawołał uradowany komendant, „a może tam przy okazji spotka się pan z swymi przyjaciółmi, Czterema Sprawiedliwymi“.

Falthoth spojrział ze zdziwieniem na szefa, lecz ten nie podniósł już wzroku od leżących na biurku papierów, które zdawał się pilnie studjować.

Gonsalez siedział przy biurku, zajęty pisanem. Na wąskiej Calle de Recoitos tramwaje elektryczne posuwały się po błyszczących szynach, ostrzegając przechodniów głośnym dzwonieniem. Madryt o tej porze zdawał się być miastem wymarłym, bowiem pracę wszelką skończono, a dzięki wielkiemu upałowi większa część mieszkańców skryła się do chłodnych mieszkań.

W obszernym pokoju Gonsalez siedział sam, a na stole przed nim piętrzyły się stosy papierów i książek, do których zaglądał od czasu do czasu. Tuż obok spoczywały jakieś ogromne plany i mapy orjent. cyjne.

Gonsalez pisał szybko na małym bloczku, a z pod pióra jego wychodziły całe kolumny tajemniczych cyfr, które po napisaniu systematycznie przeliczał.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Gonsalez wstał i bezszelestnie otworzył drzwi.

„Czy senor może przyjąć do Emanuela de Silva“?

Senor skinął łaskawie głową. Uśmiechnął się na samą myśl, że don Emauel był przecież znanym w Madrycie budowniczym, aczkolwiek otyła jego powierzchowność nie zdradzała absolutnie zdolności, o których tyle mówiono w mieście.

Zamienili konwencjonalne słowa powitania i Gonsalez podsunął gościowi krzesło.

„Chciałem poinformować Waszą Ekscelencję“, rzekł don Emanuel uniżenie, „że polecenie zostało wypełnione“.

Gonsalez skinął głową z zadowoleniem.

„Przeszkody“, ciągnął Emanuel dalej z psem, „były straszne. Robota również utrudniła z powodu zbliżającego się dnia zaślubin królewskich. Wasza Ekszelencja zna naszych ludzi. Na przód trudność zwiezenia materiału, a potem braki rąk roboczych, lecz ja, don Emanuel de Silva, poradziłem sobie z tem wszystkiem. Ja, który budowałem pałace i najpiękniejsze świątynie, znalazłem robotników w Avilli, błagałem, płakałem aż wreszcie przystąpili do pracy. Noc i dzień pracowali, aż wreszcie zrobili“.

Gonsalez znowu skinął głową. W milczeniu tworzył szufladę i dobył z niej cienki zwitek pieru.

„Czy tak, jak było wymienione“? zapytał rozkładając dokument.

„Nawet lepiej“, odetchnął głęboko budowniczy, a w oczach jego pojawił się, jakgdyby błysk przestrochu.

Gonsalez otworzył drugą szufladę i wyjął z niej grubą paczkę banknotów. Z paczki zdjął opaskę gumową i począł liczyć banknoty w milczeniu. Przeliczone położył na biurku przed gościem.

„Piętnaście tysięcy pesetów“, rzekł. „Jest panu wdzięczny, don Emanuel“, podsunął banknoty w stronę budowniczego.

Potok komplementów spłynął z ust don Emanuela.

„Niezwykłe szczęśliwy jestem, że mogłem czemśkolwiek przysłużyć się Waszej Ekszelencji, lecz... naturalnie robotnicy moi pytali z zaciekawieniem, na jaki cel wybudowana została ta dzielnica“.

na chata.... wybudowana tak samotnie pośród gór...“

„Czy pan jest dyskretny, senor“? zapytał Gonsalez ze spokojem.

„Jak grób“, odparł budowniczy. „Żaden z robotników nie wie, dla kogo ten dom wybudowany został“.

„A zatrudniał pan tylko robotników z Avilli“?

„Oczywiście, stosownie do poleceń Waszej Ekscelencji, aczkolwiek moi robotnicy byliby tańsi“.

„A zatem“, rzekł Gonsalez przyciszonym głosem, „dobrze będzie, gdy zaufam panu, senor don Emanuel, — „mam zamiar użyć tego budynku do takich samych celów, do jakich pan użył owej małej chatki w Sierras. Zapomniał pan może? Przypuszczam, że zna pan drogę, która prowadzi przez góry od Tarify“?

Do tej chwili słowa Gonsaleza nie wywarły na gościu żadnego wrażenia, dopiero przy ostatnich słowach skoczył z fotelu, wydając stłumiony jęk i patrzył z przerażeniem na człowieka, który o nim tak wiele wiedział.

„Ja — ja — ja“, wyjąkał.

Gonsalez machnął ręką obojętnie.

„Nie żądam, aby pan opowiadał o swej młodości; zresztą — żaden człowiek nie pozna w obecnym don Emanuel de Silva dawnego... jakże tam brzmiało pańskie żydowskie imię“...?

„Dość już“, zawołał budowniczy. „Daj mi pan pieniądze i pozwól mi pan odejść“.

Gonsalez podał paczkę banknotów stojącemu

przed nim człowiekowi, który drżał na całym ciele.
„Czy mogę liczyć na pańską dyskrecję“? zapytał chłodno.

„Do śmierci“, szepnął tamten i wyszedł z pokoju.

Gonsalez pochylił się nad biurkiem ze spokojnym uśmiechem zadowolenia. Z jednej z górnych szuflad wyjął mały notatnik, w którym widniała następująca wzmianka:

„Emanuel Mandurez, szmugler. W roku 1886, w okolicach Malagi zamordował strażnika cywilnego, poczem umknął. W kilka lat potem wypłynął na widownię, jako zdolny kupiec Westramadura. Rysopis: włosy ciemne, mała broda strzyżona, nos haczykowaty, kości policzkowe wystające, usta szerokie i zimne spojrzenie szaroniebieskich oczu“.

Gonsalez czytał z zainteresowaniem tę kryminalną notatkę, którą spisał sobie z dawnego numeru policyjnej gazety. Po chwili zamknął notatnik i zabrał się znowu do porzuconego na chwilę obliczania. Skończył pisanie dopiero wówczas, gdy stojący przed nim zegar wskazał godzinę drugą. Wstał z krzesła, zamknął papiery do jednej z szuflad biurka, zapalił papierosa i wyszedł na załaną słońcem ulicę. Po chwili wskoczył na platformę pierwszego przejeżdżającego tramwaju, który poprzez Alcalá zawiózł go na Calle de Sevilla. Na tym przystanku Gonsalez wysiadł i skierował się w stronę Cafe Fornos. Zastał tu Manfreda i Poiccarta, siedzących, jak zwykle, przy jednym z najbardziej oddalonych stolików w obszernej sali restauracyjnej. Leon przysiadł się do nich i zamówił lunch.

„A gdzie Courlander“? zapytał.

„Courlander czuje się dobrze“, odparł Manfred z uśmiechem.

Rozmowę prowadzili w języku angielskim.

„A inni“?

Manfred pogładził długą swą, jedwabistą brodę.

„Inni są tutaj“, rzekł spokojnie; „lecz robotę muszą wykonać tutejsi ludzie i to jest ta cała trudność“.

Leon zmarszczył brwi.

„To brzmi jakoś niebezpiecznie — tutejszych ludzi jest mało i, o ile mi wiadomo, większość zdolnych zaaresztowano przed uroczystością, naprzykład Marshel, Sumarez...“

„Możesz ich nie wymieniać“, rzekł Poiccart krótko. „Żadnego z tych nie możnaby było użyć do niczego. Stu Czerwonych udało się do Katalonji, po jakieś narzędzia“.

Leon w milczeniu obserwował uważnie wnętrze restauracyjnej sali.

„Powiedz mi, kto będzie tym człowiekiem“, rzekł wreszcie, szeptem prawie, „a ja oznaczę ci miejsce dokładnie“.

Towarzysze przyglądali mu się z podziwem.

„W całym Madrycie jest jedno miejsce tylko, gdzie rezultat mógłby być pomyślny“, ciągnął Gonzalez dalej. „Cały ranek spędziłem nad mapami orjentacyjnymi, na których podane są wymiary ulic. Alcalá jest za szeroka, jak również i Puerta del Sol. Jedynym idealnym miejscem jest Calle Mayor, położony tuż przy Plaza del Mayor, gdzie

ulica się zwęża, domy są wysokie i swobodnie można podrzucić bombę w chwili, gdy królewski powóz będzie przejeżdżał tamtędy“.

Począł mieszać łyżką supę, którą mu w tej chwili podano.

„Właśnie dzisiaj rano dowiedziałem się już o dokładnej turze, jaką ma uczynić pochód. Na Calle Mayor jest budynek, a w nim dużo mieszkań. Pierwsze piętro przedstawia się idealnie, zajęte jednak jest przez angielską ambasadę; tak samo drugie, zaś ostatnie zamieszkują jacyś starzy lokatorzy, z wyjątkiem ostatniego pokoju, zamieszkałego przez jakiegoś urojonego geniusza-artystę. Do niego to zgłosiła się piękna dama, cudzoziemka, która stanęła w hotelu de la Paix. Prosiła ona, ażeby oddał pokój na dzisiejszą noc bratu jej, który ma przyjechać z Barcelony. Zaproponowała wynajęcie na cały tydzień, zapłaciła doskonale, twierdząc, że pragnie wraz z bratem przyjrzeć się z okna uroczystościom weselnym“.

Manfred skinął głową.

„Więc jegomość ten ma przyjechać dzisiaj, a ta kobieta“?

„Szczupła, wysoka, o pięknych oczach“, rzekł Leon.

Manfred uśmiechnął się.

„Dama z Gratzu“, rzekł, zwracając się do Poiccarta.

„Dama z Gratzu“, powtórzył Poiccart.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, zajęci swemi myślami. Leon gniótł w rękach hiszpań-

skiego papierosa, spoglądając przez otwarte okno na ulicę. Po chwili westchnął głęboko.

„Czy myślisz o tej kobiecie“? zagadnął Manfred.

Na twarzy Gonsaleza zamajaczyło zdziwienie.

„Myślałem o czymś zupełnie innym. Czy zauważyłeś, George, że zazwyczaj kobiety, stojące na czele jakiegoś spisku, są piękne? Zdaje się Lombroso powiedział“...

„Widzę, że masz zamiar zajmować się fizjognomiką“, przerwał Poiccart ze śmiechem, „a wczoraj nie chciałeś wysłuchać mojej historii“.

Leon dotknął dłonią ramienia towarzysza.

„Nienawidzę długich opowiadań“, zaśmiał się.

„A to jest krótka historia, ale ciekawa“, rzekł Poiccart, poprawiając się na krześle, „poprostu sprawa jakiegoś chemika, który był w Argentynie i zdradzony został przez kobietę“.

Poiccart nigdy nie był dobrym mówcą, a tylko w chwilach niezwykłego podniecenia słowa przychodziły mu z większą, niż zazwyczaj, łatwością. W tej chwili opowiadał historję z pewnem wahaniem.

„Kobieta ta zdradziła go za parę sztuk złota, aczkolwiek chemik ten nie spiskował przeciwko niej. Potem otrzymane pieniądze rzuciła mu pod nogi. Był to człowiek, który przedtem zdradził swego przyjaciela, a teraz zemsta ta była skierowana przeciw niemu“...

Teraz Poiccart dobrnął do tej historii, która była dlań łatwiejsza do opowiadania. Nastąpił cały szereg chemicznych terminów, opowiadanie

o tajemniczym AUO3, który w związku z jakimś przetworem tworzył materiał wybuchowy. Towarzysze słuchali go z rosnącym zaciekawieniem. Gdy opowiadanie zbliżało się ku końcowi, wzrok Manfreda spotkał się ze spojrzeniem Gonsaleza, a gdy Poiccart skończył, Leon pochylił się nad stołem, zwracając się do opowiadającego.

„Czy przypuszczasz, że ta historia przydałaby się nam na coś?” zapytał.

Poiccart skinął potakująco głową.

„Czy możnaby to było zastosować w praktyce?” zapytał Manfred.

„Przypuszczam, że tak”, odparł Poiccart z tajemniczym uśmiechem.

ROZDZIAŁ XI.

NA CALL MAYOR.

Obszerna jadalnia w hotelu de la Paix była tego dnia wypełniona po brzegi ze względu na godzinę obiadową. Większa część sali zarezerwowana została przez rząd dla znakomitych gości, a ożywione rozmowy, prowadzone przy stolikach odznaczały się urozmaiconą różnorodnością języków. Małe, białe stoliki, przystrojone błyszczącym srebrem nakryć i brązem ocienionych dyskretnie lamp, zajęte były przez wyższych urzędników, konsulatów i ambasad obcych. Co chwila na salę wchodził ktoś nowy, a wejście jego powodowało głośnie odsuwanie krzesel i dźwięk ostróg licznie zebranych na sali oficerów. Jeden ze stolików

w małej, odległej niszy, zajęty był przez wytworną damę o niezwykle pięknych rysach i wytwornych ruchach.

„Piękna dziewczyna, jak Boga Kocham“, rzekł głośno jakiś wysoki major, spoglądając ku nieznanym przez okrągłe szkła amerykańskich okularów.

„Kto jest ta pani“? zapytał książę Dolgoruki, delegat misji rosyjskiej.

Kelner z głębokim ukłonem udzielił informacji uprzejmie.

„Bardzo bogata, Wasza Ekscelencjo, jest to baronowa von Zinnitt-Durnstadt; podobno zamężna. Opowiadają, że posiada wielkie majątki w Rosji i wydaje szalone sumy pieniędzy w Paryżu“.

„Mądra kobieta“, zaśmiał się Rosjanin. „Rosja jest niewyczerpanym źródłem złota“.

Kelner uśmiechnął się pod wąsem.

Muszę zaznaczyć, że oczywiście kelnerem owym był znowu Menszikoł, którego wrogowie twierdzili z ironją, że jest on stworzony na kelnera. Przypada nam do myślenia, że w roli kelnera Menszikoł mógł działać jak najwięcej, to też, dowiedziawszy się o obecności Damy z Gratzu w Madrycie, pośpieszył tam również i zaangażował się jako kelner do restauracji hotelu de la Paix. Niewielu Rosjan znało Menszikoła osobiście, zresztą nazwisko swe zmieniał przy każdej nadarzającej się sposobności. Obowiązkiem Menszikoła w Madrycie było strzeżenie Wielkiego Księcia, do którego świty został przez rząd angielski przydzielony.

W pewnej chwili elegancka dama skinęła na

Menszikofa od swego stolika. Była ubrana w elegancką suknię z miękkiego, czarnego szyfonu, haftowaną perłami; z ramion jej spływała futrzana etola.

„Partja Stu Czerwonych musi mieć dużo pieniędzy“, przebiegło przez myśl Menszikofa, gdy pochylał się nad stolikiem, czekając na rozkaz wytwornej damy.

„Spodziewam się gościa“, odezwała się po francusku; „proszę go wprowadzić do mego salonu“.

„Oui, madame“, odparł kelner; „powtórzę polecenie pani maitre'owi“.

Spojrzała nań z dziwnem zainteresowaniem.

„Głos pański zdaje się mi być dziwnie znajomy“, rzekła. „Czy usługiwał mi pan kiedyś przedtem“?

„O ile pamiętam, nie“, odparł z godnością, należą swemu zawodowi.

Pośpieszył wydać jakieś instrukcję i wrócił po chwili, meldując, że rozkaz jej został spełniony.

„Proszę o kawę“, rzekła i spojrzała nań znowu.

Unikając jej wzroku, oddalił się szybkim krokiem.

Siedziała nad podaną filiżanką kawy, obserwując z ciekawością zebranych na sali gości. Zimna i obojętna, bez cienia uśmiechu na twarzy, zdawała się stanowić wybitny kontrast z resztą rozweselonej publiczności.

Po chwili z czapką w ręku zbliżył się portjer hotelowy, meldując, że jakiś jegomość czeka na Jej Ekscelencję w salonie.

Podziękowała portjerowi wyniosłem skinieniem głowy, poczem wstała i pewnym, elastycznym krokiem opuściła salę, przeprowadzona aż do wyjścia tysiącem zachwyconych spojrzeń.

Apartament jej znajdował się na niższym piętrze, na które pojechała windą, otworzoną przez uprzejmego liftoboy'a.

U drzwi zatrzymała się na chwilę, dobywając z kieszeni, ukrytej w fałdach sukni, jakiś papier. Wreszcie nacisnęła klamkę. W obszernym salonie zapalona była jedna tylko mała lampka, a mężczyzna, który podniósł się na powitanie, stał teraz w zupełnym półcieniu.

Cofnęła się kilka kroków, dostrzegłszy, że nie był to von Dunop, którego oczekiwała, lecz jakiś mężczyzna o wiele wyższy. Twarzy jego widzieć nie mogła dokładnie.

„Obawiam się“... zaczęła.

„Bardzo się z tego cieszę“, rzekł mężczyzna swobodnie; w tej samej chwili poznała jego głos i krew napłynęła do białych jej policzków.

„Pan“... zawołała z zapartym oddechem.

Jegomość skłonił się nisko. Podeszedł bliżej i stał już teraz między nią i drzwiami tak, że światło padło w pewnej chwili na twarz jego i uwidoczniło niezwykłą siłę stalowego jego wzroku.

„Pragnąłem, aby się pani obawiała“, odezwał się po chwili z odcieniem goryczy; „pragnąłem ujrzeć w pani choć cień ludzkiej słabości, lub też dotknąć struny czulej kobiecego pani serca“.

„Czego pan ode mnie chce“? zapytała jakimś nieswoim głosem.

„Wymagam spokoju dla mych towarzyszy, bezpieczeństwa dla słabych i sprawiedliwości dla pognębionych“, rzekł z prostotą.

„Któż występuje przeciwko sprawiedliwości“? spytała z ironją.

„Ani ja“, rzekł, „ani moi towarzysze. Życie moje poświęciłem dla świata cywilizowanego, ponieważ wierzę w jego zwycięstwo, a wiara według mnie jest czynem“.

„A więc“? zapytała chłodno. Była zaskoczona tem dziwnem spotkaniem. Orjentowała się, że nie było teraz żadnej możliwości wydostania się z rąk tego człowieka. W kobiecej jej duszy przeważyło czysto kobiece zdziwienie. Starła się odzyskać równowagę.

„A więc“, powtórzył; „przyszedłem, aby ogłosić zawieszenie broni“.

„Ach“. Okrzyk triumfu nie wywarł na nim wrażenia.

„Nie byłoby sensu“, ciągnął dalej, „oszczędzać strasznego pożądania rozlewu krwi, które to pożądanie przenika duszę pani i dusze jej towarzyszy“.

„Musimy dojść do celu“, wybuchnęła.

Skinął potakująco głową.

„I my również“, rzekł. W głosie jego drżała ponura pogródka.

„Istotnie, cel musi być osiągnięty, madame“, rzekł przyciszonym głosem, gdy ona zawisła zdziwionem spojrzeniem na jego twarzy. Zdawał jej

się być coraz bardziej niezrozumiałym i nieobliczalnym w słowach.

„Ileż to żyć ludzkich winna jest partja Stu Czerwonych cywilizacji? Naprzykład — von Dunop. Oczekiwała go pani teraz, nieprawdaż“?

„Czy nie żyje“? przeraziła się.

Na ustach Manfreda zamajaczył uśmiech. Przecież mimo wszystko była kobietą, kobietą, która zauważyć musiała uśmiech ten i niespokojne błyski jego oczu. A ona pomyślała, że człowiek ten był mężczyzną, który uśmiechać się musiał często.

„Owszem żyje — czyż nie mówiłem o zawieszeniu broni? Lecz życie von Dunopa należy teraz do nas. Jeżeli bródzić będzie dalej — śmierć jego jest nieunikniona. Mógłbym wyliczyć cały szereg nazwisk tych, którzy zginęli z ręki sprawiedliwych“.

Umysł jej pracował szybko. Myśli kształtowały się prędzej jeszcze, niż jego słowa. W pewnej chwili wzruszyła ramionami i odwróciwszy się doń plecami, podeszła do otwartego biurka. Poprzez ramię rzuciła mu zapytanie, niby strzał rewolwery:

„A wy“?

„Raz jeden tylko zabiliśmy przyzwoitego człowieka“, rzekł z dumą, „a uczyniliśmy to również dla dobra ludzkości“.

W milczeniu przeszła wolnym krokiem na to samo miejsce, na którem stała przed chwilą.

„O zawieszeniu broni nie może być mowy“, rzekła, „ponieważ linja nasza wytyczna nie zgadza się z tem“.

Pochyliła się ku niemu, twarz jej płonęła rumieńcem oburzenia.

„Jeżeli w Anglii koń pański stanie do wyścigów i wygra Derby, mówi się, że był on stworzony do zwycięstwa. Tak samo jest i z ludźmi. Czyż synowie doktorów są urodzonymi doktorami“?

„Tak i nie“, odparł chłodno, „bo syn konia, który wygrał Derby, będzie zwycięzcą, jeżeli jest dobrze karmiony i trenowany; syn doktora będzie doktorem, jeżeli studjować będzie medycynę; a syn króla zostanie królem, jeżeli potrafi rządzić sprawiedliwie, czyli, jeżeli w młodości otrzyma odpowiedni trening“.

„A jeżeli nie“? zapytała przekornie. „Jeżeli jest on człowiekiem o słabej woli, lub szaleńcem“?

„Wówczas poddani będą nim rządzić“, odparł Manfred.

„Mówi pan do mnie tak, jakgdybym była dzieckiem“, oburzyła się, „jakgdyby dusza moja nie domagała się swobody i jakgdyby każdy nerw mój nie domagał się śmierci królów“.

„Inny król przyjdzie znowu, albo dyktator, który gorszy będzie od króla“, rzekł ze smutkiem. „Walczyście dla spraw absurdalnych. Staracie się o władzę człowieka, lub ludzi, którzy będą znowu uciskać innych“.

„Walczymy ambicją i terorem“, rzekła, „stwarzamy prawo naturalne, które ma pokonać dotychczasowe prawo, stwarzamy lęk śmierci, który ma pokonać głód potęgi. Jeden po drugim muszą zginąć ci, którzy, według pana, rządzić powinni“. Podeszła ku niemu bliżej i mówiła szeptem

prawie, a pierś jej falowała szybkim oddechem. „Królowie i dyktatorzy aż do najniższych rang dworskich złożeni będą do mogił razem z przeciętymi śmiertelnikami. Po śmierci korona nie jest symbolem; ludzie, którzy sprzeciwiać nam się będą, powinni zginąć, nawet — tacy ludzie, jak pan”.

W tej samej chwili dostrzegł błysk stali i odskoczył pod przeciwległą ścianę. Ostrze sztyletu dosięgło jego ramienia, lecz w tej samej chwili udaremnił następny cios, porywając kobietę w silne objęcia. Przez chwilę przyłgnęła do niego ciałem i uczuła głęboki jego oddech na swej skroni, poczem ręka jego obezwładniła jej dłoń i uwięziła obydwie jej ręce. Patrzała nań dziko, namiętna złość pokryła twarz jej śmiertelną bladością; drżała na całym ciele.

„Teraz“, szepnęła nienawistnie, „może mnie pan zabić“.

Potrząsnął przecząco głową, a ona dostrzegła dziwny ból w jego spojrzeniu.

„Nie“, rzekł krótko i uwolnił ją z uwięzi. Pochylił się, podniósł z podłogi sztylet i obejrzałszy go dokładnie, umieścił ze spokojem na biurku.

Potem zwrócił się do niej znowu.

„A zatem o zawieszeniu broni nie może być mowy“? zapytał.

Milczała.

„Milczenie jest odpowiedzią pani“, rzekł, kierując się do wyjścia.

Po paru krokach odwrócił się znowu, wsparty o ścianę.

Znowu znalazła się przy nim ta oryginalna Dama z Gratzu.

„Pan jest ranny“, zawołała z rozpaczą i chwyciła go za ramię. „Pozwól pan“...

Manfred spoglądał na nią zgóry, na twarzy jego zamajaczył obcy jakiś cień.

„Czy to jest zawieszenie broni“? zapytał znowu.

„Nigdy“, zawołała.

Puściła jego ramię i błyski dzikie zapaliły się w jej oczach.

Manfred skłonił się nisko i wolnym krokiem opuścił pokój.

„Niezbyt poważna rana“, rzekł Gonsalez krytycznie. „Oczywiście Dama z Gratzu... I cóżes z nią uczynił“?

„Pożegnała mnie bez cienia skruchy“, rzekł Manfred z uśmiechem.

Twierdzenie to mogło być prawdą i nieprawdą zarazem, bowiem któż może wiedzieć, jaki powód wycisnął łzy z oczu dumnej Damy z Gratzu tej samej jeszcze nocy?

Uroczystość zaślubin Carlosa, księcia Eskurialu, odbywała się z takim rozmachem, na jaki stać było młodzieńczą naturę księcia. Młody książę bez troski zapatrywał się na życie, a i teraz z niezwykłym zapalem przystępował do uroczystości zaślubin. Ze względu na rozmaite ekstrawagancyjne występy, któremi książę mógł się poszczycić za czasów kawalerskich, kościół katolicki podczas przed-

ślubnej spowiedzi nie chciał mu dać rozgrzeszenia, na co książę odpowiedział krótko:

„Jeżeli się nie zgodzicie, to przejdę na protestantyzm“.

Ponieważ wiadomem było, że książę był zdolny uczynić wszystko, duchowieństwo zostawiło go w spokoju.

Punktualnie o trzeciej rano sokoli ukazali się na mieście w szatach królewskich. Ulice były już przepełnione ludnością o wschodzie słońca, a szczególnie Puerta del Sol, wypełniona oficerami wszelakich broni w galowych mundurach. Kawiarnie również nie pamiętały nigdy jeszcze takiego powołania, a gdy słońce wzniosło się wyżej, przez ulice Madrytu poczęły maszerować oddziały wojsk z orkiestrami i pieśnią na ustach. Żadne chyba państwo europejskie nie może się poszczycić takim wspaniałym doborem barw w umundurowaniu armji, jak Hiszpanja; umundurowanie to było dumą młodego księcia. Z każdego balkonu zwisały piękne perskie dywany, przybrane chorągwiami o barwach narodowych i różnokolorowem kwieciami. A gdy wreszcie nastał gorący, letni ranek, ulice miasta przedstawiały się imponująco.

Dwaj mężczyźni, zajmujący pokój artysty genjusza na Calle Mayor, siedzieli i pracowali przy zamkniętych drzwiach i oknach.

Na stole stała otwarta butelka wina, trochę owoców na talerzu i wiązanka zwiędniętych kwiatów, która miała być prawdopodobnie symbolem dzisiejszej uroczystości. Tuż przy otwartej butelce

spoczywały dwa browningi, nadające atmosferze pokoju wyraz ponurej zgrozy.

Dwaj mężczyźni, zagłębieni w miękkich fotelach, czekali.

Do uszu ich dobiegały dźwięki orkiestry, która zapowiadała uroczystość królewskich zaślubin i wkroczenie orszaku do wnętrza świątyni.

Jeden z mężczyzn uniósł się na fotelu i sięgnął po szklankę.

„Czy jesteście pewni, że będą przechodzić tędy“? zapytał.

Drugi ziewnął głośno.

„Zasadniczo są trzy drogi“, odparł leniwie. „Już kilka razy mówiłem wam, Manuel. Czy jesteście tacy nerwowi“?

Tamten uśmiechnął się boleśnie. Poprawił bransoletkę skórzaną, wybijaną złotymi blaszkami.

„Wzniesi to sensację“, rzekł w zamyśleniu.

„Im większe podniecenie, tem większa szansa ucieczki“, rzekł towarzysz, zapalając papierosa.

Manuel otworzył okno i wyjrzał na wąską ulicę, poczem wrócił znowu do stołu.

„Balkony pod nami są przepełnione“, zaanonsował, „a ludzie gniją się tak, jak w skrzynce pomarańcze. Spójrzcie na ulicę“.

Obydwaj wyszli na balkon i dopiero po kilku minutach wrócili do pokoju...

Zastali tu niezwykłą zmianę, która zaszła podczas chwilowej ich nieobecności. Spojrzawszy na stół, Manuel nie dostrzegł rewolwerów, a i stalowe cylindry, leżące opodal przesunięte były na sam koniec stołu. Nie starczyło już czasu na dalsze ob-

serwacje, bowiem czyjeś ramię zacisnęło się dokoła jego szyi i po chwili był już zupełnie obezwładniony. Szczęśliwszy był od towarzysza swego, bowiem Poiccart, dzięki niezwyklej swej zreczności działał delikatniej, niż jego przyjaciele.

Dopiero po kilku minutach Manuel zdołał zdać sobie sprawę z niewygodnej sytuacji, w jakiej się znajdował. Ręce miał związane, nogi przytwierdzone mocno do krzesła, na którym siedział, a usta zakneblowane jakąś szmatą. W uszach szumiało mu coś przeraźliwie i dopiero po pewnym czasie dosłyszał ożywione głosy na ulicy. Pochód królewski przechodził przez Calle Mayor, a on siedział bezsilny. Pieniądze zostały wypłacone, a robota nie doszła do skutku. Obejrzał się wokoło.

Towarzysz jego znajdował się w tej samej mniej więcej sytuacji.

Trzej mężczyźni, którzy ich unieszkodliwili, prowadzili teraz między sobą ożywioną rozmowę, Manuel jednak nie mógł ich zrozumieć, bowiem mówili po angielsku.

„Możemy ich wynieść stąd teraz“, rzekł Manfred. Ramię jego zwisało na temblaku, a twarz wyrażała niehumanne zmęczenie.

„W ten sposób jest to niemożliwością“, wtrącił Poiccart, wskazując więzy.

„A zatem Leon musi ich uśpić, będziemy mogli wówczas przejść spokojnie przez podwórze i wsiąść do powozu“, zauważył Manfred. „Gdy ulice opustoszeją, zabierzemy ich stąd stanowczo. Słuchajcie“:

Radosne okrzyki na ulicy wzmagaly się coraz bardziej.

„Księżę przejeżdża“, rzekł Manfred, podchodząc do okna.

W tym samym czasie, przy oknie w pokoju swym w hotelu de la Paix, Dama z Gratzu, mnąc w dłoniach małą batystową chusteczkę, oczekiwała niecierpliwie wybuchu podrzuconej bomby.

ROZDZIAŁ XII.

W Y R O K.

Trzej mężczyźni siedzieli w mrocznym przy dużym stole, na którym stała zwykła lampa. Pokój ten, zdaniem Manuel, być jakąś klasą szkolną, bowiem było jeszcze ślady, jakgdyby a-ficznych. Manuel zaobserwował, że ziemniczych tych ludzi był ranny i ramię jego zwi- sało na temblaku. On to zadawał najwięcej pytań.

„Jakie jest wasze nazwisko“?

„Odmawiam odpowiedzi“.

„Czy nie brzmi ono Manuel Zaragoza“?

„Możliwe“.

„Czy jesteście anarchistą“?

„Jestem takim, jakim mnie opląca“.

„A wy“? zwrócił się do następnego, „czy nazywacie się Lomondo“?

„Nie odpowiem“, syknął tamten z wzrokiem, utkwionym w podłódze.

„Obydwaj jesteście z Barcelony i uważani jesteście za notorycznych rzezimieszków“, ciągnął dalej Manfred, poczem zwrócił się do Gonsaleza.

„Co wiemy o Zaragozie“?

Wszystko, co Leon wyrecytował, nie przemawiało za więźniami. Był to cały szereg oszustw, zamachów, terorystycznych wystąpień i t. p. sprawek.

„Odebraliśmy wam obu pięć tysięcy franków w złocie. Kto dał wam tak znaczną sumę“?

Milczenie.

„Czy to było jedynym waszym interesem w sprawie, którą przedsięwzięliście“?

„Cóż mogło być więcej“? uśmiechnął się jeden z podległych. „Czy wyglądam na takiego głupca, który działa bez zysku? Co uczyniliście z pieniędzmi“? zapytał nagle z przerażeniem, „oddajcie je na kosztach sędziów“.

„W tym wypadku“, rzekł Manfred chłodno, „zwrócą do was, a my sędziami waszymi będziemy“.

Drzwi za stołem ukryte, otworzyły się nagle i do pokoju wszedł czwarty mężczyzna. Twarz jego zakrywała maska, a z ramion spływał długi, hiszpański płaszcz. Trzej mężczyźni nie poruszyli się nawet z miejsca, gdy tamten zajmował miejsce przy stole.

„Czy to Dama z Gratzu wam płaciła“? zapytał znowu Manfred.

„Powieм to wszystko przed sądem“, odparł uparty więzień.

Następne pytanie zadał zamaskowany.

„Co macie przeciwko księciu Eskurialu, że czyhacie na jego życie“? zapytał spokojnie.

Więzień wzruszył ramionami.

„Przecież i z prosięciem, które zabijam na o-

biad, nie mam żadnych osobistych porachunków”, zaśmiał się wulgarnie: „czy ksiądz, czy książe, czy woziwoda — to dla mnie wszystko jedno”.

„Czy dawno już uprawacie swą profesję?” — zapytał znów zamaskowany.

„Kawał czasu”, odparł więzień z złośliwą wesołością.

„Wówczas, dawno już bardzo, również chcieliście zamordować, rzucając bombę na religijną procesję. Książe, o którego życie wam chodziło, był wówczas dzieckiem, dziś zaś jest dorosłym człowiekiem i posiada moc życia i śmierci w kraju, w którym jesteście”.

„Możemy oskarżyć tych, którzy użyli nas do tego celu”, rzekł jeden z więźniów spokojnie.

„Ja również”, wtrącił drugi.

„Więc zdradzić chcecie waszych zwierzchników? Nie uchroni to jednak głów waszych”.

Więźniowie widocznie poczęli tracić cierpliwość.

„Daj spokój tym opowiadaniom”, wycharkotał jeden, „niech nas oddadzą pod sąd. Jeżeli chcecie zatrzymać nasze pieniądze, senor, to zrobimy z tego specjalny użytek”.

„Pogadamy o tem później”, odezwał się znowu Manfred, poczem zwrócił się do Manuela.

„Czy czyniliście jakieś doświadczenia z bombami?”

„Owszem, trochę”, uśmiechnął się więzień.

„Chemiczne specjalnie?”

„Fuszerowałem trochę”.

„Czy towarzysz wasz robi to samo?“ — zapytał Gonsalez.

„Dlaczego pan pyta?“ — odezwał się chłodno więzień.

„Pytanie moje“, rzekł Manfred, cedząc powoli słowa, „posiada pewne znaczenie. Wspominałem, że dostaniecie swoje złoto zpowrotem. Dopóki nie przejdzie ono w wasze posiadanie, możecie być pewni, że leżeć będzie nienaruszone. Oto ten mój przyjaciel jest również chemikiem“. Podniósł w górę stojącą na stole szklankę, napełnioną do połowy jakimś zielonym proszkiem.

„Czy widzicie to?“ — zapytał, a więzień skinął potakująco głową.

„Czy widzieliście kiedyś złoto w takim stanie?“ zapytał Manfred; więzień zmarszczył brwi w zamysleniu.

„Nie“, odparł po chwili.

„A jednak“, ciągnął dalej Manfred, „jeżeli zrobimy mieszanekę, oznaczoną symbolem AUO₃ i weźmiemy do tego...“

„Gryzącego amonjaku“, dodał więzień, blednąc nagle.

„Właśnie“, przyznał Manfred: „właśnie w takim stanie powinniście otrzymać złoto, które więźliście za zadanie śmierci człowiekowi, który wam absolutnie żadnej krzywdy nie wyrządził“.

„Domagamy się sprawiedliwości“, zawołał więzień Lomondo, „domagamy się sądu i wyroku sprawiedliwego“.

„Sprawiedliwość mieć będziecie“, odparł zamaskowany mężczyzna chłodno. „Który z panów

podejmie się sądu nad wami? Jak myślicie panowie?" zwrócił się nagle do trzech mężczyzn, siedzących za stołem.

Manfred skinął potakująco głową.

„Uważam, że byłoby tak najlepiej“, rzekł ze spokojem.

Zamaskowany podniósł się z miejsca i podeszedł do więźniów.

„Właśnie dlatego, że jesteście tacy, jacy jesteście“, rzekł, „postanowione zostało, że musicie umrzeć. Wyrok ten ogłaszam wam poza prawem. Śmierć, którą planowaliście dla innych, spotka was, broń którą wymierzylście w kierunku innych, was dosięgnie“.

Twarz Manuela poszarzała, a wargi stały zupełnie sine.

„Senor, na miłość Boską, na świętą Wrginę, nie w ten sposób“, błagał. „Dajcie nam możliwość ubłagać Jego Wysokość: on na pewno nas ulaskawi“.

Jeden zręczny ruch ręki i z twarzy wysokiego mężczyzny opadła maska.

Manuel spojrział, oczy jego otwarły się szerzej z wyrazem zgrozy. Rzucił wzrokiem na trzech mężczyzn, siedzących za stołem i z głośnym jękiem upadł na podłogę.

Wąską drożyną od strony miasta posuwała się mała karawana, na czele której jechał staroświecki powóz.

Mężczyźni, posuwający się dróżką, wyprzedzili o osiem godzin wyruszenie z miasta kobiety.

która miała się udać w ich ślady. Przypuszczali, że na miejscu przeznaczenia znajdzie się ona najwyżej z godzinnem opóźnieniem, który to czas musiała utracić na odszukiwanie kierunku. Wraz z pierwszymi promieniami słońca, w mieszkaniu jej zjawił się ktoś, kto miał jej bardzo wiele do powiedzenia, aczkolwiek w opowiadaniu zachowywał pewną rezerwę. Możemy wyobrazić sobie ją, Damę z Gratzu, przebiegającą nerwowym krokiem obszerny pokój, miotaną sprzecznymi myślami i przypuszczeniami, powątpiewającą w słowa tego obcego człowieka, miotaną pasją własnej bezsilności, która się już na nic prawie zdobyć nie mogła.

„Tak, tak, tak“, przerwała potok słów jego cierpliwie. „Wybudował pan dom między górami, lecz cóż to mnie obchodzi?“

„Ekscelencjo“, rzekł don Emanuel, starając się o najkwiecistszy styl, „życie jest dane nam dla...“

„Jeżeli nie ma mi pan więcej do powiedzenia, senor, proszę dać mi spokój“.

„Zdarza się często“, rzekł mały człowieczek z dystynkcją, „że w czasie lata dowiadujemy się o niedyskrecjach wiosny. W naszej sprawie odegrał wielką rolę don Leon Gonsalez, człowiek o spojrzeniu bezlitosnem“.

Doszła do wniosku, że zmuszona będzie pozwolić mu na opowiedzenie całej historii, w której i on odegrał rolę dość znaczną, przeplataną grzechami i grzeszkami. Historia ta była widocznie jedynym celem jego dzisiejszej wizyty. Nie przypuszczała, aby w opowiadaniu tem mogło ją coś zaintereso-

wać, z drugiej zaś strony, agenci jej nie przystaliby jej tego człowieka, gdyby ta historia nie miała mieć dla niej żadnego specjalnego znaczenia.

„Senorita powinna zrozumieć, że dzięki memu doświadczeniu, dzięki memu arystokratycznemu pochodzeniu doszedłem do tego, że jestem człowiekiem bogatym i niejedna ukoronowana głowa pochyla się przede mną. Zrozumie teraz senorita, jakie wrażenie odniosłem, gdy zgłosił się do mnie ten człowiek, senor don Leon“. Na twarzy opowiadającego odbiła się rozpacz.

„Wybuduj mi pan dom“, rzekł, „który ma stać między górami, i ma być wzniesiony na niezwykle grubym fundamencie; drzwi muszą być obite żelazem. Dom ten powinni budować robotnicy, którzyby miejsca tego nie poznali już nigdy, którzyby nie opowiedzieli o budowie tej swym sąsiadom i nie namyślali się nad celem budowy“.

Don Emanuel umilkł na chwilę i przetarł dłonią czoło.

„Po pewnym czasie zgłosiłem się do niego. Dom był gotowy. Robotnicy wykończyli go w oznaczonym czasie, spełniając wszelkie moje polecenia. Za budowę otrzymałem tysiąc pesetów więcej, niż mi się należało; biorę to również na karb...“

Niedokończone zdanie przerwała niecierpliwym gestem.

„Senor don Leon — jeżeli tak się istotnie nazywa — zapłacił mi. W całym tym djabelskim interesie to jedno przemawia na jego korzyść. Po uiszczeniu rachunku zapytał: „Czy jesteś pan dyskretny?“ „Jak grób“, odpowiedział. „A zatem“, rzekł,

wybudowałem ten dom, aby zabić w nim człowieka“, to wszystko, co mi powiedział“.

Emanuel zamilkł.

„Teraz zmierzam do owych niedyskrecyj wiosny“, rzekł po chwili z miną pogrzebową. „Nie mogłem milczeć dłużej. Pyta mnie pani, dlaczego nie zadenuncjowałem tego łotra? Wstyd mi było. Proszę sobie przypomnieć, kim jestem. Jestem najznajomniejszym hiszpańskim budowniczym“.

„Ale co to wszystko mnie obchodzi?“ zapytała znowu niecierpliwie.

Ostrzegawczym ruchem wznosił don Emanuel w górę dłoń.

„Zaczekać proszę“, zawołał z przejęciem, „nie skończyłem jeszcze. Dzisiejszego ranka widziałem kawalkadę na drodze, prowadzącej od miasta. Jakieś przecucie podszeptało mi, abym się ukrył za drzewem i zobaczył, kto jedzie w pierwszym powozie. I właśnie w powozie, ciągnionym przez osiem mułów, jechali trzej mężczyźni. Ten, który powoził, był senor don Leon“.

Odstąpił od niej kilka kroków, ażeby obserwować wygodniej wrażenie, jakie te słowa na niej uczynią. Rozczarował go jej kamienny spokój.

„Proszę posłuchać“, zawołał. „Wewnątrz powozu znajdowali się dwaj mężczyźni; firanki były zasłonięte, lecz wiatr je na chwilę uchylił i ja, don Emanuel de Silva, widziałem w powozie dwóch mężczyzn, których ręce i nogi były skrupowane“.

Wysiłek jego został nagrodzony, bo oto Dama z Gratzu spojrzała nań po raz pierwszy z pewnym zainteresowaniem.

„Posuwali się w kierunku domku między górami, ażeby zabić, jak powiedział don Leon, aczkolwiek nie nie wspominał o dwóch mężczyznach, mówiąc tylko o jednym człowieku“.

„Jak wyglądali ci ludzie?“ — zapytała nagle.

„Don Leon jest człowiek bez serca“, zaczął znowu tonem, pełnym patosu: „twarz jego sprawia wrażenie twarzy księdza...“

„A tamci?“ — zawołała. „Mów pan prędko“.

„Tego po przeciwnej stronie powozu nie mogłem dojrzeć, bezwątpienia jednak wygląda on, jak wieśniak. Mężczyzna, siedzący z mojej strony, miał długą brodę“.

„Tak, tak“, wyszeptała nerwowo.

„Musiał być niski i dość tęgi; jedną ręką trzymał przez cały czas w kieszeni swego płaszcza“.

„Tak, zaczekaj pan“. Podbiegła do biurka i z otwartej szuflady dobyła pióro i papier.

„Pan jest przyzwyczajony do rysowania planów“, rzekła szybko; „proszę niech mi pan wykreśli miejsce, w którym znajduje się dom między górami, drogę, którą musiałabym się udać, wsie, które mam minąć i miejsce, w którym mogłabym zmienić konia — zaraz wrócę“.

Usadowiła go w głębokim fotelu i sama wybiegła z pokoju.

Gdy wróciła po chwili, przebrana w czarną amazonkę, zastała go jeszcze przy pracy nad planem.

„Ależ, senora“, zawołał ze zdziwieniem, „nie może pani przecież jechać pięćdziesiąt kilometrów po takiej drodze i do tego sama“.

„To niech pan jedzie ze mną“, rzekła wesoło i uśmiechnęła się, dostrzegłszy na twarzy jego śmiertelną bladość.

Poczęła studjować plan skrupulatnie.

„Możliwe, że tutaj dostanie pani konie“, wskazał punkt, oznaczający wieś Grania de la Flores, „lecz to jest również wątpliwe; ale senora, ci ludzie górcy są źli, mogą zaatakować panią“.

Głośny jej śmiech był jedyną odpowiedzią. Pochyliła się nad biurkiem i poczęła pisać coś na małej karteczce.

„Jeżeli pan to wręczy, uczyni mi pan wielką przysługę“, rzekła i bez jednego słowa podzięki wyszła z mieszkania.

Przez otwarte okno widział, jak szła majestatem krokiem przez Puerta del Sol, zalaną jasnym, złocistym słońcem.

Droga okazała się trudniejszą, niż przypuszczała. Chwilami musiała się wraz z koniem przedzierać przez gęste krzewy, to znów zapadała w małe dolinki, z których trudno było się potem wydostać. Jedynym pokarmem była odrobina wina, zabrana z domu, która obecnie trzymała ją przy siłach. Postępowała wślad za głęboką koleiną, wyrzniętą w piaszczystej drodze, którą wyróżnić musiał powóz, wiozący owych trzech tajemniczych mężczyzn.

O zachodzie słońca dotarła do Grania de la Flores. Szumnym tym tytułem oznaczona była mała wieś, położona u zbocza gór, połyskująca zdaleka bielą zwykłych, wiejskich dachów i jedy-

na wyższą budowlą — maleńkim kościółkiem. Przed skromną oberżą zatrzymała konia i zapragnęła widzieć oberżystę. Dwaj czy trzej nieogoleni mężczyźni, siedzący pod konarami rozłożystego drzewa, wstali z miejsc, zdejmując automatycznie kapelusze i obserwując ją z pewnego rodzaju uwielbieniem. Po chwili ukazał się oberżysta, skręcający pilnie w rękach grubego papierosa.

„Czy możecie mi dać wierzchowca?“ — zapytała Dama z Gratzu.

Mężczyzna spojrział na nią z beczelnym uśmiechem.

„Piękna pani, nic takiego niema na świecie, czegoby nie mógł dać jej oberżysta z Grania de la Flores. Lecz, niestety, konia nie mam“.

Całą jego uwagę pochłonął teraz skręcany papieros.

Uczyniła ruch, jagdyby chciała zsiąść z konia.

„Pozwoli pani, ekscelencjo“, porwał się znowu oberżysta, pomagając jej wyjąć nogi ze strzemion.

Koń jej musiał być nakarmiony i potrzebował wypocząć nieco, była więc przygotowana, że pozostać tu będzie musiała dłużej.

„Proszę mi dać pokój“, rozkazała, a oberżysta uśmiechnął się znowu.

Za salą bawialną znajdowały się dwa oddzielne pokoje. Dama z Gratzu, ujrawszy brudną jakąś sofę, stojącą w kącie, rzuciła się na nią z ulgą. Nie pytała, jak dawno przejeżdżał tędy tajemniczy powóz, bowiem dosłyszała rozmowę siedzących przed oberżą mężczyzn, że powóz ów minął wieś przed niespełną godziną. Znajdowała się więc o dwie go-

dziny poza nimi, czyli opóźnienie nie było zbyt wielkie. Była pewna, że wierzchowiec jej, po nakarmieniu i wypoczynku, będzie mógł udać się doskonale w dalszą drogę.

Po godzinnym odpoczynku wstała z sofy i zawołała o konia. Dostarczono jej go natychmiast. Przyszedł również oberżysta ze swoim familjarnym uśmiezkiem, bo przecie taka piękna kobieta, podróżująca sama po Hiszpanji, była w tej okolicy niezwykłym ewenementem.

W chwili odjazdu intymność jego doszła do kulminacyjnego punktu.

„Pozostałaby pani lepiej tutaj, bello mio“, westchnął głęboko: „drogi są niebezpieczne dla takich ptasząt, jak pani“.

Gdy siedziała już na siodle, ujął delikatnie jej ramię, ona zaś bez wahania smagnęła go przez twarz grubym skórzanym pejczem. Odkoczył w przerażeniu, zakrywając dłońmi oczy, a gdy wyjeżdżała już na wąską dróżkę, pobiegł za nią z długim nożem w ręku. W odpowiedzi na jego pościg, Dama z Gratzu dobiła z kieszeni browning i strzeliła poza siebie.

Na samym szczycie najbliższego pagórka znalazła się nagle oko w oko ze strażnikiem cywilnym, którego wierzchowiec zastąpił jej drogę.

„Mam wrażenie, senora, że słyszałem strzał“ — rzekł.

„Tak“, odparła; „jakiś człowiek we wsi strzelał“.

„Pozwoli pani przeto, że ją pożegnam“, rzekł

i po chwili już usłyszała odgłos spadających dro-
nych kamyków z pod kopyt jego wierzchowca.

Wieśniacy zebrali się dokoła mężczyzny, który
leżał w poprzek drogi, pokryty grubą warstwą ku-
rzu. Opowiadali o ostatnim wypadku stojącemu
wraz z nimi policjantowi, który spoglądał na nich
z filozoficznym wzrokiem.

„Ładną opinię będzie miała wieś Grania de la
Flores“, odezwał się z gryzącym sarkazmem; „żad-
na obca kobieta nie może przybyć do wsi, ażeby nie
była napastowana. Czy ten łotr nie żyje?“

„Żyje“, odparł ktoś z obecnych.

„A zatem weźcie go do domu, gdy ja tymcza-
sem spiszę protokół“, rzekł z powagą stróż porządku
publicznego.

W drzwiach oberży spotkał otyłą żonę oberży-
sty, która stała w progu, trzymając się pod boki.
Zajęta była w tej chwili przeklinaniem Damy
z Gratzu aż do dziesiątego pokolenia.

„I wyobraźcie sobie, moi ludzie“, dodała dla
podkreślenia ważności sprawy, „ta świnka nie za-
płaciła ani za pokój, ani za to, żeśmy nakarmili
jej wierzchowca“.

„Z tem należy się zwrócić do sądu cywilnego“,
rzekł policjant z powagą.

ROZDZIAŁ XIII.

DOMEK MIĘDZY GÓRAMI.

Gdy wieczór już zapadał, pięciu mężczyzn
przybyło do domku między górami. Wysiedli z po-

wozu w małym lasku, leżącym tuż koło Kastylskiej drogi. Dwie jakieś przygody zatrzymały ich przy drodze, dlatego też do celu podróży przybyli później, niż się spodziewali. Z trudnością odnaleźli obite żelazem drzwi, bowiem don Emanuel starał się ukryć je jak najsprytniej. Leon oglądał budynek z zainteresowaniem, aż wreszcie znalazł to, czego szukał.

„Tutaj“, rzekł i otworzył ciężkie podwoje.

Więźniów wpuszczono do ciemnego wnętrza i drzwi żelazne za nimi zatrzaśnięto.

Najbardziej denerwował się Zaragoza, który instynktem iście zwierzęcym wyczuwał, że z więzienia tego nie wydobędzie się już nigdy.

Tymczasem w lasku trzech mężczyzn rozpalili ogień, a Manfred, siedząc tuż przy ogniu nalewał z termosu gorącą kawę. W pewnej chwili spojrział na zegarek. Była punktualnie siódma.

„Możemy ich oczekiwać za dwie godziny“, — rzekł: „w międzyczasie przygotujmy się do przyjęcia naszych gości“.

Leon wstał z miejsca i zeszedł po niewielkiej pochyłości do małego zagajnika. Wrócił po chwili, trzymając pod pachą coś w rodzaju wiązki małych drewn. Umieścił ją opodal ogniska.

Gawędzili swobodnie przyciszonymi głosami do ósmej, poczem Poiccart wykopał w ziemi stalowym szpadlem dół, głębokości dwóch stóp. Umieścił w nim jedno z drewn. Wszyscy czekali, a Manfred trzymał wciąż zegarek w ręce, wreszcie dał znak towarzyszom lekkim skinieniem głowy i Poiccart zapalił sterczące w ziemi drewno.

Rozległ się suchy trzask i jasna rakieta iskier wzbijała się ku niebu, poczem w miljonie gwiazd opadła na ziemię. Cała przestrzeń w odległości kilkuset metrów oświetlona była przez chwilę, niby srebrzystymi promieniami księżyca. Łunę tę zauważyli nawet mieszkańcy małej wioski Annicio, położonej w odległości siedmiu mil i dziwili się, co to za wielka kometa spaść mogła na ziemię. Inni również widzieli tajemniczą łunę; widział ją von Dunop, jadący na tłustym mule wśród nocnych ciemności; widział ją Ellbrecht, niemiecki anarchista, jadący małym, jednokonnym wózkiem poprzez piaszczystą drogę górską, widział ją Saronides Grek, posuwający się od strony północnej i Menszikof, śpieszący w towarzystwie sędziego najwyższego sądu w Madrycie. Dama z Gratzu widziała również łunę, bowiem była ona już najbliżej od miejsca, w którym łuna powstała.

Usłyszawszy tętent kopyt końskich, Manfred uśmiechnął się z zadowoleniem. Dama z Gratzu stanęła na zalanej blaskiem ogniska polance, a Gonsalez wyszedł na jej spotkanie.

„Czy zsiądzie pani z konia?“ — zapytał, a jej się zdawało, że przybycie jej było tu przez kogoś oczekiwane. Odmówiła pomocy i sama zeskoczyła lekko z siodła. W dłoni jej, obciążonej w skórzaną cienką rękawiczkę, widniał rewolwer, którego użyła już w celu samoobrony w małej wiosce Grania de la Flores; żaden z mężczyzn nie dał poznać po sobie, że broń w jej ręku zauważył.

„Może pani spocznie?“ — zapraszał grzecznie Gonsalez.

Historjki Wiesiek

„Wolę stać“, rzekła. Zdawało im się dziwnem, że na twarzy jej nie znać było zmieszania. Jeden tylko Manfred czytał dokładnie myśli tej kobiety.

„Spodziewaliśmy się przybycia pani“, rzekł, nie ruszając się od ogniska. „Nie przypuszczaliśmy jednak, że nastąpi to tak prędko“.

„Myślałam raczej, że nie przewidywaliście państwo tego, a poprostu zobaczyliście mnie dopiero w chwili, gdy przybyłam“, odparła, kładąc nieznacznie palec na cynglu rewolweru.

„Przybywają również i inni“, odezwał się Manfred chłodno, „dlatego też zapaliliśmy rakietę, któraby była przewodnikiem naszych gości“.

Niedbałym ruchem poprawił głównie na ognisku, udając dalej, że nie widzi rewolweru w jej dłoni.

„Należy wyjaśnić pani“, ciągnął dalej, „że don Emanuel zjawił się u niej z polecenia przyjaciela mego, Leona. Historja, którą pani opowiedział, była przez nas uprzednio przygotowana. Najlepszym dowodem pomyślnego wyniku jest to, że pani do nas przybyła“.

„Cóż dalej?“ — zapytała niecierpliwie.

„Dalej... przybędą również przyjaciele pani, których znamy oddawna. Zastaną tutaj pewnego rodzaju przeszkody“.

„Więc to była zasadzka?“ — odetchnęła głęboko.

„Zupełnie otwarta zasadzka“, sprostował. „Nie chciałem sprowadzać tu pani, dopókiśmy nie załatwili się z jej najemnikami“.

„Musicie zwolnić ich również“, rzekła stanowczo, ściskając rewolwer w dłoni.

Manfred nie poruszył się.

„Proszę zaczekać chwilę“, rzekł po chwili ze spojrzeniem, utkwionem w ognisku, jakgdyby widział w niem coś bardzo dla siebie ciekawego. „Za kilka minut będą tutaj von Dunop i Elbrecht, których sprowadziliśmy aż z Hamburga; przybędzie również grek Saronides. Jest on reprezentantem partji Stu Czerwonych w stolicy górskiej, nieprawdaż?“

Od podnóża góry doszło ich uszu głośne chrząkanie, co wywołało na twarzy Manfreda niezwykle zadowolenie. Po chwili von Dunop podjechał do ogniska na zmęczonym wierzchowcu.

Ujrawszy Damę z Gratzu, stojącą w niedbalej pozie, von Dunop wydał okrzyk radości.

„Ach, zatem wszystko w porządku“, rzekł chrapliwym swym głosem. „Obawiałem się, że to jakaś zasadzka, lecz depesza była tak nalegająca, że nie mogłem być jej nieposłuszny“.

Ujrawszy Manfreda, von Dunop skłonił mu się grzecznie.

„Nie znałem dotychczas tych towarzyszy“ — rzekł, spoglądając pytająco na Damę z Gratzu.

„Są oni tymi, których nazywają organizacją Czterech Sprawiedliwych“, rzekła, a von Dunop zachwiał się na nogach.

„Więc to zasadzka“ — zawołał von Dunop z rozpaczą.

„Tak“, odparł Manfred z sarkazmem, „i to

wspaniała zasadzka“; spoglądał znacząco na rewolwery Damy z Gratzu i von Dunopa.

Jeden po drugim poczęli przybywać tamci. Zjawił się Grek i Niemiec z bronią w ręku i przekleństwem na ustach, aczkolwiek wszyscy mieli jeszcze nadzieję, że życie trzech sprawiedliwych spoczywa w ich rękach. Poczęli się naradzać między sobą, a w naradzie tej Dama z Gratzu nie przyjmowała udziału. Rozległ się znowu tętent kopyt końskich i Dama z Gratzu zauważyła, że trzech jej wrogowie, stojący u ogniska dotknęli, jakby na komendę, rękami twarzy i dostrzegła po chwili, że wszyscy trzech byli zamaskowani. Podeszła ku nim o krok bliżej.

„Komedja się kończy“, rzekła z powagą. „Czy sprowadziliście tutaj moich przyjaciół z odległych dzielnic Europy, aby przyjrzeć się tej całej sztuce? Czy jesteście tak naiwni, że przypuszczacie, iż słowa na nas podziałają?“ Wzrok jej zawisł na zamaskowanej twarzy Manfreda, ręka silniej zacisnęła rękobjęć, a palec zadrżał na cynglu.

„Panie! Pan starał się już nieraz mnie napastować“, rzekła, a głos jej zadrżał w tej chwili, „czy przypuszcza pan, że partja Stu Czerwonych jest tak bezsilna, że wolno się naigrywać z jej słabości?“

W tej samej chwili na oświetlonej polance zjawili się nowi przybysze. Jeden z nich był również zamaskowany, a z ramion jego zwisał długi, szeroki płaszcz. Drugi był to człowiek już starszy, w eleganckim stroju podróznym, na twarzy jego malowała się niezwykła energia i pewność siebie.

Podszedł wolnym krokiem do kobiety i zamaskowanych mężczyzn, stojących przy ognisku.

W tejże samej chwili coś niezwykłego zajęło uwagę Damy z Gratzu; kureczowo schwyciła ramię von Dunopa, bo oto na wszystkich zboczach pagórka zapalać się poczęły w niewielkich odległościach małe światełka, a między drzewami połyskiwały słabe jakieś blaski. Manfred zauważył ten jej niepokój.

Do uszu zebranych dobiegł brzęk stali i odgłos grającej wśród gór trąbki.

„Chciałbym widzieć więźniów“, rzekł starszy jegomość spokojnie, a Leon poprowadził wszystkich w stronę małego domku. Gdy starszy mężczyzna wymówił nazwisko swe, towarzysze Damy z Gratzu zadrżeli. Jegomość odebrał z ręki zamaskowanego swego towarzysza zwój papieru i począł wolno odczytywać straszny wyrok. Mocą wyroku, zarówno więźniowie, zamknięci w małym domku, jak i członkowie partji Stu Czerwonych, zebrani przy ognisku, skazani byli na śmierć. Gdy sędzia ukończył czytanie, podszedł bliżej do więźniów, aby ukazać im prawomocną pieczęć księcia, poczem cofnął się parę kroków poza ognisko, gdzie czekał już nań tłum przybocznych strażników cywilnych w długich, hiszpańskich płaszczach.

Dama z Gratzu nie mogła zebrać sił; trudno jej było zorientować się w sytuacji, w której tajna organizacja Czterech Sprawiedliwych postępowała ręką w rękę z prawem hiszpańskim.

Stała bez ruchu, gdy tymczasem Gonsalez i Poiccart wprowadzali więźniów zpowrotem do

celi. Po chwili Manfred zwrócił się do niej, podnosząc się z miejsca.

„A teraz my pójdziemy“, — rzekł.

Nie oponowała, bowiem czuła się dziwnie bezsilną w obecności tego człowieka. Przeszli obok szeregu strażników, trzymających w rękach zapalone pochodnie. Manfred zwrócił teraz specjalną uwagę na broń w ręku Damy z Gratzu. Orjentował się doskonale, że w tej właśnie chwili należało jej rewolwer odebrać, rzucił więc znaczące spojrzenie Leonowi, który bez chwili wahania wytrącił pistolet z palców kobiety.

„Później dostanie go pani znowu“, rzekł chłodno.

Omam, że nie krzyknęła z bezsilnej pasji.

„Kiedyś może“... wymamrotała złamanym głosem.

„Milczeć“, zakomenderował jakiś głos, poczem Manfred zaczął mówić.

Mówił przeważnie do niej i do ludzi, których interesowała wspólna sprawa partji Stu Czerwonych.

„Dawno już powiedziałem wam, że znajdziecie śmierć i przypuszczam, że słowa moje jeszcze dzisiaj pamiętacie. Zadaniem naszym od lat kilku było rozbitcie partji anarchistycznej i jestem pewien, że rozbita ona zostanie na zawsze“.

„Partja Stu Czerwonych żyje“, przerwała Dama z Gratzu, dobywając głos ostatkiem sił, „aczkolwiek ja mam umrzeć i ci ludzie umierają ze mną. Partja Stu Czerwonych będzie żyć i działać“.

„Nie wezwałem tu pani dlatego, abym wierzył.

że organizacja wasza już teraz jest bezsilna, lecz dlatego, że znałem plany pani i wiem, że z planami temi liczą się wszyscy anarchiści. Zależało mi wyłącznie na pani, jako na leaderze partji. Doszedłem do wniosku, że na wszelkie wpływy jest pani nieczuła, że jedyną namiętnością jej jest praca partyjna, że ręka pani zawsze się wzniesie przeciwko niewinnym i, że cierpienie pani jest już stanowczo nieuleczalne. Tu, wśród tych ciemności znajdują się dwaj ludzie, z których uczyniłaś sobie posłuszne narzędzia, — są to wynajęci mordercy, którym płaciłaś złotem za popełnienie zbrodni. Podobne pomysły powstać mogą tylko w głowie niezrównoważonej kobiety“.

„Pieniądze, które mi pani dałaś“, ciągnął Manfred po chwili, zwracając się wyłącznie do Damy z Gratzu, „są przy nich, aczkolwiek przyjaciel mój, dzięki swym doświadczeniom chemicznym, uczynił z nich tylko bezwartościowy proszek. Za pieniądze te poniosą teraz zasłużoną karę; nie oszczędzę im ani chwili cierpień; bomba, którą przygotowali dla innych, zawisła w tej chwili nad ich własnymi głowami“.

Podniósł z ziemi kawałek mosiężnego drutu, którego drugi koniec tkwił w ścianie tajemniczego domku.

„Proszę mi zagwarantować zawieszenie broni, proszę odwołać swych ludzi“, rzekł znowu z powagą, „daj mi pani w imię Boże słowo, że krwawa kampanja Stu Czerwonych skończy się wreszcie, a ja wzamian daruję jej towarzyszą“.

Podeszła ku niemu bliżej i ujęła w palce ko-

niec miedzianego drutu. Widział, jak twarz jej mieniła się tajoną złością.

„Odpowiedzią mą“, szepnęła po chwili, „jest to“ i energicznym ruchem cisnęła mu drut pod nogi.

W tej samej chwili, od strony pagórków, w odległości stu metrów wznosił się jasny płomień ku górze, poczem miejsce, na którym stała Dama z Gratzu i jej towarzysze, zakolysało się pod ich stopami.

„Oto jest moja odpowiedź“, zawołała Dama z Gratzu. „Niech żyje anarchizm“!

ROZDZIAŁ XIV.

DALSZE POSTĘPY TERORU.

Londyn oczekiwał z rosnącym zaciekawieniem powrotu inspektora Faltho z Madrytu. Niestety, Faltho nic więcej powiedzieć nie umiał ponad to, że w Madrycie, po uroczystości zaślubin Wielkiego Księcia, zapanował zupełny spokój i że według pogłosek hiszpańskiej policji, tajna organizacja Czterech Sprawiedliwych, dzięki niezwyklej swej pomysłowości, straciła ostatnio w specjalnie wybudowanym betonowym domku, wśród gór, dwóch zamachowców, czyhających na życie młodego księcia Eskurialu.

Oczekiwane na przybycie Faltho wytłumaczyć można było jeszcze w ten sposób, że zarówno cały Scotland Yard, jak i mieszkańcy Londynu przemęczeni już byli powtarzającymi się ustawicznie zamachami członków partji Stu Czerwonych,

którzy co wieczór prawie podrzucali kilka bomb w rozmaitych dzielnicach miasta. Pierwsze zamachy po dłuższej przerwie nastąpiły w dwa dni po zaślubinach królewskich w Madrycie, czyli tego samego ranka, którego Dama z Gratzu wyruszyła do tajemniczego domku wśród gór. Przypuszczano nawet, że zamachy te były dziełem tej niebezpiecznej kobiety, która prawdopodobnie zawiadomić musiała o wszystkim swych londyńskich agentów i w depeszy wydała odpowiednie instrukcje. Terenem zamachów terrorystów było już teraz nie samo śródmieście, lecz peryferje miasta, a nawet domki najuboższej ludności, która w ciągu ostatnich kilku dni żyła w ustawicznym lęku przed nowym jakimś zamachem. Wszystkie niemal budynki użyteczności publicznej zostały już zdemolowane, a co godzina nadchodziła nowa wiadomość o podrzuconej gdzieś bombie. Wreszcie, trzeciego dnia o godzinie pierwszej, minut trzydzieści pięć, przybyła telefoniczna wiadomość do Scotland Yardu, że bank w Levisham został wysadzony w powietrze, a dyrektor i buchalter zabici. Komendant policji londyńskiej począł załamywać ręce z rozpaczy. Zamach ten był ostatnim zamachem w tym dniu.

O godzinie piątej tego wieczoru, robotnicy wracający po pracy, na polach w odległości dwóch mil od Catford, znaleźli wiszącego na jednym z drzew mężczyznę.

Gdy podszli bliżej, skonstatowali, że był on elegancko ubrany i sprawiał wrażenie cudzoziemca. Jeden z robotników odciął natychmiast sznur, na którym wisiał desperat, lecz, niestety — było

już za późno. Pod drzewem, tuż przy wisielcu zauważono duży, czarny worek, do którego przywiązana była mała ćwiartka papieru z następującym napisem:

„Nie ruszać. W worku materiał wybuchowy. Zawiadomić policję“.

Druga kartka papieru przypięta była do rękawa wisielca. Na kartce tej napisano: „Wisielcem tym jest Fritz Kitsinger, karany w Pradze w roku 1904 za podrzucenie bomby; umknął z więzienia 17 marca 1905 roku. Jest on jednym z trzech mężczyzn, którzy są sprawcami ostatnich londyńskich zamachów. Egzekucję wykonano z polecenia Rady Sprawiedliwych“.

Czterej Sprawiedliwi przybyli do Londynu.

„Upokarzające jest to dla nas“, rzekł główny komendant policji, otrzymawszy tę wiadomość. „lecz obecność tych ludzi zdejmuję mi ciężar z piersi“.

Tej samej nocy jegomość jakiś, palący grube cygaro, na rogu Kensington Park minął stojącego na posterunku policjanta, kierując się w stronę Ladbroke-Square. Po kilku minutach podszedł do willi stojącej w ogrodzie, w której przez otwarte okna ujrzał zebranych gości. Obchodzono tu widocznie jakąś wielką uroczystość, bowiem rozweselone towarzystwo, złożone z kilkunastu osób otaczało stół, zastawiony jadłem i napojami. Nieznajomy wspiął się po rynnie i dobył z kieszeni jakiś niewielki przedmiot, w tej samej jednak chwili dwoje silnych ramion ściągnęło go nadół.

„Nie w ten sposób, mój przyjacielu“, wyszeptał głos jakiś tuż nad jego uchem...

Niedoszły zamachowiec wykrzywił twarz w bolesnym uśmiechu...

Do posterunkowego na Notting Hill Gate podszedł mały chłopiec i wręczył mu jakąś kartkę.

„Jeden pan kazał mi to przynieść“, rzekł.

Posterunkowy spoglądał ze zdziwieniem za oddalającym się posłańcem, poczem przeczytał tajemniczy bilecik:

„Drugi z trzech zamachowców, który podrzucił dzisiaj bombę na Tower Brodge i w Levishamie, leży martwy w Crescent Park, pod jednym z laurowych krzaków, naprzeciw alei Nr. 72. Podpisano: Rada Sprawiedliwych“.

Komendant policji siedział przy kawie w restauracji Ritza, gdy przyniesiono mu tę wiadomość. Po przeczytaniu telefonogramu, podał go siedzącemu obok Falthowowi.

„W ten sposób załatwiają się z partją Stu Czerwonych“, rzekł Falthoth. „Tajemniczy ci ludzie walczą najmądrzejszą bronią: zamach za zamach, teror za teror. Cóż nam teraz pozostaje?“

„Przypuszczam, że cała ta historia ma się już ku końcowi“, odparł komendant. „Obawiam się tylko jednej rzeczy...“

„I ja się tego samego lękam“, przerwał detektyw, domyślając się, że szefowi chodziło o to, że kiedyś przecież trzeba będzie zaarrestować tajemniczą organizację.

„Straszne czasy przeżywamy“, westchnął zno-

wu komendant. „Coraz więcej wybuchowego materiału sprowadza się nielegalnie do kraju. Należałoby z tem raz wreszcie skończyć“.

„Czy ma pan na myśli te bomby?“

„Tak, wydałem polecenie rewidowania wszystkich okrętów, przybijających do przystani Tamizy. Rewidowane są nawet okręty, przybywające pod obcą banderą“; przeczytał raz jeszcze kartkę. „Piszą, że zabity został drugi zamachowiec“, rzekł w zamyśleniu, „skądże, u licha, Czterej Sprawiedliwi wiedzą ilu ich było i kto jest ten trzeci?“

Komendant policji nie domyślał się nawet, że tego samego wieczora znajdzie już odpowiedź na swe zapytanie.

Trzecim zamachowcem nie był nikt inny, jak przyjaciel nasz von Dunop, który dopiero co powrócił z podróży swej do Hiszpanji, pogardliwie żegnany przez Damę z Gratzu i pragnący uzyskać wobec niej jakąkolwiek rehabilitację.

Von Dunop wyekwipowany został przez towarzyszy na nocną robotę, aczkolwiek do Londynu wrócił na kilka dni przed przybyciem tam Czterech Sprawiedliwych.

Przez chwilę stał przed hotelem Ritz, obserwując gości, wychodzących z restauracji i wsiadających do automobilów, które czekały, aby ich odwieźć na wieczorowe przedstawienie do teatru. Uwagę anarchisty zwrócili dwaj mężczyźni, jeden starszy o siwych wąsach, drugi młody o gładko wygolonej twarzy.

Panowie ci zamienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia.

„Któż to taki ten jegomość?” — zapytał komendant policji, wsiadając do taksówki.

„Zdaje się, że widziałem kiedyś tę twarz”.

„Ja również widziałem go kiedyś”, rzekł Falthoth. „Nie pojedę z panem, sir, bowiem mam kilka ważnych spraw do załatwienia w tej dzielnicy”.

O tej chwili nocny spacer von Dunopa śledzony był najpierw przez jednego, potem przez dwóch, wreszcie przez trzech mężczyzn. Von Dunop postanowił dzisiejszej nocy podrzucić bombę pod dom, w którym zamieszkiwał minister spraw wewnętrznych, udał się więc w tę stronę, postanawiając postawić wszystko na jedną kartę. Prześladowcy jego postępowali tuż za nim.

Von Dunopowi udało się wbiec do domu Nr. L 96 i zostawić na schodach bombę, lecz, niestety—gdy wyszedł z bramy usłyszał tuż za sobą strzał. Za nim postępował jeden mężczyzna, z obydwóch stron zaś nadbiegali dwaj inni. Zorientował się, że był w zasadzce.

Jedyną szansą ucieczki była druga strona ulicy, na której nie dostrzegł żywej duszy, pognął więc w tym kierunku, jak wichur. Ciągłe słyszał za sobą czyjeś przyspieszone kroki; odwrócił się na chwilę i dobywszy z kieszeni rewolweru, strzelił trzykrotnie. Ktoś upadł na bruk, gdy w tej samej chwili z za węgła następnej kamienicy wyskoczył wysoki policjant i schwycił go za ramię.

„Trzymać tego człowieka”, wołał Falthoth, podbiegając bliżej.

Von Dunop upadł na ziemię.

„Hallo”, zawołał znowu detektyw, nie wypu-

szczając z uścisku ręki więźnia, „podać tutaj światło“.

Sześciu policjantów otoczyło von Dunopa. Światło latarki padło na rękę Falmotha, zalaną krwią.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że więzień już nie żył. Jakaś tajemnicza ręka, zadała mu cios sztyletem w samo serce, a sztylet zboczony krwią, tkwił jeszcze w jego piersi.

„Ależ to niemożliwe“, zawołał, „przecież przez cały czas byliśmy tuż za nim, aż wreszcie dostał się w nasze ręce; przedtem schwycił go jakiś policjant; gdzież jest ten policjant?“

Nikt nie odpowiedział, jak również nie wyrzekł ani słowa wysoki policjant, który w ciągu jednej chwili zmienił swój strój na eleganckie wieczorowe ubranie angielskiego gentlemana.

Tą samą pocztą przybył list do Czterech Sprawiedliwych, zamieszkałych w Levisham, zwracający uwagę na jeden z okrętów, który miał przybyć do przystani 18-go b. m.

List ten wzbudził w tajnej organizacji wielkie zainteresowanie.

Po spokojnych falach Oceanu Północnego posuwał się majestatycznie statek towarowy „Ibex Queen“. Kapitan statku stał na pomoście kapitańskim z czapką, nasuniętą na oczy.

„Wiatr dzisiaj jakoś nam sprzyja, stary“, zwrócił się do swego towarzysza.

Stary, do którego mówiono, był nietylko pierw-

szym oficerem okrętowym, ale również i właścicielem „Ibex Queen“. Na sumieniu swem miał kilka nieczystych sprawek, za spełnienie których otrzymał dość wielką sumę pieniędzy i dlatego też był w możności nabycia tak potężnego statku.

Zaprzyjaźniony z kapitanem, w bardzo krótkim czasie uzyskał stopień głównego oficera i takie też stanowisko sprawował na pokładzie „Ibex Queen“. Nagle głuchą, nocną ciszę przerwał głośny okrzyk:

„Ibex Queen ahoy“!

Część okrzyku połknął szum wichru.

Kapitan przechylił się poprzez balustradę mostu.

„Ahoy“ — huknął przez megafon.

Z pośród ciemności dobiegła odpowiedź:

„Czy to jest „Queen?“

„Tak“.

„Zatrzymajcie się... idziemy na pokład“.

Kapitan szarpnął przewodnik aparatu telegraficznego.

„To są ci sami ludzie, o których mówiono nam w Rydze“, mruknął, „lecz poco, u licha, zamierzają oni wejść na pokład, nie mam pojęcia“.

ROZDZIAŁ XV.

„IBEX QUEEN“.

„Powiedzieliśmy: szach terrorowi partji Stu Czerwonych; jaki efekt ów szach odniesie, zależy będzie w znacznej części od cierpliwości mieszkań-

ców miasta", pisał Manfred w otwartym liście do redakcji Timesa. List ten był prawdopodobnie jednym z najciekawszych listów, jakie otrzymał ów sławetny dziennik i jakie kiedykolwiek wydrukował. Był on najciekawszym chociażby dlatego, że pochodził od człowieka, którego nie znał nikt i nikt nie widział, a który w całkiem tajemniczy sposób oddawał usługi władzom sprawiedliwości.

Zdawaćby się mogło, że pierwszy ogień ofensywy Stu Czerwonych przeminął i że wszelkie ich poczynania zostały zwyciężone. Jednakże mimo to zamachy bombowe nie ustawały, a przywódcy bandy zamachowców osiąkali coraz większe triumfy. W zwycięstwo Stu Czerwonych nie wierzyli tylko ci, którzy zetknęli się z śmiałościami tajnej organizacji Czterech Sprawiedliwych. Scotland Yard podwoił swą czujność, a Czterej Sprawiedliwi obserwowali dokładnie wypadki dnia z nieznanego nikomu posterunku swego. Silny atak przeciwko anarchistom przypuścił Scotland Yard, rewidując ładunki wszystkich okrętów, przybywających z Bałtyku, co utrudniało Stu Czerwonym otrzymywanie potajemne broni.

„Należy utrzymać ich przez przeciąg miesiąca bez jakiegokolwiek posiłków“ wyraził się jeden z logiczniejszych dygnitarzy i istotnie opinja ogólnie przyznała rację temu twierdzeniu.

Pewnego wieczoru Dama z Gratzu otrzymała list, który wyrwał ją na chwilę z dotychczasowej apatji i zapalił znów w głębokich jej oczach iskry świeżego przypływu energii. List ten, pisany oryginalnem, bardzo niewyraźnem pismem, mówił o

nowych siłach anarchizmu, które miały przybyć do Londynu. Pochodził on od jednego z delegatów partji Stu Czerwonych, który, po objechaniu całej niemal Europy, powracał do głównej kwatery.

Znowu nazewnątrz rozległ się okrzyk, żądający spuszczenia liny, poczem ktoś zawołał:

„Ciagnąć w górę“.

Wreszcie po chwili dwaj pasażerowie ukazali się na pokładzie. Jeden z nich, wyższy, przywitał grzecznie kapitana.

„Mieliśmy straszną drogę“, zauważył obojętnie, „nie przypuszczałem, że morze dzisiejszej nocy jest takie niespokojne“.

Z poza pleców kapitana wysunął się starszy oficer.

„Jestem właścicielem tego statku“, rzekł, „jeżeli macie panowie jakiś interes, proszę za mną“.

„Czy ja jestem potrzebny?“ — zapytał kapitan.

„I tak i nie“, — odparł oficer.

Po chwili znaleźli się w mrocznym salonie, oświetlonym małą lampką oliwną. Szkiper podszedł do świeżo przybyłego pasażera.

„Czy nie widziałem pana już kiedyś przedtem?“ — zapytał.

Manfred zaśmiał się głośno.

„Możliwe“.

„W Bilbao lub Vigo, albo też może w jakimś innym hiszpańskim porcie“, domyślał się szkiper.

„I to możliwe“, odparł Manfred obojętnie: „w każdym razie ja znam pana na pewno. Byłem

pasażerem na okręcie „Pride of Dawmish“, gdzie pan był szkiperem“.

Stary chrząknął zmieszany.

„Bardzo niefortunny był wówczas interes“, wybąkał. „Gdybym się był zorientował, na pewno by się to nie stało... taki cenny ładunek... nie otrzymałem ani grosza asekuracji“.

Przenikliwy wzrok Manfreda utkwiony był w twarzy starego.

„Słyszałem coś wręcz przeciwnego“, rzekł z przekąsem. „Ktoś mi opowiadał...“.

„Kłamstwo, wszystko kłamstwo“, przerwał szkiper pośpiesznie.

„A co z obecnym ładunkiem?“ — zapytał Manfred sucho.

„Nie wiem, o co panu chodzi“.

Z bocznej kieszeni dobył Manfred portfel, z którego wyjął duży arkusz zadrukowanego papieru. Poprzez szkła binokli stary przeglądał tajemniczy papier.

„Wszystko w porządku“, rzekł. „Sto dwadzieścia paczek skór dla firmy Mereowski...“

„A ładunek nie oznaczony“, rzekł Manfred spokojnie, „który nie nosi żadnego signum“?

Stary uśmiechnął się.

„Takich pytań nie powinien mi pan zadawać“.

„Wiem o nim, drogi panie“, rzekł Manfred. „Mam zamiar odesłać pana w zupełnie inną stronę, kapitanie Stansel; należy się panu wycieczka wypoczynkowa“.

Stary uśmiechnął się znowu.

„Z wielką przyjemnością, jeżeli się tylko opłaci“.

„Skieruję pana do Gravesend“, ciągnął dalej Manfred, „i tam też popłyną pańscy pasażerowie“.

Stary spoglądał na Manfreda z pod swych krzaczastych brwi.

„Weźmiecie nasz mały statek, którym przybyliśmy tutaj“.

„A skąd mogę mieć pewność, że ładunek skór nie zginie po drodze?“ — zapytał szkiper. „Powierzono mi go w Rydze i powinienem go dostarczyć do miejsca przeznaczenia“.

„Widzi pan, nie jesteśmy ludźmi, dla których przeznaczone były bomby, które pan wiezie pod pokładem“, odezwał się chłodno Manfred. „Możemy jednak ładunek ten odebrać i załatwić się z nim tak, jak należy“.

„Ależ to korsarstwo“, zawołał stary, obawiając się jednak poruszyć z miejsca.

„Musimy panów opuścić teraz na chwilę“, rzekł Manfred i wraz ze swym towarzyszem wyszedł z salonu, zamykając uważnie drzwi za sobą.

Na pokładzie spotkali młodego marynarza, który drżał na całym ciele.

„Gdzie nasz stary?“ — zapytał.

„Zamknięty w swojej kajucie“ — brzmiała odpowiedź.

„Cóż to ma wszystko znaczyć?“ — zagadnął młodzieniec.

„Gdzie jest hołownik?“ — zapytał Manfred, ignorując pytanie tamtego.

„O pół mili stąd“, wyjąkał chłopak, „ale co to ma wszystko znaczyć?“

„Głupstwo“, odparł Manfred, „tylko ten wasz statek przewozi potajemnie bomby i materiały wybuchowe do portu londyńskiego“.

„Wielki Boże!“ zawołał marynarz, doszedł bowiem do wniosku, że ci dwaj obcy mężczyźni są urzędnikami tajnej policji i spełniał teraz posłusznie każde ich polecenie.

W pół godziny potem oficerowie i marynarze wyprowadzeni zostali na pokład wraz ze swemi pakunkami i zmuszeni do opuszczenia „Ibex Queen“. Przeniesiono ich wszystkich na mały, żaglowy stateczek, którym przybyli tutaj Manfred i jego towarzysz.

„Szczęśliwej podróży“, krzyknął jeszcze Manfred, przechylając się przez balustradę pokładu ku odbijającym, „starajcie się przybić do brzegu zdrowo i cało“.

W niespełną godzinę potem kadłub potężnego okrętu „Ibex Queen“ począł zanurzać się coraz głębiej w wodę. Na małej ratowniczej szalupie dwaj mężczyźni przyglądali się powolnemu zatapianiu okrętu z rozradowanemi twarzami.

„Zegnaj „Ibex Queen“, zawołał Manfred, ujmując za wiosła.

Od tej chwili potężnego statku handlowego „Ibex Queen“ nikt z żyjących już nie zobaczył.

Kapitan okrętu „Ibex Queen“ był zawsze posłuszny spojrzeniu pięknych niewiast, a i teraz, stojąc przed obliczem Damy z Gratzu nie miał pojęcia

w jakich słowach ma jej zakomunikować o zatonięciu cennego ładunku i o znacznych stratach, jakie sam poniósł.

„A teraz“, potarł ręką zroszone potem czoło, „a teraz ta duma żeglarzy leży gdzieś na dnie nieprzebytej głębi.

„Za wszelkie ryzyko miał pan przecież zapłacone“, zawołała, tracąc cierpliwość.

„Zapłacone“, stary wpadł już w furję. „Zapłaciliście mi marne tysiąc funtów za okręt, który powinien pójść na wagę złota“.

„W najlepszym razie na wagę starego żelaza“, rzekła chłodno, „przecież ten stary grat asekurowany już nawet być nie mógł“.

Tego było za wiele. Stary porwał się z miejsca i przystąpił do niej bliżej. Jest pewien, że znajdzie sprawiedliwość. Policja wyciągnie z tej całej afery odpowiednie konsekwencje, a dużo miałby do opowiadania.

Spojrzała nań ciekawie.

„Kapitanie“, rzekła, cedząc słowa przez zęby, „zasadniczo organizacja nasza współczuje z panem z powodu pańskiego wypadku. Pragniemy panu pomóc, udzielając panu pewnej rekompensaty, skoro jednak grozi nam pan, postaramy się uspokoić pana w inny sposób“.

Stary szkiper zadrżał na całym ciele.

„Utracił pan okręt“, rzekła, „powinien pan odnaleźć człowieka, który doprowadził pana do tej straty, my zaś kupimy panu inny statek, o jakim pan nigdy jeszcze nie marzył. Dostarcz mi pan czło-

wieka tego żywego ub umarłego. Jest to jedyna przysługa, której od pana żądam“.

Przycisnęła guzik dzwonka i do pokoju wszedł wysoki mężczyzna. Wskazała kapitana.

„Proszę wypłacić temu marynarzowi tysiąc funtów“, rzekła, „i mieć go stale pod obserwacją. Jeżeli skomunikuje się z policją i zdradzi nas — zabić go, jak psa“.

Stary wilk morski nigdy jeszcze nie czuł takiego lęku, jak w tej chwili, gdy stał przed piękną i tak pończną kobietą.

Odetchnął z ulgą, opuszczając dom na Maide Vale, gdzie madame Deloraine ogłaszała się, że udziela lekcyj francuskiego i przyjmuje uczniów od dziewiątej rano do szóstej po południu.

ROZDZIAŁ XVI.

ŚLEDZTWO.

Trudno byłoby zgłębić, co się działo w duszy Damy z Gratzu, pominąwszy już to, że od najmłodszych lat życia rzucona została bez opieki na arenę szerokiego świata i własnymi siłami doszła do tego, czem była obecnie. Trudno jej jeszcze byłoby zrozumieć stosunek jej do Manfreda, który, aczkolwiek był zaciętym wrogiem partji Stu Czerwonych, to jednak dla Damy z Gratzu był przede wszystkim mężczyzną i to jedynym mężczyzną, który wywołał w duszy jej pewnego rodzaju reakcję. Sam Manfred nawet, pomimo niezwykłej swej

sposstrzegawczości, nie umiałby nic pewnego powiedzieć o tej kobiecie.

Zazwyczaj wolała ona nie myśleć o tym człowieku, aczkolwiek czuła, że powinna go nienawidzić. Zarówno jego, jak i dwóch jego towarzyszy znała dokładnie. O czwartym tylko członku tajnej organizacji nie wiedziała nic prawie i dopiero teraz miała o nim cośnicieś usłyszeć. Większą część swej energii poświęciła na odszukanie zaciętych swych wrogów i każdy niemal z jej agentów nosił przy sobie dokładny rysopis członków tajnej organizacji. Niejednokrotnie przypominała sobie Dama z Gratzu w samotności ów pamiętny wieczór, spędzony przy ognisku między górami i przed oczami jej wyobraźni stawali trzej zamaskowani mężczyźni. Wraz z śmiercią von Dunopa sprawa ta stała się dla niej jasną. Poprostu tamci pragnęli, aby nikt nie znał zewnętrznego ich wyglądu.

Z zadumy wyrwało ją pukanie do drzwi. To Smidt, przyboczny jej adjutant ukazał się na progu. Widocznie przynosił niezwykle jakieś wieści.

„Mamy go, mamy go“, zawołał z radością. „Och, co z radość. Pierwszy chciałem przybiec z tem tutaj, wzięłem nawet taksówkę.“

„Kogo macie?“ — zapytała, siląc się na spokój. Rumieńce spływały z jej twarzy, a pierś falowała szybko.

„Mów prędko, głupcze“, domagała się, widząc, że Smidt nie może przyjść do słowa.

„Mamy jednego z nich“, wykrztusił wreszcie. „tego, który zabił Starka i Francois“.

„Którego?“ — zapytała chrapliwym głosem.

Dobyl z kieszeni fotografię. Rzuciła okiem — niestety — nie był to Manfred.

„Dlaczego, dlaczego?“ — wyszeptala, „dlaczego schwyciliście tylko tego człowieka, dlaczego nie tamtych, dlaczego nie przywódcę?“

Zdziwienie odmalowało się na twarzy Smidta.

„Ależ przecież nie mieliśmy nigdy nawet nadziei“.

Burza mijała powoli. Policzki Damy z Gratzu zarumieniły się znowu.

„Tak, tak“ rzekła, odzyskując powoli równowagę, „i ten musi być dobry. Powinni raz wreszcie wiedzieć, że partja Stu Czerwonych posiada dawną potęgę. Ten człowiek powinien umrzeć. Opowiedz mi, w jaki sposób został pojmany“.

„Dzięki rysopisowi. Jeden z naszych towarzyszy poznał go i poszedł za nim, aż do bramy jego domu. Dla pewności przysłał po mnie; ja również go poznałem...“

„Dlaczego mi nic o tem nie mówiono?“ — zapytała poważnie.

„Nie było czasu — naprawdę nie było czasu“, wyszeptał błagalnym tonem.

„Ale moglibyśmy ująć ich wszystkich“.

„Nie, nie“, zawołał, „on sam mieszka, ten człowiek, i dlatego było nam łatwiej. Ostatniej nocy wyszedł na spacer“.

„Dzisiaj jeszcze musi być stracony“, rzekła z triumfem.

W duszy Damy z Gratzu zrodziło się pragnienie czyjejskolwiek śmierci, a teraz nadarzała się

niezwykła ku temu okazja. Postanowiła sama ogłosić wyrok swemu wrogowi.

Tego samego jeszcze wieczoru, w obszernym salonie, w którym zazwyczaj odbywały się posiedzenia partji Stu Czerwonych, Dama z Gratzu znalazła już wszystkich przywódców. Oczy zebranych zwróciły się ku niej, gdy wchodziła na salę i gdy wstępowała na estradę. Długie przemówienie zakończyła następującemi słowami:

„Dziś właśnie należy pokazać naszym wrogom, że partja Stu Czerwonych żyje i że nie utraciła dawnej swej potęgi. Niechaj dzisiejszy wieczór będzie lekcją dla tych, którzy w nas dawno zwątpili“.

Na znak, dany od strony estrady, dwaj towarzysze wprowadzili więźnia. Twarz jego była spokojna i zimna nawet. Nieczułym wzrokiem powiódł po zebranych, poczem spojrzenie jego zatrzymało się na twarzy Damy z Gratzu. A gdy przemówiła doń po niemiecku, odparł:

„Nie rozumiem prawie zupełnie; niemieckiego uczyłem się kiedyś w młodości tylko“.

„Jakiej jesteś narodowości?“ — zapytała.

„Jestem Anglikiem“ — odparł.

„Czy mówisz po francusku?“

„Uczę się“ — odparł z naiwnym uśmiechem.

„A po rosyjsku?“

„Tak“, — rzekł z prostotą. „Długie lata przebywałem w Rosji“.

Poczęła mówić doń po rosyjsku, a jeden z obecnych, Iwan Oranwicz, przeczytał w tymże języku akt oskarżenia.

Dama z Gratzu była teraz pewna, że więźniem

jest czwarty towarzysz tajnej organizacji Czterech Sprawiedliwych, którego widziała w korytarzu, w chwilę po zamordowaniu Bartholomewa. W więźniu nie dostrzegła ani odrobiny tej energii, która malowała się na twarzy Manfreda i dwóch pozostałych jego towarzyszy. Zapytała go o stosunek jego do tajnej organizacji.

Uśmiechnął się znowu.

„Nie jestem jednym z Czterech Sprawiedliwych“, rzekł, „a ten, kto mi to wmawia, kłamie“.

„Czy to jest wszystko, co masz mi do powiedzenia?“ — zapytała sucho.

„Tak, to wszystko“, brzmiała chłodna odpowiedź.

„Czy zaprzeczasz, że pomagałeś w zamordowaniu towarzysza naszego Starka?“

„Nie zaprzeczam“, odparł z prostotą, „nie pomagałem, a zabiłem go sam“.

„Czy zaprzeczasz, że zamordowałeś i innych członków partji Stu Czerwonych?“

Chwilę trwało milczenie.

„Co do członków partji Stu Czerwonych, to nie wiem, ale zabiłem wielu ludzi“.

Mówił z odwagą człowieka, który przyjmuje odpowiedzialność za swe czyny.

„Wspominałeś, żeś przebywał dość długo w Rosji. Czy i tam popełniłeś jakie zabójstwa?“

Skinął potakująco głową.

„A w Anglii?“

„W Anglii również“, odparł.

„Jak się nazywasz?“ — zapytała.

Więzień wzruszył ramionami.

„Czy uważasz, że to nie należy do rzeczy?“ — zapytała znowu. W tej chwili myśl jakaś przyszła jej do głowy. Zauważyła obecnego na sali izraelitę Magnusa, który od wielu lat zamieszkiwał w Anglii; zwróciła się ku niemu.

„Do jakiej klasy należy ten człowiek?“ — spytała szeptem.

„Powinien należeć do sfer niższych“, odparł tamten, „aczkolwiek nie ujawnił tego przy aresztowaniu. Zauważyłem, że niejednokrotnie odzywał się, jak ulicznik“.

„Jak się nazywasz?“ — powtórzyła Dama z Gratzu.

Więzień spoglądał na nią naiwnym wzrokiem.

„W Rosji nazywano mnie „ojciec Kopab“.

Większość znajdujących się na sali była Rosjanami; na sam dźwięk słów więźnia porwali się na równe nogi i padli na kolana przed skrzepowanym podsądnym.

Dama z Gratzu powstała z miejsca. Wargi jej drżały, a w szeroko otwartych oczach malowało się przerażenie.

„Zabiłem Starka pod przymusem“ — ciągnął dalej więzień, „Francois również, a przyjdzie dzień, gdy każą mi zabić również...“

„Milczeć“ — zawołała, a po chwili dodała już łagodniej, zwracając się do przybocznych swych adjutantów:

„Uwolnić go“.

Smidt poszedł posłusznie i przeciął więzy, krępujące ręce i nogi więźnia.

„Gdyście mnie aresztowali“, wyszeptał więzień

po chwili, „miałem przy sobie książkę; musicie pojąć to, że tutaj, w Angji, jedynie zapomnienie znajdowałem w książkach, ja, który widziałem wiele cierpień i sam niejednokrotnie występowałem przeciwko prawu.“

Ktoś z obecnych podał mu żadaną książkę. Przyjrzał jej się z uwagą, skinął potakująco głową i wsunął książkę do kieszeni.

„Dowidzenia“ rzekł, zwracając się ku drzwiom.

„W imię Boże“! zawołała Dama z Gratzu drzącym głosem, „odejdz w spokoju, ojcze“.

Mr. Long, tenże sam Jessen, niegdyś przywódca Rady Najwyższej, później publiczny angielski egzekutor, wyszedł z sali, niezatrzymywany przez nikogo.

Potęga partji Stu Czerwonych została złamana. Najlepiej wiedział o tem główny detektyw Falmoth, któremu najrozmaitsi drobni agenci donosili co dnia o wszystkim. Naczelne dowództwo Scotland Yardu, mimo niezwykle wysokiego mniemania o pracy swych urzędników, orjentowało się jednak dokładnie, że do zwycięstwa nad wystąpieniami Stu Czerwonych przyczynili się, przede wszystkim członkowie tajnej, a znenawidzonej przez policję angielską organizacji. Pewnego dnia w gabinecie szefa policji zjawił się inspektor Falmoth z wiadomością, że partja Stu Czerwonych pochwyciła Jessena.

„O“, zdziwił się główny komisarz.

„Ale, gdy usłyszeli, kim jest“, ciągnął swą opowieść Falmoth, „wypuścili go natychmiast“.

„Niejednokrotnie już zastanawiałem się nad

tem“, rzekł komisarz w zamyśleniu, „dlaczego Czterej Sprawiedliwi nie zabili Starka własnoręcznie“.

„I mnie się to dziwnem wydało“, przyznał Falthmoth, „lecz Stark, jak również i Francois byli ludźmi o niespożytej energii. Przysługiwały im specjalne prawa i dlatego prawdopodobnie Jessen podjął się tego zadania“.

Komisarz skinął głową.

„A teraz“ zapytał, „cóż słysząc z nimi?“

Falthmoth spodziewał się prędzej czy później tego pytania.

„Czy uważa pan, że powinniśmy schwytać ich, sir?“ zapytał z odcieniem ironji; „jeżeli takie jest pańskie zdanie, sir, pragnąłbym tylko przypomnieć panu, że staramy się o to już od lat kilku“.

Szef policji zmarszczył brwi.

„Najciekawszą rzeczą jest“, rzekł, „że od czasu wyklarowania sytuacji ze względu na ekscesy, zainicjowane przez Stu Czerwonych i zwycięstwa Czterech Sprawiedliwych, zostaliśmy wystrychnięci na dudków. Co prasa powie na to wszystko?“

„Głosy prasy nigdy mnie nie przerażają“, rzekł, Falthmoth, „obywatele zawsze niechętnie spoglądają na przedsięwzięcia policji, a tembardziej panowie piszący. Od dwudziestu trzech lat służę w policji i raz jeden tylko okazał mi pomoc obywatel cywilny, który dopomógł mi w odszukaniu zwłok zaginionej kobiety. Owego dnia gdyśmy odnaleźli zwłoki, rzekłem mu: Mr. Blackie, udzielił mi pan wiele cennych informacyj, uważam jednak, że w obliczu prawa wiedział pan o tej kobiecie za

dużo, to też radzę usunąć się, aby i pana prawo nie dosięgło“.

Szef policji zdawał się być ubawiony opowiadaniem swego podwładnego.

„Panu nigdy nie zbywa na humorze“, przyznał.

„Humor jest najważniejszą zaletą do wykrywania zbrodni“, rzekł Falthoth, opuszczając gabinet swego zwierzchnika.

Gdy Falthoth znalazł się w swym pokoju, zastał już tam oczekującego nań woźnego.

„Jakaś pani chce się z panem widzieć, sir“.

„Któż to taki“? zapytał zdziwiony.

Woźny podał mu wizytową kartę, po przeczytaniu której jeszcze większe zdziwienie odmalowało się na twarzy inspektora.

„Ależ to nieoczekiwany gość“, szepnął do siebie, poczem zwrócił się do woźnego, „poprosić tę panią tutaj“.

Na wizytowym bilecie widniał napis — „Dama z Gratzu“.

ROZDZIAŁ XVII.

MANFRED.

Manfred siedział samotnie w apartamencie swym na Levisham, a pokój, w którym się znajdował, oświetlony był półprzyćmionem światłem małej, stojącej lampy. Na twarzy Manfreda malowało się zmęczenie. Tuż przy nim, na stole leżała otwarta książka i opróżniona srebrna filiżanka od

czarnej kawy. Manfred czuł w duszy zbliżającą się reakcję. Ten dziwny człowiek przeczuwał, że praca, do której przywykł od lat wielu, była już na ukończeniu. Aczkolwiek niezwykłą satysfakcję przyniosło mu zwyciężenie Stu Czerwonych, to jednak uczuwał coraz bardziej fizyczne zmęczenie.

Tego dnia Gonsalez wyjechał do Paryża, Poicard zaś udał się za nim pociągiem popołudniowym. Manfred miał spotkać się z przyjaciółmi dnia następnego.

Ostatnia walka przemęczyła wszystkich trzech przyjaciół, a i koszty jej finansowe były dość znaczne. Trzej ci oryginałowie zżyli się z sobą w ciągu ostatnich lat kiku i każdy z nich dla drugiego był otwartą księgą. Nie mieli przed sobą żadnych sekretów, a wierzyli w siebie bezgranicznie.

W świecie cywilizowanym znani byli, jako tajna organizacja Czterech Sprawiedliwych. Z niezwykłą łatwością udawało im się wtargnąć zarówno do życia publicznego, jak i do życia prywatnego poszczególnych jednostek. Byli ludźmi swobody, ludźmi wolnymi, którzy nie liczyli się z prawem a działali dla dobra pokrzywdzonych.

Aczkolwiek sami wyznaczali innym kary, dla nich nie było kary na świecie. Stali się niejako symbolem wszystkich tych, którzy żyli i, których czyny Sprawiedliwych zaciekawiały coraz bardziej.

Wszelkie poczynania policji całego świata utrudniało to, że Czterej Sprawiedliwi byli ludźmi nie tylko zamożnymi, ale bogatymi. Mimo to, że

występowali pod godłem Czterech Sprawiedliwych, to jednak czwarty członek ich organizacji już nie istniał; wystąpił on z bractwa po dokonaniu tego co było jego obowiązkiem.

Gdy mały zegar, stojący na kominku wybił dziesiątą, Manfred zapalił spirytusową maszynkę i nalał sobie nową filiżankę kawy. Uszu jego dobiegł odgłos dzwonka, poczem rozległy się kroki na schodach. Nie spodziewał się gości, chociaż zawsze był przygotowany na czyjeś odwiedziny i we dnie i w nocy.

„Proszę wejść”, rzekł w odpowiedzi na lekkie pukanie; na progu ukazał się gospodarz.

„Jakaś obca pani chce się z panem widzieć”.

„Proszę ją tu przyprowadzić”, odparł Manfred.

Zajęty był jeszcze gotowaniem kawy, gdy ona stanęła w otwartych drzwiach. Nie spojrzał na nią, ani też nie zapytał kim była. Gospodarz stał przez chwilę w niepewności na progu, poczem wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

„Przepraszam panią na chwilę”, rzekł Manfred. „Może pani spocznie”.

Zdrową ręką napełnił filiżankę kawą, poczem podszedł do biurka i, ułożywszy stos listów i papierów na marmurowej tacy, podpalił je, czekając, aż spłoną doszczętnie. Wreszcie spojrzał na swego gościa.

Nie zwracając uwagi na zaproszenie, przybyła stała z rękoma, skrzyżowanymi na piersiach.

„Czy pani nie usiądzie?” zapytał znowu.

„Wolę stać”, odparła krótko.

„Widoczne nie jest pani, tak, jak ja zmęczoną“, rzekł i zagłębił się w głębokim fotelu, w którym siedział poprzednio.

Nie dała odpowiedzi i przez kilka minut milczała.

„Czy Dama z Gratzu zapomniała, że jest świetną mówczynią“? zauważył z uśmiechem. Dostrzegł w spojrzeniu jej coś w rodzaju wyrzutu i zmienił natychmiast ton.

„Niech pani siądzie, Mary“, rzekł łagodnie. Zauważył, że policzki jej zarumieniły się, a oczy poweselały nagle.

„Nie, nie“, pośpieszył dodać, „mówię zupełnie poważnie teraz. Dlaczego pani nie odeszła z tamtymi“?

„Mam jeszcze tutaj pracę“, rzekła.

Rozłożył ręce bezradnie.

„Praca, praca i praca“, rzekł z gorzkim uśmiechem, „czyż praca się jeszcze nie skończyła? Pani ją ukończyła przecież“.

„Jest już na ukończeniu“, rzekła, obrzucając go dziwnem spojrzeniem.

„Niech pani usiądzie“, rozkazał, a ona podsunęła sobie najbliższe krzesło, przyglądając mu się ustawicznie.

Wreszcie pierwsza przerwała milczenie.

„Kim pan jest“? zapytała niecierpliwie. „Kto panu udzielił tego autorytetu“?

Zaśmiał się głośno.

„Kim jestem? Jestem człowiekiem sprawiedliwym, Mary; autorytetu, o którym pani mówi, nie mam żadnego“.

Zamyśliła się przez chwilę.

„Nie zapytał mnie pan nawet, dlaczego tu przyszedłem“, szepnęła.

„Nie pytałem o to nawet siebie, bo zdaje mi się rzeczą zupełnie naturalną, że spotkać się musieliśmy znowu, aby się rozstać“.

„Jak nazywają pana pańscy przyjaciele“? zapytała nagle. „Czy mówią o panu człowiek z brodą, czy wysoki człowiek, — czy jakaś kobieta nazywała pana w życiu po imieniu“?

Chwilowy cień przebiegł po jego twarzy.

„Tak“, odparł spokojnie; „mówiłem już pani, że jestem tylko człowiekiem. Nie jestem ani djabłem, ani półbogiem, ani też zjawą, utworzoną z piany morskiej; nie jestem czarodziejem“, uśmiechnął się, „lecz jestem synem zwykłych rodziców i ludzie nazywają mnie George Manfred“.

„George“, powtórzyła, jakgdyby ucząc się na pamięć tego imienia. „George Manfred“. Patrzała nań długo z powagą, aż wreszcie zmarszczyła brwi.

„Cóż takiego sprawiło pani przykrość w tem, co powiedziałem“? zapytał.

„Nic“, odparła szybko, „tylko ja jestem... nie mogę zrozumieć... pan jest taki dziwny...“.

„Inny, niż pani się tego spodziewała“.

Pochyliła nadół głowę.

„Spodziewała się pani triumfu. Chciała mnie pani wziąć w obronę“?

Skinęła potakująco głową.

„Nie, nie“, ciągnął dalej, „wszystko się już skończyło. Minęło pragnienie zwycięstwa: jestem

zadowolony z potęgi, która pokonała pani przyjaciół. Do pani nie mam żadnego żalu“.

„Nie jestem ani lepsza, ani gorsza od nich“, rzekła z prostotą.

„Będzie pani lepsza, gdy szaleństwo minie“, rzekł łagodnie, „gdy zorjentuje się pani, że młode jej życie nie powinno być poświęcone kaprysom straszliwej anarchji“.

Pochylił się i ujął małą jej dłoń w swą męską rękę.

„Dziecko, pani musi porzucić tę pracę“, wyszeptał miękko, „proszę zapomnieć o tem, co było, wyrzucić to z swej pamięci; proszę uwierzyć w to, że partja Stu Czerwonych nie istniała nigdy“.

Nie odbierała mu swej ręki, ani też nie usiłowała hamować potoku łez, który spłynął z jej oczu. Jakaś tajemnicza siła otworzyła zamkniętą jej duszę, jakiś dziwny wpływ uczynił ją bezbronną. Nieznana nikomu potęga skruszyła granit i stal, z których, jak przypuszczała, było jej serce.

„Mary, jeżeli kiedykolwiek znała pani miłość macierzyńską“, — jakże słodki był jego głos — „proszę pomyśleć o tem. Czy zdaje sobie pani sprawę, ile wartości miało dla niej życie, ile planów i nadziei pokładała i jak cierpiała za panią ta kobieta, która była pani matką. Nie przypuszczała chyba, że ręce, które całowała kiedyś, podniosą się przeciwko życiu ludzi. Modliła się do Boga, aby duszę pani uchował w czystości i, aby pokazał pani świat z najpiękniejszej strony...“

Z pieczętą ojcowską przyciągnął ją ku sobie. aż wreszcie osunęła się przed nim na kolana, ukry-

wając zapłakaną twarz na jego piersi. Objął ją silnemi ramionami i dłonią gładził lśniące jej włosy.

„Jestem złą kobietą“, szlochała, „jestem złą, niedobłą kobietą“.

„Odrobinę spokoju“, prosił ze smutkiem; „nie należy określać naszej dobroci według czynów naszych, lecz według naszych zamiarów, które — niestety — nie zawsze odnoszą pomyślny skutek“.

Szloch jej stawał się coraz głośniejszy; objęła go za szyję, jakgdyby lękając się, że odsunie się od niej.

Przemawiał do niej, jakgdyby była małym przerażonym dzieckiem, a ona uspokajała się coraz bardziej, aż wreszcie podniosła wzrok ku niemu.

„Niech pan posłucha“, wyszeptała; „ja — ja — och, nie mogę, nie mogę tego powiedzieć“. Ukryła znów twarz na jego piersi.

Po chwili wyszeptała znowu:

„Czy, jeżelibym prosiła, jeżelibym błagała pana o coś, uczyniłby pan to dla mnie“?

Patrzył w jej oczy z uśmiechem.

„Robił pan już wiele rzeczy — zabijał pan — tak — tak, proszę mi pozwolić mówić; wiem, że ranę pana, lecz muszę skończyć“.

„Tak“, odparł z prostotą; „zabijałem“.

„Czy żal panu było tych, których pan zabijał“?

Potrząsnął przecząco głową.

„A jednak żalby panu było“, ciągnęła dalej z rozpaczą, „żalby panu było, gdyby pan pomyślał, że zabija pan ciało, w którym tkwi czysta dusza“.

Potrząsała znowuż głową.

„Tak, tak“, szeptała, usiłując mówić dalej. Niestety, słowa przychodziły jej z trudnością. Podniosła głowę wgórę i, złożwszy dłonie na jego ramionach, rozchyliła drżące wargi.

„Zabij mnie“, zawołała, „bo zdradziłam cię przed policją“.

Nie uczynił żadnego ruchu, siedząc spokojnie w głębokim fotelu, a nawet żaden mięsień nie drgnął w jego twarzy.

„Czy słyszysz“? wołała rozpaczliwie. „Zdradziłam cię dlatego, — że cię kocham, lecz nie wiedziałam o tem — nie wiedziałam o tem dotychczas“.

Domyśliła się z jego spojrzenia, ile go kosztować musiały ostatnie jej słowa, nie przypuszczała jednak, aby wiadomość o zdradzie nie wywarła na nim żadnego wrażenia.

„Nigdy nie mówiłam o tem nawet samej sobie“, szeptała; „nie pozwoliłam sobie nawet na myśl taką, a jednak było to we mnie przez cały czas, czekało... jestem teraz szczęśliwsza, chociaż ty umrzesz i chociaż każda godzina mego życia jest godziną męki. Jestem szczęśliwsza, że ci to powiedziałam, szczęśliwsza, niż przypuszczałam, że kiedykolwiek będę... Dziwiłam się dlaczego pamiętam o tobie i dlaczego o tobie myślę i dlaczego przychodziłeś do mnie we śnie co nocy. Myślałam, że dzieje się to dlatego, że cię nienawidzę, dlatego, że cię chce zabić, lecz teraz wiem...“

Załamywała ręce w bezsilnej rozpacz.

„Dlaczego nic nie mówisz“? zawołała. „Czy

nie rozumiesz słów moich, najdroższy? Wydałam cię policji dlatego — o, Boże, że cię kocham“.

Pochylił się znowu i wyciągnął ku niej obydwie dłonie, a ona przyczołgała się ku niemu na klęczkach.

„Mary, dziecko“, wymamrotał, patrząc z bólem na bladą jej twarzyczkę, „obydwoje — i ty i ja — zbyt silni jesteśmy, aby mówić o miłości. Musisz zapomnieć o tem, maleńka, niechaj to będzie zwykłym obudzeniem po przykrym śnie... Idź silna w nowe życie — w życie, w którym kwiaty kwitną, ptaki śpiewają i w którym znajdziesz zasłużony dla siebie odpoczynek“.

Jedyną jej myślą było teraz jego bezpieczeństwo.

„Oni są na dole“, wyszeptała. „Przyprowadziłam ich tu, byłam ich przewodnikiem.“

Uśmiechnął się.

„Wiedziałem o tem“, rzekł.

Spojrzała nań ze zdziwieniem.

„Tyś wiedział“? wyjąkała złamanym głosem.

„Tak — jak tylko wszedłeś tutaj“, wskazał stos spalonych papierów na marmurowej tacy, „wiedziałem“.

Podszedł do otwartego okna. Uradowało go to, co zobaczył na dole.

Podszedł do niej i podniósł ją z klęczek. Chwiała się na nogach, lecz jego silne ramię podtrzymało ją. Począł nasłuchiwać: uszu jego dobiegł zgrzyt otwieranych na dole drzwi.

„Nie powinnaś myśleć o mnie“, rzekł znowu.

Potrząsnęła głową bezradnie i wargi jej zadrżały.

„Niech Bóg cię prowadzi i wspomaga“, rzekł uroczyście, składając na drżących jej wargach gorący pocałunek.

Postąpił ku drzwiom na spotkanie Falthotha.

„George Manfred?“ spytał detektyw, spoglądając w zakłopotaniu na stojącą obok niego dziewczynę.

„Tak się nazywam“, odparł Manfred spokojnie. „Pan jesteś inspektor Falthoth“.

„Główny detektyw“, sprostował tamten.

„Bardzo mi przykro“, rzekł Manfred.

„Mam rozkaz aresztować pana“, rzekł Falthoth, „pod zarzutem przynależności do tajnej organizacji Czterech Sprawiedliwych, na sumieniu której ciąży kilka zbrodni“.

„Pragnę ułatwić panu to przykre zadanie“, rzekł Manfred uprzejmie, podnosząc w górę obie dłonie.

Po raz pierwszy w życiu uczył zimno stalowych kajdań na swych rękach.

Gdy jeden z urzędników zapinał mu kajdany, Manfred podniósł ręce w górę i uśmiechnął się.

„Czy tylko dobrze umocowane?“ zapytał.

Otoczyli go kołem, a on zwrócił się jeszcze z uśmiechem do dziewczyny:

„Kto wie, ile dni szczęścia przeżyjemy jeszcze obydwój“, wyszeptał miękko.

Ze szcękami szabel sprowadzali go po schodach.

ROZDZIAŁ XVIII.

W CELI WIEZIENNEJ.

Charles Garrett, sławetny dziennikarz, współpracownik Megaphonu, kończył już swój artykuł. Dnia tego pisanie przychodziło Charlesowi z trudnością, bowiem z obecnej sytuacji trudno było wydobyc choćby odrobinę humoru, który powinien przeważać w artykułach Garreta. Skończył wreszcie i spory plik papierów leżał przed nim na biurku. Wziął się do przeglądania porannych dzienników, między którymi leżały na biurku świeżo przybyłe depesze telegraficznych agencji. Przerzucał je obojętnie, aż wreszcie wzrok jego spoczął na następującej notatce:

„Przywódca tajnej organizacji Czterech Sprawiedliwych aresztowany został w Londynie wczorajszego wieczora...”

Charles porwał się z miejsca i skierował się w stronę gabinetu naczelnego redaktora.

Otworzył bez ceremonji drzwi i bez tchu prawie powtórzył podaną przez agencję wiadomość.

Siwowłosy szef przyjął nowinę spokojnie i w kilka chwil potem zorganizował już cały zastęp reporterów redakcyjnych. W niespełna godzinę kilka taksówek odjeżdżało z pod budynku redakcji Magaphonu. W każdej z nich siedział jeden z reporterów, wysłany w całkiem innym, niż towarzysze jego, kierunku.

Megaphon postanowił zadziwić opinię londyńskich czytelników; postanowił dać obywatelom an-

gielskim sensację, jakiej dotychczas jeszcze nie mieli.

Z małej notatki kronikarskiej: „George Manfred w wieku lat 39, bez zajęcia, zamieszkały w Hill Crest Lodge, St. Johns“ redakcja Megaphonu sporządziła kilkukolumnowy artykuł.

Dla Manfreda tymczasem przygotowano specjalną celę i traktowano go tak, jak innych więźniów. W szeregu zabójstw, ciężących na tajnej organizacji Czterech Sprawiedliwych, stało jeszcze zabójstwo niejak. go Samuela Lipskiego, znanego wyzyskiwacza pracy robotniczej, który pewnego dnia znaleziony został bez życia w prywatnym swym gabinecie na terytorjum fabryki. Wobec niemożności odnalezienia mordercy, czyn zbrodniczy przypisano Czterem Sprawiedliwym.

Wszystkie niemal gazety w dniu tym podały przebieg śledztwa w sprawie Manfreda. Świadków powołano wielu; pojawili się na miejscu przesłuchania: policjant, który znalazł martwe ciało Lipskiego, inspektor, który twierdził, że zbrodnię tę popełnili Czterej Sprawiedliwi, doktor, który skostatował śmierć, a nawet jakiś poczciwy jegomość, który łamaną angielszczyzną orzekł:

„Znałem tego Lipskiego, dobry był człowiek, niech mu ziemia lekką będzie“.

Na zapytanie sędziego śledczego, zwrócone do Manfreda, czy czuje się winnym, podsądny, odmówił wszelkich wyjaśnień. Wogóle mówił mało, a raz tylko podczas całego śledztwa odpowiedział na zadane mu rzeczowo pytanie:

„Jestem przygotowany na poniesienie wszel-

kich konsekwencyj za swoje czyny“, rzekł spokojnie. „Uważam, że na szali przyszłości mojej nie zawąży absolutnie fakt przyznania, czy też nieprzyznania się do winy“.

Manfred skłonił się nisko.

„W zeznaniu pańskim napiszę niewinny“, rzekł sędzia śledczy.

„Pozostawiam to uznaniu pana sędziego“, rzekł.

17- czerwca Manfred przekazany został władzom wężiennym. Przedtem odbył jeszcze krótką konferencję z Falthem. Józef opuścił celę tymczasowego aresztu.

Falth doszedł do wniosku, że trudno byłoby zanalizować myśli oskarżonego. W gruncie rzeczy detektyw był niezwykle zadowolony, że dobry los oddał w jego ręce przywódcę tak długo poszukiwanej tajnej organizacji. Jednocześnie jednak w duszy Faltha zrodził się dziwny jakiś szacunek dla tego człowieka, który z takim spokojem znosił niezasłużoną może karę.

Gdy detektyw wszedł do celi, Manfred zajęty był czytaniem. Na widok gościa powstał z miejsca z wesołym uśmiechem.

„Witam, Mr. Falth“, zawołał, „wkraczamy w drugi i najbardziej poważny akt dramatu“.

„Nie wiem, czy ma mnie to cieszyć, czy smucić“, rzekł Falth tępą.

„Uważam, że powinien pan być zadowolony“, odparł Manfred z dwuznacznym uśmiechem, „zwy- ciężył pan“...

„Tak“, przerwał Falth sucho, „zdaję sobie

z tego wszystkiego doskonale sprawę, lecz drugiej części tej całej historii poprostu nienawidzę“.

„Co pan ma na myśli?“

Manfred rzucił na detektywa zdziwione spojrzenie.

„Mam na myśli egzekucję Mr. Manfred; jest to najbardziej przykra historia po tem wszystkim, co uczynił pan dla naszego kraju“.

Manfred odrzucił wtył głowę i zaśmiał się głośno.

„Niema się z czego śmiać“, rzekł detektyw. „Znajduje się pan w przykrew sytuacji dlatego, że minister spraw wewnętrznych jest krewnym zabitego przez was Ramona i dlatego też nienawidzi was serdecznie“.

„Śmiech mój jest zupełnie na miejscu“, szepnął Manfred chłodno, „jestem bowiem pewny, że uda mi się ucieczka“.

W słowach więźnia nie było ani odrobiny przechwałki, a tylko spokojna pewność, że o przyszłości swej myśli poważnie.

„Czy istotnie zamierza pan uciec?“ zapytał ponuro detektyw. „No, zobaczymy“.

Ucieczka Manfreda z celi nie miała szans powodzenia, bowiem był on strzeżony przez podwójną wartę i zwarty kordon policjantów, który zmieniał się co parę godzin na dziedzińcu więziennym; cela jego w więzieniu w Wandsworth była zamykana troskliwie na kilkanaście mocnych zamków.

Gdy pewnej nocy zbudziły go głośne rozmowy zmienianej na korytarzu straży, uśmiechnął się z zadowoleniem.

O życiu Manfreda, przebytem w ciągu tych kilku tygodni w celi więziennej w oczekiwaniu mającego nastąpić procesu, niejednen publicysta mógłby napisać kilka nawet tomów. Odwiedzano go często, a najczęstszym gościem był Falthoth, który opowiadał mu o swej nadziei pochwycenia dwóch jego towarzyszy.

„Powinien się pan odzwyczaić od tej myśli,“ uśmiechał się Manfred, „nie dadzą się oni ująć tak łatwo“.

Niewiadomo dlaczego Falthoth przykładał wielką wiarę do słów więźnia.

„Gdyby pan był zwykłym kryminalistą, Mr. Manfred“, zauważył z uśmiechem, „przedstawiłbym pana Sądowi Najwyższemu i ręczę, że król udzieliłby swej łaski. Teraz zależy mi najbardziej na ujęciu pańskich towarzyszy, wiem jednak, że pan ich nie wyda“.

„Zupełnie zrozumiałe“, odparł tamten naiwnym tonem, „bo gdyby przyjaciele moi zostali aresztowani, któżby zaaranżował moją ucieczkę?“

Dama z Gratzu nie przychodziła, aby się z nim zobaczyć i Manfred był z tego niezwykle zadowolony.

Przywykł do codziennych wizyt dyrektora więzienia i wizyty te wydawały mu się coraz milsze. Mówili o krajach, które obydwaj znali, o ludziach, których dyrektor więzienia nie znał prawie wcale i o innych rzeczach, które Manfreda nie interesowały prawie zupełnie.

„Słyszałem, że zamyśla pan ucieczkę?“ mówił dyrektor pod koniec jednej ze swych wizyt. Dyrek-

tor był człowiekiem wysokim, silnie zbudowanym i ujmował życie poważnie. Podobno niegdyś zajmował stanowisko wyższego oficera artylerji morskiej. Może ze względu na realny swój pogląd na świat, nie zgadzał się z Falthem, który projektowaną ucieczkę uważał za zwykły tylko żart.

„Tak“, odparł Manfred krótko.

„Czy zamierza pan uciec stąd?“

Manfred potrząsnął głową uroczyście.

„Szczegóły nie są jeszcze dokładnie opracowane“, odparł ze spokojem.

Dyrektor więzienia zmarszczył brwi.

„Nie przypuszczam, aby chciał mi pan podstawić nogę“, rzekł. „Kwestja jest zbyt poważna, ażeby można ją ująć żartem, a wie pan o tem, że ucieczka stąd spowodowałaby utratę mojej posady“.

„Orjentuję się w tem doskonale“, rzekł Manfred, „i dlatego postanowiłem zorganizować to wszystko w ten sposób, aby pan nie miał żadnych przeze mnie przykrości“.

Ze zmarszczonemi brwiami dyrektor więzienia opuścił celę. Wrócił po kilku minutach.

„Zapomniałem powiedzieć panu, Mr. Manfred“, rzekł, „że może się pan spodziewać odwiedzin kapelana. To bardzo porządny człowiek i radzę panu przyjąć go przyjaźnie.“

Po wyjściu dyrektora, Manfred uśmiechnął się ironiczne.

„Porządny człowiek“, pomyślał.

Kapelan był człowiekiem nerwowym i wielce zmieszany przystąpił do rzeczy. Manfred nie odzy-

wał się ani słowem i wysłuchał spokojnie długiej przemowy duchownego.

„Nie, nie“, rzekł po chwili, „nie przypuszczam, Mr. Summer, abyśmy mieli odmienne zdania w dziedzinie religji i wiary w dobroć Boga. Zasadniczo przez całe moje życie mało miałem z religją wspólnego; przypuszczam, że wybaczy mi pan, jeżeli nie będę się wywnętrzał przed nim i zdawał sprawy o czynach moich. Uważam, że najlepszym nauczycielem jest życie, a człowiek uświadomiony powinien sam sobie wyarzążyć Jedyną swoją myślą w obecnej chwili jest to, że pragnę żyć dalej i o śmierci nigdy nie myślę“.

Młody duchowny zachował spokój. Począł rozmawiać z Manfredem o książkach i wyznawcach innych religji.

Przy każdej okazji, czy podczas rozmowy z dozorcami więziennymi, czy też z samym dyrektorem więzienia, Manfred powtarzał ustawicznie o projekcie swej uciezki.

Dyrektor zwiększył jeszcze czujność straży, aby uniemożliwić uciezkę więźniowi.

„Tak“, przyznawał dyrektor, „zwiększyłem czujność moją tylko dlatego, że wierzę w pańskie słowa. Zdołałem już poznać pana,“ dodał.

„Istotnie?“

„Nie tutaj“, rzekł dyrektor, wymownym ruchem ręki ogarniając celę więzienną, „lecz poza murami więzienia. Czytałem dużo o panu i wreszcie pojąłem. Wierzę teraz, że projekt pański nie jest żartem“.

Manfred skinął potakująco głową. Zresztą czy-

nił to zazwyczaj, gdy dyrektor więzienia dowodził czegoś z powagą.

Dyrektor więzienia pożegnał go serdecznie i drzwi celi zamknęły się za nim z przeraźliwym zgrzytem zamków.

Manfredowi wolno było czytać dzienniki, co przyniosło mu niezwykle zadowolenie. Dozorcy więzienni zmieniali się bardzo często, a to dzięki czujności dyrektora więzienia, który nie życzył sobie, aby Manfred zbyt się z nimi zaprzyjaźnił.

„Od dzisiaj nie będzie pan otrzymywał gazet“, rzekł dyrektor podczas jednej ze swych porannych wizyt. „Otrzymałem takie polecenie z głównej kwatery. Prawdopodobnie komendę najwyższą zamieszkoł artykuł, zamieszczony w ostatnich dniach w Megaphonie.

„Nie zauważyłem go“, rzekł Manfred z uśmiechem.

„Ale mógł go pan zauważyć“, rzucił dyrektor sucho.

„Oczywiście“, zamyślił się Manfred.

„Czy naprawdę pan tego nie czytał?“

Manfred nie odpowiedział.

„Nie mamy o czym mówić“, zawołał po chwili dyrektor, siląc się na wesołość, „zamiast gazet może pan otrzymywać książki bez ograniczenia“.

A zatem umożliwiono Manfredowi czytanie krótkich rozdziałów, opowiadających o życiu na zewnątrz murów więziennych. Interesowało go to bardziej, aniżeli sensacyjne artykuły, podawane w gazetach. Pewnego razu, podczas wizyty dyrektora więzienia, Manfred zapytał:

„Czy prasa uważa mnie jeszcze za umysłowo chorego“?

„Nie“.

„Czy według niej urodziłem się w Anglii i jestem synem biednych rodziców“?

„Nie, inna teraz krąży historja, pan jest podobno członkiem szlacheckiej rodziny i kochał się pan w najmłodszych swych latach w jakiejś udzielnej księżniczce. W miłości tej rozczarował się pan“.

„Boże, jakież to romantyczne“, zawołał Manfred.

Samotność działała doskonale na spokojne usposobienie Manfreda. Stawał się coraz młodszym i lżejszym na duszy, humor go nie odstępował nawet w obecnej chwili, gdy powinien był z drzeniem oczekiwać zbliżającego się procesu.

Proces ten zainteresował całą niemal opinię londyńską i dotarł do najbardziej nawet zamkniętych sfer stolicy.

Pewnego dnia zakomunikowano Manfredowi, że odwiedzić go pragnie młody dyrektor Instytutu Antropologicznego, Luigi Frescini.

Manfred zgdził się na te odwiedziny, spodziewał się bowiem nowej jakieś sensacji.

„Chciałbym zmierzyć pańską głowę“, rzekł Frescini zaraz na wstępie odwiedzin.

„Obawiam się, że nie będę mógł pozwolić panu na to“, odparł Manfred chłodno, „przedewszystkiem dlatego, że wydaje mi się to bezdennie głupie, a po drugie dlatego, że pomiary głowy w antropologii są tak samo rzeczą przestarzałą, jak puszczenie krwi w chirurgji“.

Uczony nie tracił powagi.

„Przypuszczam, że lekcje tego rodzaju są dla mnie zupełnie zbyteczne“ zaczął.

„O, przydałyby się panu bardzo“, odrzekł Manfred, „stałby się pan może jeszcze większym uczonym, jak na przykład Antonio de Costa i Feliks Hedemann; obydwaj oni twierdzą, że monografia pańska w pracy o pochodzeniu człowieka jest okropnym nonsensem“.

Z rumieńcem na twarzy opuścił Fresscini więzienną celę. W późniejszym artykule swym, podanym do dzienników londyńskich, orzekł on, że Manfred jest pełnym degeneratem, na którego twarzy maluje się instynkt morderczy.

Wszystkie te zdarzenia uprzyjemniały długie chwile oczekiwania i sprawiały, że pozorna tragedia Manfreda stała się kompletną komedią.

Na tydzień przed procesem, podczas rozmowy z dyrektorem więzienia, Manfred wspomniał coś o pragnieniu swem otrzymania nowego transportu książek.

„Co takiego chciałby pan?“ zapytał dyrektor, notując życzenia Manfreda na małej ćwiartce papieru.

„O, wszystko mi jedno“, rzekł Manfred leniwie, „mogą być podróże, życiorysy, nauka, sport—wszystko, co panu wpadnie w ręce“.

„Dam panu katalog“, zaproponował dyrektor, który nie był człowiekiem zbyt oczytanym. „Jedynymi książkami podróżniczymi, które znam, są dwie rzeczy: „Trzy miesiące w Marokku“ i „Poprzez puszcze Ituri“. Jedna z nich napisana jest

przez zupełnie nieznanego autora, Teodora Maxa. Czy zna go pan?"

Manfred potrząsnął głową przecząco.

„Pragnąłbym te dwie rzeczy przeczytać“, rzekł.

„Czy nie byłby już najwyższy czas, aby zaczął pan przygotowywać swoją obronę“? zapytał dyrektor cierpko.

„Nie zamierzam się bronić“, rzekł Manfred, „i dlatego też przygotowania wszelkie są zupełnie zbyteczne.

Dyrektor był wielce zdziwiony.

„Czyż życie nie ma dla pana żadnego znaczenia?“ zapytał surowo. „Czy nie chce pan żyć dalej?“

„Zamierzam przecież uciec“, rzekł Manfred; „czy nie zmęczyło już pana ciągle powtarzanie przeze mnie jednej i tej samej formułki“?

„Gdy gazety podały wiadomość o pańskiej chorobie umysłowej“, odezwał się po chwili dyrektor więzienia, „miałem szczerzy zamiar napisać specjalny list do jednej z redakcyj, aby sprostować to mylne ich mniemanie“.

„O wiele więcej byłbym zadowolony“, zawołał Manfred wesoło, „gdyby im pan doniósł, że biegam po małej celi na czworakach i wyrzucam wszystkich, którzy mnie odwiedzają“.

Następnego dnia przyniesiono Manfredowi żądane książki. Tajemnice puszczy Iturji zostały tajemnicami, lecz zato „Trzy miesiące w Marokko“ przeczytał więzień od deski do deski, dochodząc do wniosku, że jest to najgłupsza książka ostatniej doby. Dla jakich powodów napisał Leon Gonzalez

tę pracę przy pomocy Poiccarda, żaden zdaje się z czytelników, prócz George'a Manfreda, nie wiedział.

ROZDZIAŁ XIX.

BRACTWO „ŚLUSZNI WIERZĄCYCH“.

W elegancko umeblowanym gabinecie na West-kensington Gonsalez i Poiccard palili niedostępne swe cygara, zajęci każdy własnymi myślami. Poiccard rzucił na popielniczkę niedopałek i odsunął swój fotel od stołu. Leon obserwował go z pod pół-przymkniętych powiek, kolekcjonując zda się w myśli szereg ostatnich swych spostrzeżeń.

„Stałeś się sentymentalny, przyjacielu“, rzekł. Poiccard spojrział nań zdziwiony.

„Palileś jedno z cygar George'a, nie wiedząc zupełnie o tem; rzuciłeś je przed dopaleniem, uważając, że cygaro ci nie smakuje“.

Poiccard zapalał fajkę w milczeniu.

„Mówisz, jak marny dedektyw bez praktyki“, rzekł szczerze. „Gdybym wiedział, że cygaro to jest ulubionym cygarem George'a, dopaliłbym je na pewno. Uważam, że przyjaźń ma również swoje granice; to właśnie ty stałeś się sentymentalny“.

Gonsalez przymknął oczy z uśmiechem.

„Świeża recenzja o twojej książce ukazała się dziś wieczorem w Evening Mirror“, ciągnął dalej Poiccard, „czyś widział ją?“

Gonsalez potrząsnął głową przecząco.

„Autor recenzji powiada“, mówił dalej Poic-

card, „że człowiek, który opisuje takie idjotyzmy o Marokko, jak ty, mógłby“.

„Daj spokój“, wymamrotał Gonsalez w półśnie.

W ciągu dziesięciu minut słyhać tylko było tykanie małego zegara, stojącego na kominku i rozkoszne zaciąganie się dymem fajki Poiccarda.

„Mam wrażenie“, rzekł Gonsalez, mając ciągle oczy zamknięte, „że George znajduje się w sytuacji nauczyciela, który przedłożył swym uczniom trudny problem do rozwiązania“.

„Byłem pewien, że śpisz“, rzekł Poiccard.

„Nigdy jeszcze mniej mi się spać nie chciało, niż teraz“, odparł Gonsalez chłodno. „Prostu myślałem o różnych szczegółach. Czy znasz Mr. Peter Sweeney'a“?

„Nie“, odparł Poiccard.

„Jest on członkiem rady miejskiej Chelmsford. Wielki i porządny człowiek“.

Poiccard zachował spokój.

„Jest on również przywódcą bractwa „Słusznie wierzących“, o którym musiałeś kiedyś słyszeć“.

„Nie słyszałem“, przyznał Poiccard, zainteresowany coraz bardziej.

„Bractwo „Słusznie wierzących“, mówił Gonsalez sennie, „jest latoroślą bractwa „Nowych Unitarjan“, a ci znów są mieszaniną ludzi pokrzywdzonych“.

Poiccard ziewnął.

„Bractwo „Słusznie wierzących“, ciągnął dalej Gonsalez, „posiada w życiu cel. Mają oni własną

orkiestrę, własny chór, a wszystkiem tem zarządza Mr. Peter Sweeney, człowiek niezwykle majątny“.

Przez chwilę trwało milczenie.

„Orkiestra i chór otrzymują miesięczną pensję od Petera“.

Poiccard odwrócił głowę i spojrział na przyjaciela ze zdziwieniem.

„Co mnie to wszystko obchodzi“? zapytał.

„Bractwo „Słusznie wierzących“, mówił monotonnym głosem Gonsalez, „składa się z ludzi, którzy przez całe swe życie byli wieczną mniejszością. Występują oni przeciwko wszystkim niemal zjawiskom życia codziennego, przeciwko salom zebraniom publicznym, salom koncertowym, przeciwko jedzeniu mięsa, wszelkiego rodzaju karom i t. d.“.

Poiccard czekał z zapartym oddechem.

„Przed kilku laty uważano ich za szkodliwych awanturników i nie pozwalano im na zebrania. Kilku z członków nawet zabrano do więzienia. Nie złamało to jednak silnego bractwa. Obecnie ustały już te prześladowania — męczeństwa nie można okupić zbyt tanio — stali się oni instytucją zupełnie legalną, a hasłem ich jest wołanie głośnym głosem pro bono publico. Ludzie ci przyjmą cię chętnie do siebie i będą cię tolerowali“.

Poiccard słuchał z radosnem zaciekawieniem.

„Ludzie ci starają się demonstrować poglądy swe przy każdej okazji. Mają oni swe pieśni, które śpiewają podczas takich uroczystych momentów. Najbardziej ciekawą z ich usług protestacyjnych jest t. zw. usługa, występująca przeciwko karze głównej“.

Zaległo znowu milczenie, które wydało się Poiccardowi zbyt długiem, to też po chwili wyszeptał nieśmiało:

„I cóż dalej“?

„Myślę teraz o ich pieśniach“, rzekł Leon w zadumie, „nie mogę sobie jednak dokładnie przypomnieć którejskolwiek z nich“.

Podniósł się nagle na krzesło i chwycił ramię Poiccarda.

„Gdy mówimy już o naszym planie, należy również mówić o grożącym niebezpieczeństwie. Czy nie uważasz, że bractwo „Słusznie wierzących“ mogłoby się w znacznej części przyczynić do rozwiązania naszego problemu? Przydałaby się również orkiestra i ich niezwykle śpiewy“.

Poiccard odłożył swą fajkę.

„Niezwykły z ciebie człowiek, Leonie“, rzekł

Leon podszedł do biurka, otworzył jedną z szuflad i wyjął z niej grubą teczkę, jaką zwykli nosić artyści malarze. Odpiął rzemyki i wyjął z niej kilka pojedynczych arkuszy brystolu; pochylił się nad nimi. Była to kolekcja, która kosztowała organizację Czterech Sprawiedliwych wiele czasu i pieniędzy.

„Co zamierzasz robić“? zapytał Poiccard, gdy tymczasem tamten zdjął z siebie marynarkę i, umieściwszy na nosie nieodłączne swe binokle, pochylił się nad planami, wyjętymi z teczki. Sięgnął potem po ołówek, leżący na stole, a obliczywszy dokładnie wyznaczoną skalę planu, począł otwierać stojącą obok buteleczkę z tuszem.

„Czy uczuwałeś kiedyś ochotę rysowania wysp,

które nie istnieją“? zapytał, „nadawania nazw wyimaginowanym zatokom, miastom i góróm? Właśnie ja mam zamiar zabrać się do podobnej pracy, od czuwam bowiem niezwykłą ochotę dokuczenia naszemu Scotland Yardowi“.

Na dzień przed oznaczoną datą procesu, Falthmoth uczynił to niezwykle odkrycie. Ażeby być ścisłym, należy dodać, że odkrycie to uczynił nie sam Falthmoth, bowiem właściciel pensjonatu przy Gowerstreet zakomunikował mu, że dwaj tajemniczy ludzie wynajęli w pensjonacie jego pokoje. Przybyli oni późnym wieczorem, niosąc teczkę, zawierającą dziwne jakieś plany. Starali się przez cały czas obecności swej w pensjonacie twarzę swe ukrywać w cieniu, a twarz jednego z nich, okolona długą brodą, wydała się właścicielowi pensjonatu twarzą człowieka fałszywego. Nadmiar wszystkiego zapłacili za pokoje zgóry i to było dla właściciela pensjonatu faktem najbardziej dziwnym. Gospodarz pokazał gościom pokoje z bijącym z oczekiwania sercem, pragnąc jak najszybciej donieść o wszystkim posterunkowi policji. Jeden z mężczyzn nazywał drugiego „Leon“, a wśród szeptów usłyszał gospodarz, jak mówili o „biednym Manfredzie“.

Wynajawszy pokoje, wyszli razem, zaznaczając, że wrócą zaraz po północy; kazali przytem napalić w sypialni, ponieważ noc była niezwykle wilgotna i zimna.

W pół godziny potem cała historia opowiedziana została Falthmothowi przez telefon.

„Stanowczo za pięknie to wygląda, aby mogło być prawdą“, orzekł detektyw, wydał jednak odpowiednie instrukcje.

Pensjonat około północy został otoczony przez tajnych agentów, tak jednak dowcipnie, że żaden z przechodniów nie mógł tego zauważyć. O trzeciej nad ranem Falthoth zdecydował, że tajemniczy goście zostali przez kogoś ostrzeżeni, wyważył więc drzwi ich pokoju, ażeby przeszukać wnętrze. Jedyłą rzeczą, jaką znaleziono była owa teczka, zawartością której było kilka nic nie znaczących papierów. Dopiero pod sam koniec rewizji Falthoth przeszukując teczkę dokładnie znalazł coś, co go zastanowiło.

„Hallo“! zawołał, bowiem w ręce jego wpadły tajemnicze jakieś plany. Schował je do kieszeni i na odchodnym wydał polecenie:

„Proszę mieć oko na ten pensjonat. Nie przypuszczam, aby ludzie ci mieli wrócić, ale jeżeli wrócą, należy ich ująć“.

Całą siłą motoru pognął Falthoth przez puste ulice samochodem swym do Scotland Yardu, gdzie zbudził głównego komendanta policji z głębokiego snu.

„Co się stało?“ zapytał komendant, gdy detektyw wszedł do pokoju.

Falthoth rozłożył plany.

Komendant zmarszczył brwi i gwizdnął przeciągle.

„Jest to, o czem mówiłem“, rzekł Falthoth.

Szef rozłożył plany na obszernym stole.

„Plany więzienia w Wandsworth, Pentonville

i Reading, niezwykle dobre plany wszystkich tych trzech budynków więziennych“.

Falmoth wskazał ręką zarysowane śmiało linje podkreślone czerwonym atramentem.

„Tak, widzę je“, rzekł komendant, „wyraźnie oznaczone: ściana grubości trzech stóp podminowana w tem miejscu, strzeżona od zewnątrz: odległość do wyjścia z hallu więziennego 25 stóp. Oznaczona cela o ścianach grubości 5 stóp, jedno okno na wysokości 10 stóp 3 cali od podłogi“.

„Jak widać, opracowali materiał doskonale. A co jest z więzieniem w Wandsworth“?

„Opracowane mniej więcej w ten sam sposób, sir“, rzekł Falmoth. „Wykreślone są odległości, wysokości i odpowiednie punkty. Musieli stracić wiele lat, ażeby zebrać tak bogaty materiał“.

„Z wszystkiego tego wynika“, rzekł komendant, „że plan swój zamierzają wykonać po procesie, bowiem rysunek wskazuje wyraźnie celę stracenia, jako punkt oznaczony“.

Następnego ranka odwiedził Manfreda Falmoth.

„Chciałem powiedzieć panu, Mr. Manfred“, rzekł, „że mamy już w swem posiadaniu wszystkie szczegóły zamierzonej przez pana ucieczki“.

Manfred okazał zmieszanie.

„Wczorajszego wieczoru przyjaciele pańscy umknęli nam, że tak powiem, z pod rąk, pozostawiając swe plany“...

„Czy na piśmie“? zapytał Manfred z półuśmiechem.

„Na piśmie“, odparł Falmoth uroczyście. „Mys-

łę, że obowiązkiem moim jest powiedzieć panu o tem, ponieważ, zdaje się, zbyt dużo buduje pan na projekcie ucieczki z celi. Obecnie ucieczka jest zupełną niemożliwością“.

„Tak“, odparł Manfred w roztargnieniu, „może pan ma rację. Powiedział pan jednak, że znaleziono plany na piśmie“?

„Tak, cała sprawa była opracowana niezwykle dokładnie“; Falthoth pomyślał w tej chwili, że powiedział już dość dużo i przeszedł na inny temat. „Czy nie uważa pan, że dobrze byłoby, aby poradził się pan swego adwokata“?

„Myślę, że ma pan słuszość“, rzekł Manfred. „Czy zechce pan wybrać mi jakiegoś odpowiedniego obrońcę“?

„Oczywiście“, rzekł Falthoth, „widzę, że zamierza się pan bronić“.

„O, nie można tego nazwać obroną“, zawołał Manfred wesoło; „należałoby jednak zastosować się do pańskiej woli“.

ROZDZIAŁ XX.

NA SALI SĄDOWEJ.

Byli ludzie uprzywilejowani, którzy po długich, usiłowaniach otrzymali karty wstępu na salę sądową. Tacy ludzie byli przeważnie przyjaciółmi głośnych reporterów, wielkich aktorów, lub też sławnych literatów. O szczęśliwcech tych doniosły wieczorowe gazety, a zwykli śmiertelnicy zazdrościli im, że mogli być obecni na procesie, który był

dla Londynu wielką oddawna oczekiwaną sensacją.

Za wystąpienie przeciwko karze głównej ofiarowana została przez pozostałych członków tajnej organizacji Czterech Sprawiedliwych suma 66 tysięcy funtów bractwu „Słusznie wierzących“.

„Oczywiście chce pan to zachować w tajemnicy“, rzekł adwokat podczas jednej ze swych wizyt w celi Manfreda.

„Nie mam najmniejszego zamiaru“, odparł Manfred: „zasadniczo byłbym niezwykle zadowolony, gdyby przesłał pan taką wzmiankę do redakcji Megaphonu“.

„Czy mówi pan poważnie“? zapytał zdziwiony obrońca.

„Najzupełniej. Kto wie“, uśmiechnął się, „może to wywrzeć wielki wpływ na opinię publiczną i zwiększyć jeszcze poważanie dla mnie“.

A zatem wiadomość ta w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin obiegła całe miasto i, gdy Manfred wspinał się po wąskich, drewnianych schodach, które prowadziły do celi więziennej w gmachu sądowym, tłumy zebranej publiczności powitały go głośnym szmerem zadowolenia, a gdy się zbliżał do wejścia, jakiś głos chrapliwy rozkazał zebrany:

„Spokój“.

Wprowadzono go na salę obrad i wskazano ławę oskarżonych, na której zajął miejsce. Powstał w chwili odczytywania aktu oskarżenia.

„Przyznaje się panu do winy, czy nie“? zapyta-
no go krótko.

„Nie mam zamiaru przystąpić do obrony“.

Począł z zainteresowaniem rozglądać się po sa-
li. Zaciekawiała go sylwetka przewodniczącego w
czerwonej todze, o niezwykle poważnej twarzy
Sędziowie w puszystych, futrzanych kołnierzach
i ksiądz, który siedział ze skrzyżowanymi nogami,
przepelniona ława reporterów, na której porozu-
miewano się szeptem i wzmacnione posterunki poli-
cyjne u drzwi, — wszystko to interesowało niezwy-
kle Manfreda.

Przewodniczącym sądu był mały człowiek,
na którego twarzy malowała się powaga, uzewnę-
trzniająca tragedję chwili. Zwracał się on zarówno
grzecznie do otaczających go sędziów i sekretarza,
jak również i do więźnia.

Możnaby było przysiąc, że w głębi duszy naj-
chętniej byłby Manfreda uniewinnił, bowiem, ja-
ko dobry patrijota uważał, że organizacja Czterech
Sprawiedliwych uczyniła bardzo wiele dla kraju.
Świadkowie, którzy weszli na salę, siedzieli w mil-
czeniu, wpatrzeni w czerwoną togę przewodniczą-
cego.

„Panowie sędziowie“, zaczął obrońca oskarżo-
nego, „powinniśmy boleć nad tem, że społeczeń-
stwo tak cywilizowane, jak nasze, wyznacza jedna-
kową karę ludziom szlachetnym, jak ludziom
złym i szkodzącym państwu. Każde niemal poko-
lenie postanawia zrefomować dotychczasowe pra-
wa, jednakże w praktyce reform tych nie widzi-
my. Dewizą każdego narodu powinna być wolność

obywateli i wolność praw dla ludzi, którzy chcą czynić dobrze“.

W głębokiej swej przemowie wykazywać począł szlachetne popędy tajnej organizacji Czterech Sprawiedliwych, która miała zawsze na celu karanie tych, których prawo nie dosięgało. Podczas całej przemowy obrońcy Manfred, pochylony naprzód, słuchał z zajęciem jego wywodów i milczącym skinieniem głowy potakiwał nieznacznie, jak gdyby pragnąc dać poznać, że zgadza się w zupełności z wywodami adwokata.

Rozpoczęło się badanie świadków, a więc posterunkowy, lekarz i jakiś bardzo gadatliwy, zezujący jegomości. Gdy ukończyli swe zeznania, obrońca zapytał Manfreda, czy nie ma jakiegoś pytania dla świadków, lecz Manfred potrząsnął przecząco głową.

„Czy świadek widział kiedyś poprzednio oskarżonego“? zapytał sędzia ostatniego świadka.

„Nie, sir, nie widziałem“, odparł świadek z przejęciem, „nie mam nic do powiedzenia przeciwko niemu“.

Wracając na ławę świadków, zezowaty jegomość szepnął do swych towarzyszy:

„Pozostało jeszcze tamtych trzech; pocóż biedacy mają umierać“.

Cichy szept jego doszedł do uszu przewodniczącego.

„Wspomniał pan coś o tamtych trzech“, rzekł, „czy przekupili oni pana“?

„Nie, sir, niema o tem mowy“, odparł zezowaty.

„Daczego więc nie mówi pan prawdy“?

W tej samej chwili poprosił o głos Manfred.

„Człowiek ten boi się nas“, rzekł, wskazując ławę świadków, „jest on szmuglerem sacharyny, lecz mimo wszystko prawo musi go ukarać“.

„To kłamstwo“, zawołał zezowaty, drżąc na całym ciele. „To jest nieczna potwarz“.

Manfred uśmiechnął się tylko i machnął ręką z lekceważeniem.

Dzwonek przewodniczącego przywołał obecnych do porządku. Rozprawa toczyłaby się dalej, gdyby nie to, że w pewnej chwili do przewodniczącego podszedł woźny sądowy i szepnął mu coś na ucho.

Po przesłuchaniu ostatniego świadka, przewodniczący ogłosił przerwę i wraz z obrońcą oskarżonego przeszedł do przyległej sali obrad.

Manfred został przeprowadzony do małej celi dla więźniów.

W niespełna piętnaście minut potem obrady rozpoczęły się na nowo. Na odgłos dzwonka przemy w długi, czarny, płaszcz; twarz świadka zakrywającego na salę wszedł nowy świadek, ubrała do połowy czarna maska.

Przystąpiwszy do barjerki, przybysz spojrzawszy o-
- „Czy przyszedł pan zeznawać na korzyść o-
skarżonego“? zapytał przewodniczący.

„Tak, panie sędzio“.

„Czy całą odpowiedzialność za czyny oskarżonego bierze pan na siebie“?

„Tak, panie sędzio“.

„Czy istotnie jest pan członkiem organizacji noszącej miano Czterech Sprawiedliwych“.

„Jestem“.

Świadek mówił spokojnie i bez cienia zmieszania patrzył w oczy przewodniczącego.

„Zeznaję pan również“, mówił dalej sędzia, przeglądając leżące przed nim dokumenty. „że brał pan udział w naradach organizacji“?

„Zeznaję“.

Zaległa grobowa cisza, bowiem sekretarz zapisywał odpowiedzi świadka.

„Twierdzi pan, że poglądy pańskie zgadzają się z ich metodami“?

„W zupełności“.

„Dopomagał im pan w karaniu tych, których prawo ominęło“?

„Dopomagałem“.

„Udzielał im pan wszelkiego poparcia“?

„Tak jest“.

„Uważa pan, że samosądy Czterech Sprawiedliwych były ich świętym obowiązkiem i tem samem działali oni dla dobra społeczeństwa“?

„Są to moje poglądy“.

„I, że ludzie, których oni zabijali, zasłużyli na śmierć“?

„Tak jest, panie sędzio“.

„Czy uważa pan, że działali oni na korzyść ojczyzny“?

„Wierzę w to niezbitie“.

„Czy Czterej Sprawiedliwi porozumiewali się z panem przed każdym samosądem“?

„Byłem obecny podczas wszystkich ich obrad“.

Przewodniczący skinął głową i w tej samej chwili powstał z miejsca prokurator, aby zadać świadkowi kilka pytań.

„Zanim zapytam pana o cośkolwiek“, rzekł, „muszę ogłosić publicznie, że solidaryzuję się również z wysokim sądem, który pozwolił panu zeznać w masce“.

Młodzieniec skłonił się głęboko.

„A teraz“, rzekł oskarżyciel, „niechaj mi wolno będzie zapytać, jak długo należał pan do organizacji Czterech Sprawiedliwych“.

„Przez sześć miesięcy“, odparł świadek.

„Czy uważa pan, że oskarżenie przywódcy organizacji jest niesprawiedliwością“?

„Nie wątpię w to“.

„Czy zeznania pana idą w kierunku ułatwienia drogi oskarżonemu“?

„Tak jest“, odparł świadek z uśmiechem, „zresztą sam Manfred zapewnia o swej niewinności“.

„Czy uważa pan, że Manfred powinien być uniewinniony“?

„Tak jest, choćby ze względu na to, że działał on na korzyść kraju“.

Publiczny oskarżyciel skinął głową na znak, że ukończył szereg swoich pytań. Świadek spoglął teraz na oskarżonego, lecz Manfred potrząsnął głową z uśmiechem i młodzieniec wolnym krokiem opuścił salę obrad.

Rozległy się głośnie szmery wśród publiczności i dopiero dzwonek przewodniczącego przywołał wszystkich do porządku.

Garret, siedzący wśród reporterów pochylił się do swego przyjaciela.

„Czy zauważyłeś, Jimmy, jak dziwnie ten proces jest prowadzony? Czy nie uważasz, że dzieje się tu wielka nieprawiedliwość? Prowadzenie filozoficznych rozmów skończy się powieszeniem oskarżonego“.

„Jestem tego pewien“, mruknął Jimmy.

Następnie sir William Seddon, oskarżyciel publiczny rozpoczął swą przemowę. Wywołała ona szmer oburzenia na sali, wszyscy bowiem niemal słuchacze, mimo niezwyklej sensacji, jaką im dał proces Manfreda, mimowoli skłaniali się na stronę oskarżonego.

Przy samym końcu obrad udzielono głosu Manfredowi, który z zupełnym spokojem, malującym się na bladej jego twarzy, powstał z miejsca.

„Wysoki sądzie“, rzekł, patrząc śmiało przed siebie“.

Na sali zapadła taka cisza, że słychać było wyraźnie skrzypienie piór reporterskich po papierze.

„Nie przypisuję wielkiej wagi do swojej przemowy“, ciągnął dalej oskarżony, „ani też nie wmawiam sobie, że to, co powiem wam, panowie sędziowie, zmieni wasze zdanie o mnie. Jestem pewien, że zdanie to w ciągu długiego śledztwa wyrobiliście sobie już przedtem. Pragnąłbym tylko raz jeszcze stwierdzić, że do czynów zarzucanych mi przyznaję się i, że całą odpowiedzialność przyjmuję na siebie, choćby ze względu na to, że byłem przywódcą naszej organizacji. Celem naszym było unieszkodliwianie ludzi, którzy przysparzali wiele

zła społeczeństwu, a którzy dzięki swemu sprytwi umieli zręcznie omiąć prawo. Zasłużywszy na karę, otrzymywali ją z rąk naszych w momentach, kiedy się najmniej tego spodziewali. Sam jestem prawnikiem i wiem, co znaczy prawo. Potępiam morderców, myśląc o tem, że czynię to dla sprawiedliwości. Czynów mych nie żałuję i jestem pewien, że w głębi duszy i wy, panowie sędziowie, potępiać mnie nie możecie. Los mój pozostawiam teraz wam i z ochotą przyjmę każdy wyrok, jaki zapadnie“.

Usiadł na miejscu i patrzył dalej ze spokojem przed siebie.

Obrońca pochylił się w stronę publicznego oskarżyciela z cichem zapytaniem:

„I cóż pan myśli o tem wszystkim“?

Sir William potrząsnął głową niechętnie.

„Zadziwiające“, szepnął z rozpaczą.

Po wyjściu na półgodzinną naradę, sąd ogłosił wyrok, skazujący George'a Manfreda na śmierć przez powieszenie.

„Jestem pewien, że sąd również święcie wierzy w jego ucieczkę“, rzekł Garret do przyjaciela swego, gdy wychodzili sądowym korytarzem.

„A jednak pragnąłbym wiedzieć“, odezwał się towarzysz, „kto był tym tajemniczym świadkiem, który zeznawał na samym końcu“.

„Jego Wysokość, książę Eskurialu“, odparł Charles, „przepędza on w Londynie swe miodowe miesiące“.

„I ja tak przypuszczałem“, rzekł Jimmy, „po-

znałem go bowiem po głosie, gdy rozmawiał z obrońcą na korytarzu“.

Charles Garret nie wyjawił jednak tej tajemnicy nawet swemu redaktorowi, wolał bowiem, aby mieszkańcy Londynu nie domyślili się, że Jego Wysokość ksiączę Eskurialu wtajemniczony był w wszelkie poczynania tajnej organizacji.

ROZDZIAŁ XXI.

CHELMSFORD.

Po ukończonym procesie, przewieziono znowu Manfreda do więzienia w Wandsworth. U bramy więziennej oczekiwał go dyrektor, który wysiadającego z karetki więźnia powitał z przyjaznym uśmiechem.

„Czy ma pan jakieś specjalne życzenie“? zapytał podczas odwiedzin u Manfreda tego samego jeszcze wieczoru.

„Chciałbym zapalić cygaro“, odparł Manfred, a dyrektor podał mu cygarnicę.

Manfred wyjął cygaro i dostrzegł, że dyrektor przygląda mu się z uwagą.

„Dziwny z pana człowiek“, rzekł wysoki urzędnik.

„Takim powinienem być“, brzmiała odpowiedź.

„Prawdopodobnie obrońca pański złoży podanie o łaskę“, rzekł dyrektor.

„O, nie dbam o to“, zaśmiał się Manfred, „więcej nadziei pokładam w bractwie „Słusznie wie-

rzących“, od którego otrzymuję co tydzień prawie paczki z żywnością“.

„Naprawdę dziwny z pana człowiek“, powtórzył znowu dyrektor. „Ale chciałem pana zapytać, Manfred, jaką rolę w ucieczce pańskiej odgrywa ta pani“?

„Pani“? zapytał Manfred zdziwiony.

„Tak, kobieta, która przychodzi codziennie pod bramę więzienia, dama w czerni. Główny mój dozorca opowiadał nawet, że jest niezwykle piękna.

„Ta kobieta“, wyszeptał Manfred, a twarz jego spochmurniała nagle. „Byłem pewien, że wreszcie zapomniała“.

Zapadł w zadumę.

„Jeżeli jest to pańska przyjaciółka, możnaby było udzielić jej widzenia“, rzekł dyrektor.

„Nie, nie, nie“, zawołał Manfred pośpiesznie. „Nie chcę jej widzieć“.

Dyrektorowi przyszło na myśl, że prawdopodobnie widzenie z nią było dla Manfreda niewygodne, nie chciał bowiem pokazać się damie swego serca w więziennym stroju.

Tej samej nocy dozorca więzienny zauważył, że Manfred położył się w ubraniu na swej pryczy i przykrył się więzienną derką. Na zapytanie dozorey, dlaczego się nie rozbiera, odparł:

„Prostu nie warto na tak krótki czas“.

Dozorca podzielił się swem spostrzeżeniem z dyrektorem więzienia i obydwaj doszli do wniosku, że Manfred myślał ciągle o ucieczce. W trzy

godziny potem w celi Manfreda zjawił się znowu dyrektor więzienia z przykrą wiadomością.

„Przykro mi, że przeszkadzam panu ustawicznie“, rzekł, „lecz chciałem panu zakomunikować, że przyszedł rozkaz przewiezienia pana do innego więzienia. Ale cóż to, dlaczego się pan nie rozbrał“?

„Byłem pewien, że przeniesienie to nastąpi wcześniej i dlatego uważałem, że rozbić się nie warto“.

„A skąd pan wiedział“?

„O przeniesieniu? — jakiś mały ptaszek powiedział mi“, odparł Manfred. „Czy przenieść mnie mają do Pentonville“?

Dyrektor spojrział na więźnia ze zdziwieniem.

„Nie“, odparł.

„A więc do Reading“?

„I tam nie“, odparł dyrektor krótko.

Manfred zmarszczył brwi.

„Gdziekolwiek mnie mają przenieść, jestem gotowy“, rzekł.

Skinął dozorca głową na pożegnanie, pożegnał przyjaźnie dyrektora więzienia i wsiadł do oczekującego nań samochodu.

„Do widzenia, Mr. Manfred“, odparł dyrektor, podając mu rękę.

Manfred dłoni wyciągniętej nie przyjął, a dyrektor splonął krwawym rumieńcem.

„Nie mogę panu podać ręki“, rzekł Manfred „z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że główny dozorca włożył mi znowu kajdany, po drugie...“

„Nie pomyślałem o tem“, przerwał dyrektor

z półusmiechem, a ujawszy więźnia pod ramię, dodał: „Dużo byłbym dał za to, aby ucieczka pańska się udała. Znam jednego z wyższych urzędników w więzieniu, do którego pana przenoszą i byłbym wielce rad, gdyby na niego spadła cała odpowiedzialność“.

Siedząc już w wagonie Manfred zwrócił się jeszcze do odprowadzającego go na dworzec dyrektora.

„Tej damie proszę powiedzieć, że wyjechałem“.

„Bardzo chętnie, lecz obawiam się, że nie będę mógł wyjawić miejsca, w jakim pan się obecnie znajduje“.

„Pozostawiam to pańskiemu uznaniu“, rzekł Manfred i w tej samej chwili pociąg ruszył z miejsca. Dozorca zapuścił firanki i Manfred ułożył się do snu na ławce.

Zbudziło go lekkie dotknięcie dłoni. Znajdowali się na jakiejś stacji i Manfred począł szukać wzrokiem jakiegokolwiek napisu na budynku. Prawdopodobnie interesowało, go to tylko dlatego, że ani dyrektor, ani dozorca nie chcieli mu powiedzieć, dokąd go przewożą. Niestety, na budynku stacyjnym, oprócz ogłoszeń jakichś londyńskich fabryk, żadnego innego napisu nie znalazł.

Następnego dnia, gdy dyrektor więzienia w Chelmsford odwiedził Manfreda w nowej jego celi, więzień wyraził pragnienie napisania listu do kuzyna, który zamieszkuje stale w Londynie.

„Czyś widział go“? zapytał Poiccard.

„Bardzo przelotnie“, odparł Leon, podchodząc do okna i wyglądając przez nie z zacięciem. Naprzeciw okien pokoju, w którym się znajdowali wznosiła się oficyna więzienna. Leon powrócił do stołu i napełnił kawą stojącą przed nim filiżankę. Dochodziła dopiero szósta, lecz Leon przez całą noc nie kładł się zupełnie.

„Minister spraw wewnętrznych“, odezwał się po chwili, popijając kawę, „jest stanowczo nieostrożny w swojej korespondencji. Nazwałbym go raczej człowiekiem nieprzewidującym“.

Było to a propos przybycia Manfreda do Chelmsford.

„Odwiedziłem ostatnio kilku wysokich dygnitarzy i jestem oczarowany ich inteligencją. Czy znasz Willingtona, który zamieszany jest w jakąś straszną aferę? Pozatem idzie wysoki kanclerz, który nienawidzi sekretarza ministerstwa wojny...“

„Ach, tego. co wydaje pamiętniki“, zawołał Poiccard.

Gonsalez skinął potakująco głową.

„Ten sam; za pamiętniki te dostał tysiąc funtów, aczkolwiek nie warte one nawet pensa. Apartament jego umeblowany jest prześlicznie, a przyjął sobie teraz już trzeciego służącego“.

„Jesteś chodzącą encyklopedją, Leonie“, zaśmiał się Poiccard.

Leon zawtórował mu.

Praca ostatnich kilku tygodni dała się obydwom porządnie we znaki. Przedewszystkiem dużo czasu zajęło przygotowanie książki „Trzy miesiące w Marokko“, której każdy rodzaj rozpoczy-

da. Należało postarać się o natychmiastowe wydanie jakąś wiadomością, niezbędną dla Manfreda wielkiego garażu samochodowego i warsztatów reparacyjnych.

Wychodziło do Chelmsfordu. Na szczęście, dom nie książki, aby jak najszybciej zakupiona została przez wszystkie biblioteki, a szczególnie przez biblioteki więzienne. Poiccard przez cały ten czas zajęty był przygotowywaniem jakichś tajemniczych maszyn, które przewoził w zamkniętym samochodzie przylegający do murów więziennych wystawiony był na sprzedaż i z tego oczywiście skorzystali dwaj przyjaciele, kupili dom pod pozorem założenia

Tymczasem bractwo „Słusznie wierzących“ przygotowywało specjalną kampanję, wyznaczoną na dzień egzekucji Manfreda. Tajemniczym sposobem wiadomość ta dotarła do celi uwięzionego i dzięki niej Manfred nie tracił dobrego humoru. Przywódca bractwa zbierał całe zastępy łazików i gapiów, ażeby tem samem manifestacja przybrała groźniejsze rozmiary. Przygotowywano demonstrację na godzinę szóstą rano, a w ciągu całej nocy członkowie bractwa zażywali należącego im wypoczynku. Tej samej nocy Gonsalez wrócił z jednej ze swych tajemniczych wycieczek autem i zaraz po wejściu do mieszkania rzucił Poiccardowi: „Wiesz, że ona jest tutaj“?

Poiccard oderwał wzrok na chwilę od małego rondelka, w którym grzał jakiś płyn nad elektryczną maszynką.

„Dama z Gratzu“? zapytał.

Leon skinął potakująco głową.

„To zupełnie naturalne“, rzekł Poiccard i zabrał się znowu do swej pracy.

„Widziała mnie“, rzekł Leon chłodno.

„O“, zadziwił się przyjaciel, „ale Manfred twierdzi, że ona nas już nie zdradzi. Prosił jednocześnie, aby być przychylnym dla niej, a życzenie Manfreda powinno być dla nas rozkazem“.

Te wszystkie uwagi zamieścił Manfred w liście swym, pisanym jakoby do kuzyna, zamieszkałego w Londynie.

„Nieszczęśliwa kobieta“, rzekł Gonsalez, „przykro mi było patrzeć na nią, gdy stała dzień po dniu przed bramami więzienia w Wandsworth i przyglądała się ludziom napół obłądnym wzrokiem. Jestem pewien, że cierpi bardzo“.

„A zatem powiedz jej“, rzekł Poiccard.

„Że...“

„Że George ucieknie“.

„Myślałem o tem i przypuszczam, że George również powiedziałby jej“.

„Partja Stu Czerwonych wyrzekła się jej“, ciągnął Leon dalej, „dowiedziałem się o tem wczoraj. Nie jestem nawet pewien, czy imię Damy z Gratzu nie figuruje na liście straceńców. Czy przypominasz sobie Smidta? To on podobno ją zadenuncjował“.

Poiccard skinął głową w zamyśleniu.

„Smidt — Smidt?“ przypominał sobie. „Ach, tak, pamiętam, to ten, którego nazywają zimnym mordercą“.

„Tak“, odparł Leon spokojnie.

Na tem zakończyła się rozmowa o Smidcie z Pragi. Poiccard kontynuował dalej swe doświadczenie z elektryczną maszynką, a Leon przyglądał mu się z zainteresowaniem.

„Czy mówiła z tobą?“ zapytał Poiccard po dłuższej chwili milczenia.

„Oczywiście“.

Znów zaległa cisza, którą przerwał po chwili Leon:

„Nie miała do mnie zaufania, lecz porozumiałem się z nią znakiem partji Stu Czerwonych. Nie mogłem z nią przecież mówić na ulicy, bo podobno ludzie Falthotha obserwują ją dniem i nocą. Dałem jej znak, że czekać będę na nią za trzy godziny“.

„Gdzie naznaczyłeś spotkanie?“

„W Wivenhoe, — najwygodniejsze miejsce“.

„I masz zamiar pójść tam?“ zapytał Poiccard, mieszając coś w rondelku.

„Naturalnie“, odparł Leon, spoglądając na zegarek.

W godzinę po północy Poiccard, odpoczywając w głębokim fotelu usłyszał sygnał zajeżdżającego na dziedziniec samochodu.

„I cóż?“ zagadnął, gdy Leon wszedł do pokoju.

„Pojechała“, odparł Gonsalez z westchnieniem ulgi. „Ciężki to był orzech do zgryzienia. Musiałem nakłamać jej, ile tylko mogłem; nie możemy przecież ryzykować, aby nas ktośkolwiek zdradził. Ucieszyła się bardzo, gdy jej powiedziałem o ucieczce Manfreda. Chciała zostać, lecz wytłumaczyłem jej, że mogłoby to zepsuć cały nasz plan. Jutro obiecała wyruszyć z Anglii“.

„Oczywiście nie miała pieniędzy“, zauważył Poiccard, ziewając.

„Ani pensa. Partja Stu Czerwonych zaprzestała jej dawać, lecz ja jej dałem“...

„Zupełnie naturalne“, przyznał Poiccard.

„Długo musiałem ją namawiać, żeby przyjęła. Poprostu oszalała na punkcie obawy o George'a. Ucieszyła się strasznie, gdy jej opowiedziałem o wszystkim“.

„Mam wrażenie“, ciągnął po chwili dalej, „że jest ona w George'u zakochana“.

Poiccard spojrział na przyjaciela znacząco.

„Nareszcie się domyśliłeś, zawołał ironicznie, wychodząc do swej sypialni.

Następny dzień zastał ich przy pracy. Należało zmontować tajemnicze maszyny i załadować je na platformę ciężarowego samochodu. Koło jedenastej przed południem rozległo się tajemnicze pukanie do drzwi. Gdy Leon otworzył drzwi, na progu ukazał się obcy jakiś szofer. Zakomunikował on, że na drodze stoi samochód, któremu zabrakło benzyny i dlatego prosi, aby mu panowie trochę benzyny pożyczili. Po chwili w korytarzu ukazał się właściciel auta, który zdecydowanym ruchem odesłał szofera do samochodu.

„Chciałem panom zadać kilka pytań, dotyczących się mego auta“, rzekł z dystynkcją.

„Prosimy do pokoju“, rzekł Leon, wprowadzając gościa do gabinetu.

Zamknął uważnie drzwi za sobą i zwrócił się do jegomościa, okrytego długim futrem:

„Poco pan tu przyszedł?” — zapytał szeptem prawie. „przecież grozi panu niebezpieczeństwo”.

„Wiem o tem”, odparł tamten z prostotą. „lecz myślałem, że mogę się przydać na coś. Jaki jest plan?”

W kilku słowach opowiedział mu Leon o wszystkim. Młodzieniec zadrżał.

„Straszne to przejście dla George’a”, wyszeptał.

„Jest to jedyna droga”, odparł Leon, „a George ma nerwy, jak stal”.

„A potem — jakie macie szanse ucieczki?”

„Oczywiście morzem. Mamy doskonałą drogę do Clacton, a tam czeka już na nas statek”.

Gonsalez otworzył szufladę biurka i wyjął z niej jakiś papier.

„Gdyby pan mógł nam w tem pomóc”, rzekł, „byłbym ogromnie wdzięczny”.

Młodzieniec napisał na dokumencie swe nazwisko, które brzmiało Courlander i oddał papier Gonsalezowi.

„Są tam moi ludzie, którzy was nigdy nie wydadzą”, rzekł. „Poza tem druty telegraficzne i telefoniczne zostaną przecięte punktualnie o ósmej tak, aby Chelmsford został zupełnie odcięty od świata”.

Z małą bańką benzyny wyszedł młodzieniec z mieszkania i wrócił do swego samochodu.

ROZDZIAŁ XXII.

EGZEKUCJA.

Przeszedłszy małe drzwi, prowadzące do dyżurki portjera (drzwi te zamknięte są zawsze uwa-

źnie na klucz za każdym wchodzącym), mijamy jeszcze jedne drzwi, które prowadzą nas na dziedziniec więzienny, zabezpieczony ze wszech stron wysokim murem, który rozcinają w głębi wysokie żelazne wrota. Poza tą żelazną bramą znajduje się drugi dziedziniec, z którego po kilku kamiennych stopniach dostać się można do małego kantorka dyrektora. Gdy przejdziemy przez wąski korytarz i klatkę schodową, w której przy każdych niemal drzwiach stoi posterunek, znajdziemy się nagle w obszernym hallu więziennym. Po obydwóch jego stronach, tuż pod ścianami biegną wysoko umieszczone galerje i żelazne krużganki. Kredowa biel ścian stanowi kontrast z czernią lakierowanych witryn u drzwi i okien.

Na parterze pierwsza cela na prawo, gdy wychodzimy z hallu w stronę kantorka dyrektora, jest większa i widniejsza od innych z nią sąsiadujących. Uważana jest ona za celę komfortową, bo-wiem podłogi jej zaściela miękka makata, z sufitu zwiesza się żyrandol gazowy, który pali się dniem i nocą, pośrodku celi stoi stół i krzesło, a pod ścianą szeroka, wygodna prycza. Jest to cela skazańców. W głębi umieszczone są niewielkie drzwi prowadzące na podwórze, z którego wchodzi się do małego, bezokiennego domku, a przejście to jest tak wąskie, że może się przez nie przecisnąć jeden tylko człowiek. W bezokiennym domku umieszczone na suficie wielki, mocny hak, z którego zwisa długa, kręcona lina. Poza tem parę innych haków umieszczono tu widocznie na zapas.

Siedząc w celi skazańców, Manfred mógł sły-

szeć dokładnie każdy szmer na korytarzu. Każde otwarcie i zamknięcie żelaznej bramy odbijało się głuchem echem w duszy skazańca.

Jedyną rozrywką w samotni Manfreda były codzienne wizyty doktora, który okazał się człowiekiem niezwykle dowcipnym. W rozmowach z Manfredem doktor charakteryzował mu bardzo plastycznie typy wyższych urzędników więziennych i Manfred, nabrawszy do lekarza niezwykle zaufania, zwierzył mu się z porozumienia swych towarzyszy z bractwem „Słusznie wierzących“.

„Ale dlaczego, do licha, daliście im tyle pieniędzy?“ — zapytał zdziwiony doktor.

„Prostu dlatego, że głupich ludzi można jedynie oczarować wielką sumą“, brzmiała odpowiedź. „Ten Sweeney...“

„Jakim sposobem słyszał pan o Sweeney'u?“ zapytał lekarz.

„O, każdy prawie słyszał o nich“, rzekł Manfred obojętnie. „Sweeney ma opinię międzynarodową; zresztą“, dodał z zupełnym spokojem, „wiem prawie o wszystkich“.

„A o mnie naprzykład?“ — zaśmiał się doktor.

„O panu?“ — uśmiechnął się Manfred. „Wiem wszystko od chwili opuszczenia przez pana Clivton aż do dnia, gdy poślubił pan najmłodszą miss Arbuckle Chertsey“.

„Wielki Boże“, zadziwił się doktor.

„Czyż to tak dziwne“, uśmiechnął się znowu Manfred, „że przez dłuższy czas interesowałem się wyższymi urzędnikami więziennymi, będąc w Londynie?“

„Tak, zupełnie zrozumiałe“, przyznał lekarz, aczkolwiek wiadomość ta wywarła na nim piorunujące wrażenie.

Życie Manfreda w Chelmsford bardzo mało różniło się od życia w Wandsworth.

Zasadniczo rygor więzienny pozostał ten sam, codzienne ćwiczenia na świeżem powietrzu, odwiedziny dyrektora, doktora i kapelana. Pod jednym tylko względem Manfred był nieugięty. Wszelkie namowy spowiedzi przed księdzem nie wywierały na nim żadnego wrażenia. Poglądy jego gorszyły cierpliwego kapelana.

„W co pan wierzy właściwie?“ pytał kapelan, mając ciągle jeszcze nadzieję nawrócenia Manfreda.

„To jest moja tajemnica“, odparł Manfred, „której nie mogę wyjawić każdemu“.

„Ale przecież nie może pan umrzeć, jak poga- nin“, rzekł ksiądz zgorszony.

„Każdy człowiek ma swój własny punkt widzenia“, brzmiała chłodna odpowiedź, „a ja zadowolony jestem z mojej własnej religji. Zresztą nie mam zamiaru jeszcze umierać, a będąc przejęty nadzieją życia, nie chcę się wywnętrzać przed ludźmi, ażeby nie mieć późniejszych rozezarowań“.

Tylko z jednym doktorem Manfred rozmawiał szczerze. Doktor zaniepokojony był planami więz- nia.

„Skąd otrzymuje on takie informacje?“ pytał lekarz dyrektora więzienia. „Czy warta, która go pilnuje...“

„Jest zupełnie zaufana“, rzekł dyrektor z przekonaniem.

„Czy nie otrzymuje on żadnych gazet?“

„Nie, tylko książki, o które prosi. Specjalnem zainteresowaniem darzy najnowszą rzecz, która wyszła, pod tytułem „Trzymiesiące w Marokko“. Opowiadał mi, że ukończy ją już w Wandsworth i pragnąłby przeczytać ją jeszcze raz. Oczywiście dałem mu ją“.

Na trzy dni przed datą egzekucji, dyrektor zakomunikował Manfredowi, że podanie o łaskę zostało przez ministra spraw wewnętrznych odrzucone.

„Nigdy nie spodziewałem się ułaskawienia“, odparł Manfred obojętnie.

Większą część czasu przepędzał teraz na pogawędkach z dozorcami. Dozorcy otrzymali rozkaz nie wdawania się w rozmowy z więźniem, lecz Manfred zaciekał ich opowiadaniem o różnych dalekich krajach i ludziach, których poznał podczas swych podróży. Polubiwszy sympatycznego więźnia, dozorca starali się uprzyjemnić mu długie chwile oczekiwania i tem samem węzeł przyjaźni zacieśniał się.

„Nazywacie się Perkins“, odezwał się pewnego dnia Manfred.

„Tak“, odparł dozorca.

„A wasze nazwisko jest Franklin“, zwrócił się do drugiego, który skinął potakująco głową.

Manfred zamyślił się.

„Gdy będę na wolności“, rzekł, „postaram się

„odwdzięczyć wam obydwu za okazywaną mi sympatję“.

Podczas poniedziałkowej przechadzki po dziedzińcu, Manfred dostrzegł wchodzącego w bramy więziennej jakiegoś jegomościa w cywilnem ubraniu, którego poznał odrazu. Powróciwszy do celi kazał wezwać do siebie dyrektora.

„Pragnąłbym zobaczyć się z Mr. Jessenem, rzekł. „Czy będzie pan mógł przesłać moją prośbę do ministerstwa spraw zagranicznych drogą telefoniczną“?

Dyrektor obiecał i ku wielkiemu jego zdziwieniu odpowiedź przychylna nadeszła w dwie godziny potem.

Jessen wszedł do celi i powitał przyjaźnie więźnia, siedzącego na szerokiej pryczy.

„Chciałem pomówić z panem, Jessen“, rzekł Manfred, podsuwając mu jedyne krzesło. „Chciałem jasno postawić sprawę Starka“.

Jessen uśmiechnął się.

„Jest ona zupełnie jasna. Otrzymałem rozkaz, podpisany przez cara i adresowany bezpośrednio do mnie. Nie mogłem uczynić nic innego, jak powiesić go“.

„Niech pan jednak pomyśli“, odezwał się Manfred, „że wzięliśmy pana specjalnie do tej roboty dlatego...“

„Wiem dlaczego byłem do tego wzięty“, wtrącił spokojnie Jessen. „Prostu Stark i Francois byli ścigani przez prawo, i tylko umieli to prawo ominąć“.

Po chwili Manfred zapytał o losy bractwa, któremu przewodniczył. „Bractwo rozwija się nadzwyczajnie“, zawołał Jessen wesoło. „Nie ma pan wcale pojęcia, ilu notorycznych złodziei zajęło się uczciwą pracą“.

Gdy powstał z miejsca, Manfred wyciągnął doń dłonie.

„Niech pan nie traci nadziei“, rzekł.

„Zobaczmy się znowu“, szepnął Jessen, a Manfred uśmiechnął się.

I znowu nastały długie samotne godziny, godziny przykrych rozmyślań. Na rozmyślaniach Manfred trawił lwią część czasu, przepędzonego w więzieniu w Chelmsford.

Pewnego południa, podczas codziennego spaceru wznosił Manfred spojrzenie ku niebu, a dozorca, spoglądając w kierunku wzroku więźnia, ujrzał wielkiego, żółtego latawca, unoszącego się ponad więziennymi murami.

„Żółty latawiec — dobra wiadomość“, szepnął Manfred, maszerując dokoła wysokiego muru, okalającego dziedziniec.

Tej samej nocy, gdy Manfred ułożył się już do snu, zabrano mu ubranie więzienne i zwrócono garnitur, w którym był zaaresztowany.

Przez całą noc słyszał na korytarzu głośne stąpania kilkunastu par nóg i doszedł do wniosku, że władze więzienne specjalnie podwoiły straż. Kroki wartownika pod oknem jego celi były dzisiaj głośniejsze i bardziej miarowe.

„Prawdopodobnie postawiono żołnierzy“, domyślił się i zapadł w głęboki sen.

Domysły jego były prawdziwe, bowiem o jedenastej przed północą, ze względu na obawę ucieczki więźnia, pół bataljonu żołnierzy przybyło do Chelmsford specjalnym pociągiem i obstawiło zwartym kordonem mury więzienne.

Kapelan postanowił zaatakować więźnia raz jeszcze, lecz spotkał się i tym razem z niemiłą odmową, niemiłą tem bardziej, że ksiądz szedł do celi Manfreda z gorącym przeświadczeniem swego zwycięstwa.

„Nie chcę księdza widzieć“, wybuchnął Manfred. Był to pierwszy wybuch niecierpliwości, jaki Manfred uzewnętrzniał w więzieniu.

„Nie wiem, co mam o panu myśleć“, załamał ręce kapelan, a głos Manfreda był dziwnie łagodny, gdy odpowiedział:

„Proszę, z sądem swym zaczekać jeszcze parę godzin: potem zrozumie ksiądz wszystko“.

Do dnia egzekucji Manfred jadł bardzo niewiele i dopiero ostatniego ranka poprosił o sutsze śniadanie, mówiąc:

„Czeka mnie długa podróż, muszę więcej mieć siły“.

Pięć minut przed ósmą gromadka dziennikarzy i dozorców zebrała się u drzwi celi. Podwójny kordon wartowników ustawiono na dziedzińcu, a żołnierze uzbrojeni w karabiny otoczyli mur więzienny. Minutę przed ósmą przyszedł Jessen do kantorka dyrektora więzienia. Z wybiciem godziny ósmej

dyrektor skinał na Jessena i obydwaj weszli do celi. O tej samej porze rozeszła się wieść po Chelmsfordzie, że przerywane zostały linje telefoniczne i telegraficzne i całe Chelmsford odcięte zostało od świata.

Przykry orszak wyruszył z celi skazańców w obecności zdenerwowanego kapelana. Manfred szedł ze skrepowanymi rękami tuż za dyrektorem, mając po obu stronach dozorców, Jessen zaś postępował za nim. Wieziono go do bezokiennego domku, gdzie go pozostawiono sam na sam z Jessenem, a gdy Jessen zanurzył dłoń w bocznej kieszeni swej bluzy, Manfred odezwał się:

„Zaczekaj pan chwilkę. Zanim jeszcze uczuję pętlę na szyi, muszę powiedzieć słów kilka“.

Jessen usłuchał.

„Zasadniczo“, rzekł Manfred poważnie, „chciałem tylko powiedzieć jedno słowo: żegnajcie“.

Ostatnie słowo wypowiedział podniesionym głosem i Jessen wziął się do odwiązywania kręconej liny, zwisającej na haku. W tej samej chwili, zanim jeszcze Jessen zdążył rozwiązać linę, zwisająca u sufitu kłapa żelazna odpadła z trzaskiem na podłogę, i Manfred zniknął Jessenowi z przed oczu.

Małe wnętrze domku wypełnił siny obłok, który zaniepokoił ludzi, stojących nazewnątrz.

„Co się stało? co się stało?“ — zawołał dyrektor więzienny, dobiegając do drzwi i rzucając stanowczy rozkáz: „Szybko na pomoc, dom płonie“.

Dźwięk alarmowego dzwonu zwołał ludzi ze

wszech stron. Wreszcie któryś z dozorców, uzbrojony w hełm strażacki, odważył się wejść do wnętrza. A gdy wrócił po chwili, rzekł z zapartym oddechem:

„Jedna ściana wyrwana, poza ścianą wąski korytarz przesiąknięty gryzącym dymem. Poprostu jakiś dziwny wybuch“.

Główny dozorca dobył z kieszeni rewolweru.

„Naprzód“! zawołał i począł kroczyć śmiało wzdłuż ciemnego lochu. Wśród gęstych ciemności rozpoznawał drogę dokładnie. Miejscami czołgać się trzeba było, bo tunel był niski, aby mógł przezeń przejść swobodnie człowiek. Jeden z ludzi niósł małą latarkę, która bladym światłem rozjaśniała ciemności tunelu. Główny dozorca przynaglał ludzi do pośpiechu.

Wreszcie zagroziły im drogę ogromne, masywne drzwi, obite żelazem. Na drzwiach wisiała kartka, przytwierdzona mocno do żelaznej sztaby. Główny dozorca odczytał następujące słowa:

„Tunel poza tem miejscem jest podminowany“.
To było wszystko.

„Wracamy“, zakomenderował dozorca.

Gdy wyszli na światło dzienne, dozorca podszedł do dyrektora więzienia, grzecznie salutując.

„Umknęli“, zameldował, „gdybyśmy ich mogli tak schwytać gdzieś po drodze“.

„Pościg już wysłany“, rzekł dyrektor, „lecz tłumy, jakie się zebrały u bram więziennych, opóźniły nasz pościg o kilka minut“.

Na jowialnej twarzy dyrektora więzienia błękał się uśmiech, gdy zwrócił się do zmieszanego kapelana:

„Przypuszczam, że i dla księdza nie jest już tajemnicą, dlaczego więzień nie chciał przyjąć ostatnich sakramentów?”

„Teraz rozumiem“, odparł duchowny z prostotą, „jestem z wyników niezwykle zadowolony“.

Manfred znalazł się jakgdyby w wąskim pudełku i jakieś niewidzialne ręce zrywać poczęły krępujące go więzy. Klatka, w której się znalazł, przepelniona była dymem i więzień oddychał z trudnością.

„Tędy, za mną“, zawołał Poiccard, idąc na czele i wąż, elektryczną lampką, oświetlając ściany ciemnego lochu. Gdy minęli żelazne wrota Leon zatrzymał się na chwilę i uważnie je za nimi zamknął.

Latarka Poiccarda przebijała z trudem ciemności tunelu, a w niektórych miejscach mężczyźni byli zmuszeni wspinać się po żelaznych drążkach i drabinkach gdzieś ku górze.

„Doskonale się udało“, rzekł Manfred w pewnej chwili. „Bractwo słusznie wierzących“ również nie próżnowało“, dodał.

Leon przytaknął skinieniem głowy.

„Czy słyszałeś ich zawodzącą orkiestrę w celi skazańców?“ zapytał.

Wspinając się po żelaznej drabince doszli do

małego, wąskiego korytarzyka, który zaprowadził ich do mieszkania Poiccarda i Gonsaleza.

Leon owinął Manfreda grubym, futrzanym, płaszczem, gdy tymczasem Poiccard pośpiesznie przygotował samochód. Po chwili wszyscy trzej siedzieli już na miękkich poduszkach auta.

„Gotowe“, rzekł Poiccard i ruszyli z miejsca.

Obróciwszy się poza siebie, Leon widział jeszcze łunę palącego się domku kaźni.

„Żołnierzy wysłano w pogoń za nami“, rzekł, „nie wolno nam tracić ani chwili czasu, Poiccard“.

Wydostawszy się na szerszą drogę, Poiccard zdwoił szybkość maszyny, która pędziła teraz niby wichur. Co kilka minut dostrzegali zwisające ze słupów druty telefoniczne, na widok czego Leon uśmiechał się z zadowoleniem.

„Gdyby nie te przecięte druty, mielibyśmy mniejsze szanse ucieczki, bowiem telegraficznie zawiadomionoby wszystkie posterunki po drodze i niechybnieby nas ujęli“.

Mijając Colchester, otrzymali sygnał od posterunku policji, aby się zatrzymali, nie usłuchali jednak rozkazu, kierując się z niezwykłą szybkością na drogę do Clacton. Po drodze napotkali jadącą od miasta furmankę. Zatrzymali się i, gdy po chwili chcieli ruszyć, woźnica uśmiechnął się.

„Tędy panowie nie przejadają“, zawołał „tam jest druga droga o dwie mile stąd“.

„A dokąd jadą wasze konie?“, zapytał Leon.

„Zpowrotem do domu“, uśmiechnął się woźnica.

„Doskonale“, zawołał Leon, oglądając się poza siebie. Nikogo na drodze nie zauważył. Zaczekaw-

szy, aż woźnica odjedzie, Poiccard znowu ruszył z miejsca w kierunku, wskazanym przez właścianina. Ruszyli w stronę Walton, ażeby czem prędzej dotrzeć do morza.

W dwadzieścia minut potem tą samą drogą przemknęły dwa samochody, napelnione żołnierzami. Za nimi unosił się tuman kurzu, połączony ze swędem spalonej benzyny. Wreszcie samochody zatrzymały się u brzegu zatoki. Woddali, na spokojnych falach dostrzegli dozorcę oddalający się jacht. Na widok dozorców zebrał się tłum ciekawych na wybrzeżu.

„Tak“, odezwał się jakiś rybak, „widziałem ich. Było ich trzech, gdy wsiadali do motorowej łodzi, ale dawno już zniknęli nam z oczu.

„A cóż to za okręt tam woddali?“ — zapytał główny dozorca, wskazując oddalający się jacht.

Rybak pyknął z trzymanej w zębach fajeczki.

„To jest jacht królewski“ odparł.

„Jakiż to królewski?“

„Jest to jacht księcia Eskurialu“, rzekł rybak z naciskiem.

Główny dozorca zamyślił się.

„Na pokładzie tego jachtu z pewnością ich niema“, rzekł z przekonaniem.

KONIEC

17768

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA





8,000,000

POLEGŁYCH

różnych narodów napisało te

KSIAŻKI O WOJNIE

NIEMIECKA

E. M. REMARQUE 17700
„Na Zachodzie bez zmian“ 8 zł.

CZESKA

JAROSŁAW HAŠEK
„Szwajk na twłach“ 7 zł. 17700

ANGIELSKA

JOHN GIBBS
„Na rozdrożu“ 7 zł. 17700

FRANCUSKA

HENRI BARBUSSE
„Ogień“

AMERYKAŃSKA

JOHN DOS PASSOS
„Manhattan Transfer“

Nadto w tłumaczeniu **ARNOLDA ZWEI-
GA** „Spór o sprawę sierżanta Griszy“
i **GLAESERA** „Rocznik 1902“.

DZIEŁA
XX
WIEKU

„POWIEŚĆ NAPISANA PRZEZ
WSZYSTKICH ZMARŁYCH DLA
WSZYSTKICH ŻYJĄCYCH“

IM
WERTEN
NICHTS
NEUES!

E. M. REMARQUE

17700
„Na Zachodzie
Bez Zmian”

ukazała się nakładem „ROJU“
CENA 8 zł.

Oto nakłady tej wstrząsającej książki:

Niemcy 800 tysięcy		Szwecja 25 tysięcy
Anglja 150 „		Hiszpanja 6 „
Stany Zjedn. . 220 „		Węgry 12 „
Francja 200 „		Polska 7 „
Holandja . . . 40 „		Finlandja 5 „
Danja-Norwegja 30 „		Język żydowski 4 „
Język rosyjski 20 tysięcy		

1,549,000 egz.

Niebawem ukaza się wydania:

włoskie, rumuńskie, czeskie, kroackie, łotewskie, hebrajskie

19 języków:

JAROSŁAW HAŃEK

SZWEJK NA TYŁACH

(„Losy dobrego wojaka Szwejka“)

Książka, która weszła do skarbca powojennej literatury świata.

Szwejk, prostaczek z gminu czeskiego, kupczyk o nieokreślonej kondycji, który o swoich perypetjach wojennych mówi stylem głupkowatych komunałów, jest przez straszliwy ich kontrast z otaczającą rzeczywistością symbolem tego wydzierającego się z trzewi ludzkości protestu przeciw wojnie, który ogarnia świat.

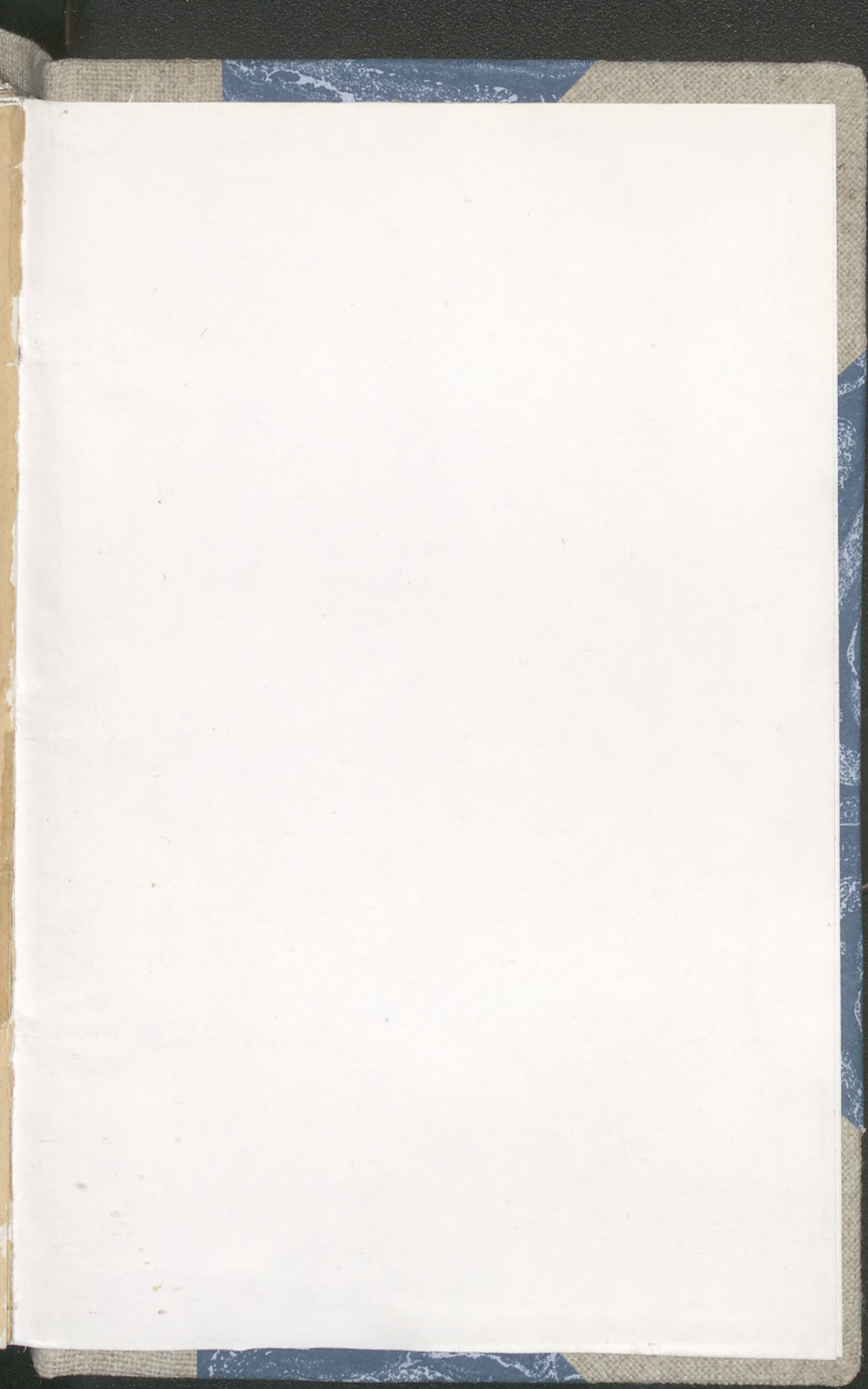
Każdy naród piętnuje wrogie oblicze rzezi ludzkiej temi środkami w jakie geniusz jego środowiska uposażył rodzime słowo.

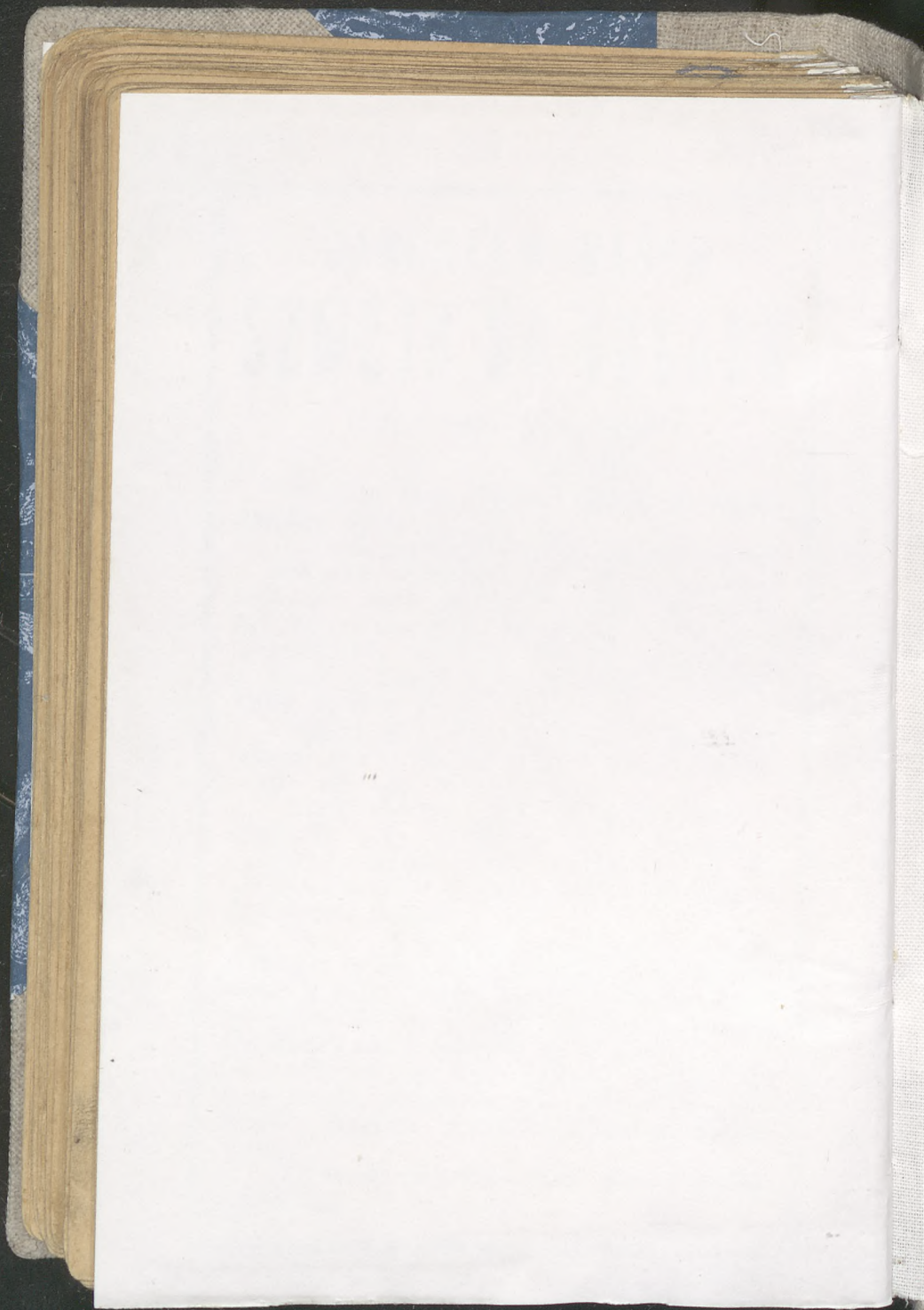
„Losy dobrego wojaka Szwejka“ Haska, to niemieckie „Na zachodzie spokój“ Remarque'a i „Spór o sierżanta Griszę“ Zweiga, to angielskie „W pośrodku drogi“ Gibbsa, to „Konarmja“ („Ludzie Jaskiniowi“) Babela.

To też niema bodaj cywilizowanego języka, w którym by się nie znalazł przekład jego powieści niema kraju, w którym by nie wystawiano sztuki na tej powieści opartej, niema państwa, w którymby nie demonstrowano poświęconego jej filmu.

Poprzez pogodne gładzenia austriackiego landszturmisty przeplecione gesto rabelaisowską gwarą okopów, przebija krwawy obłąkany bełkot wojny.

Z szeroko otwartymi oczami spotyka ludzkość tę literaturę.





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021685116



1468138
